

67

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

lipiec – wrzesień 2023



poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 018, fotografia format 30x45, 2020 r.

SŁOWO OD REDAKCJIBarbara Strzelbicka, *Dialog* 3**WYDARZENIA***Kalendarium: lipiec–wrzesień 2023 r.* 4**POŻEGNANIA**Bogdan Knop, *Na odejście brata* 6**LAURÓW WIENIEC**Barbara Strzelbicka, *Trzydzieści na XXXI* 7Arkadiusz Frania, *Wystąpienie na gali rozdania nagród* 8Ida Jadwiga Łubińska, *Pomiędzy słowami.*
Spotkanie autorskie Arkadiusza Frani 9**POEZJA**Jerzy Mizgalski, *Moje refleksje* 11Sylwia Oksiuta-Warmus, *Juwenilia* 16Tadeusz Luterek, *Pomiędzy liczbą a literą (wybór)* 18Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Kiedy milczę* 21Andrzej Ostalowski, *Listopadowo o życiu* 24Anna Jędryka, *Nostalgia* 28Jacek Szczerbak, *Gadki z Posejdonem* 30Wiesław „Kardynał” Wyszynski, *Pan Okej* 32Wiesława Owczarek, *Trzy róże* 33Janusz Jano Mielczarek, *Jeszcze nie jesień* 35Ida Jadwiga Łubińska, *Obrazy* 36Janusz Strojec, *Opakowany* 37Zdzisław Opałko, *Gdy odchodzą* 38Barbara Strzelbicka, *mur* 39**WŚRÓD WIERSZY I POETÓW. DIARIUSZ CZĘSTOCHOWSKI**Arkadiusz Frania, *Pasja pisania wierszy (Janina Łotach)* 41**PROZA**Janusz Jano Mielczarek, *Chłopiec w czerwonej kamizelce* 49Elżbieta Jolanta Gola, *Miniatury* 53Adrian Musiał, *Rzeka wspomnień* 57Małgorzata Franc, *Nelly* 60

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2023 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

Wiesława Owczarek, <i>Golonka</i>	62
Paulina Wysocka-Morawiec, <i>Odwet</i>	64
PRZEKŁADY	
Teodozja Zariwna, <i>Milczenie Celsjusza</i> (fragment), przeł. Bohdan Zadura ...	71
SZKICE, ESEJE, RECENZJE	
Janusz Jano Mielczarek, <i>Kino „Luna”</i>	85
Tomasz „Aztenty” Barański, <i>Gwiazdozbiory – historie niezwykle</i>	87
Barbara Strzelbicka, <i>Co wie licho,</i> <i>czyli o wierszach dla dzieci Tadeusza Wrony</i>	90
Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K	
Małgorzata Nowakowska-Karczewska, <i>Poszukiwania</i>	93
CONVERSATIO	
<i>Rzemieślnicza solidność versus artystyczny polot</i> – z Jarosławem Kapsą rozmawia Barbara Strzelbicka	99
HISTORIA W GALERII	
Jarosław Kapsa, <i>Pogranicze pamięci</i>	104
WIDZIANE Z GALERII. Subiektywna kronika wypadków kulturalnych	
Barbara Strzelbicka, <i>„Galeria” 66 w altanie</i>	111
Barbara Strzelbicka, <i>Muzyka i pamięć</i>	111
Małgorzata Orzechowska-Brol, <i>Literacko w Kamienicy</i>	113
Barbara Strzelbicka, <i>Aksamitnie</i>	114
NOTY O KSIĄŻKACH	
Jarosław Kapsa, <i>Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne</i> <i>w czasach PRL (1970–1989)</i>	115
Tadeusz Wrona, <i>Smoki, ptaki i robaki</i>	115
<i>Wybitni Ukraińcy. Międzynarodowy Konkurs Historyczno-Literacki.</i> red. R. Stefaniak, M. Tarchanyn	115
FOTOGALERIA	
Andrzej Zembik: ... o sobie..., ... piaskowe opowieści...	116
Barbara Major, <i>Obrazy piaskowe Andrzeja Zembika</i>	117
ZAPISKI GALERJANA	
Jan Ciesielski, <i>Limeryczki</i>	119
NOTY O AUTORACH	
Jerzy Mizgalski	15
Jarosław Kapsa	103

Na okładce:

Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 026, fotografia format 30x45, 2020 r.

DIALOG

Lato tego roku było wyjątkowo długie i ciepłe, towarzyszyło nam jeszcze we wrześniu, co było bardzo przyjemne i tylko czasem być może nawiedzała nas refleksja, że to skutek globalnego ocieplenia, niestety, jedyny pozytywny. Może też pocieszaliśmy się, iż jest to nagroda pocieszenia za niepewność towarzyszącą naszemu życiu. Pewna doza niepewności jest niezbędna, bez niej życie byłoby niewyobrażalnie nudne, jednakże zbyt duża działa destrukcyjnie, a dewastująca jest niepewność dotycząca prawdy.

Cel odkrywania prawdy i jej nauczania przyświecał Sokratesowi, który tę ideę realizował za pomocą sztuki prowadzenia dialogu, podczas którego rozprawiał się z wiedzą pozorną i – nie bacząc na to, kim był rozmówca – ukazywał prawdę. Taka lekcja bywała przykra, bo filozof udowadniał, że ukryta prawda może być bolesna i trudna. Jeśli jest taka, to po co nam prawda? – chciałoby się zapytać. Czyż nie możemy żyć w ułudzie, w rzeczywistości wykreowanej? Ano nie, bo wcześniej czy później prawda nam o sobie przypomni, i jeśli nie będziemy na nią przygotowani, staniemy bezradni wobec nieuchronnego.

Nie bez znaczenia jest fakt, że poszukiwanie prawdy toczy się w dialogu. Dla filozofii dialogu, nurtu powstałego na początku XX wieku, człowiek jest istotą zwróconą ku drugiemu, ku innym – jest istotą dialogiczną i wówczas jest w prawdzie. Nawiązuje do tego 11. Triennale Sztuki Sacrum „Ja i Ty / Ja – Ono” w Miejskiej Galerii Sztuki, dla którego inspiracją była filozofia Martina Bubera.

Według Tadeusza Gadacza prawda stanowi jeden z głównych wymiarów duchowości – wraz z wolnością, twórczością, dobrem i pięknem. Ludzie tworzący doskonale to wiedzą i choć nie zawsze potrafią wszystkie wymiary wymienić jednym tchem, to się

w nich czują jak ryba w wodzie. Dzięki temu nie zabrakło materiału na „Galerię” 67, za co jesteśmy wdzięczni Autorom i cieszymy się, że możemy zaprezentować treści różnorodne – jak w życiu, gdy radość przeplata się ze smutkiem i nostalgią, a przemianowaniu towarzyszy refleksja.

Jubileusz 30-lecia pracy literackiej świętuje w tym roku Arkadiusz Frania. Obchody nie były zaplanowane, jednak wypadły doniośle, bowiem Jubilat otrzymał dwie nagrody: Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Miasta Częstochowy, my zaś jesteśmy niezwykle dumni, że współpracujemy z Poetą.

Ukończyliśmy prace nad kolejną książką Jarosława Kapsy i mamy nadzieję, że znajdzie ona wielu czytelników nie tylko w naszym mieście, którego funkcjonowanie w czasach PRL-u zostało dokładnie prześwietlone. Autor książki, posiadający dłuższy staż, także zalicza się do naszych współpracowników, co nas niezwykle cieszy, udzielił też nam wywiadu.

W niedalekiej przyszłości planujemy wydanie powieści ukraińskiej pisarki Teodozji Zariwnej w tłumaczeniu Bohdana Zadury, tymczasem zaś drukujemy jej obszerny fragment.

Jako poeta filozoficznymi refleksjami debiutuje na naszych łamach prof. Jerzy Mizgalski, historyk. Poza tym nasi sprawdzeni autorzy, a na okrasę „piaskowe” fotografie Andrzeja Zembika jako wspomnienie plaży albo pustyni.

Publikowanie twórczości – literackiej, plastycznej czy muzycznej – jest prowadzeniem dialogu z drugim człowiekiem. Wchodźmy w światy przedstawione – przekraczanie tych granic jest bezpieczne. Żyjąc tu i teraz, możemy jednocześnie przebywać w świecie wyobraźni. Mamy nadzieję, że w ten sposób uczestniczymy w procesie poszukiwania prawdy. Czy ją znajdziemy? Tego nie wie nikt, ale z całą pewnością nie o to chodzi – najważniejszy jest dialog.

BARBARA STRZELBICKA

KALENDARIUM lipiec – wrzesień 2023



LIPIEC

- 1.07.** – finał wystawy „Na Kresy po zdrowiel” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 7.07.** – „Mirror & Katharsis” – wystawa fotografii Joanny Walasek – Galeria 4Arte;
- 7.07.** – koncert charytatywny z okazji 190-tej rocznicy urodzin Brahmsa – OPK „Gaude Mater”;
- 8.07.** – wernisaż wystawy Nico Raica „Chromatic-Code” – OPK „Gaude Mater”;
- 12.07.** – zmarł Milan Kundera, pisarz;
- 14.07.** – wernisaż wystawy „ArchiTekstura” – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 16.07.** – zmarła Jane Birkin, aktorka, piosenkarka, ikona mody;
- 18.07.** – zmarł Lech Jęczynek, tłumacz i publicysta;
- 26.07.** – zmarła Sinéad O’Connor, wokalistka, kompozytorka i autorka tekstów;
- 27.07.** – Turniej Jednego Wiersza – Pub „Szała Gra”;
- 29.07.** – wernisaż wystawy „Karuzela z Madonnami” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 30.07 – 20.08.** – IX Festiwal Muzyki Organowej „Sola Musica” – Kościół Ewangelicki Wniebowstąpienia Pańskiego.

SIERPIEŃ

- 2.08.** – premiera „Galerii” 66 – Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;
- 4.08.** – wernisaż wystawy twórczości studentów kierunku Edukacji Artystycznej UJD „Profuzja” – OPK „Gaude Mater”;
- 9.08.** – wernisaż wystawy „Współczesny ekslibris polski 1918–2018” ze zbiorów Mieczysława Bielenia – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 23.08.** – zmarł Toto Cotugno, piosenkarz;
- 25–27.08.** – 31 Dni Częstochowy;
- 6.05.** – wernisaż wystawy malarstwa Natalii Talarek-Oswald – OPK „Gaude Mater”;
- 8–9.05.** – IV Częstochowski Festiwal Filmowy im. Braci Krzemińskich „Moja Mała Ojczyzna” – Klub „Politechnik”;
- 10.09.** – promocja książki Ryszarda Stefania-ka *Cmentarz obrońców Lwowa. Powstanie – Zniszczenie – Odbudowa* – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 19.08.** – wernisaż jubileuszowej wystawy twórczości Stefanii Gąsior – OPK „Gaude Mater”;
- 30.08.** – finał wystawy „Panny świetliste” – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;

- 31.08.** – finał wystawy prac Dagmary Dziewiątkowskiej i Mariusza Szmerdta „Podążając za kolorami czerni...” – Galeria 4Arte;
- 31.08.** – Turniej Jednego Wiersza – Pub „Szafa Gra”.

WRZESIEŃ

- 4.09.** – wernisaż wystawy powarsztatowej „Fotografia sensualna” – ROK;
- 7–15.09.** – II edycja Festiwalu Tańca Współczesnego „Pamięć miasta”;
- 8.09.** – spotkanie autorskie z ks. Arkadiuszem Paśnikiem i promocja książki *Dom* – OPK „Gaude Mater”;
- 8.09.** – wernisaż wystawy fotografii Dariusza Gawrońskiego – Galeria 4Arte;
- 8.09.** – koncert finałowy zespołu Impast w ramach projektu „Bliżej Piękna – sztuka dla wszystkich” – Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II;
- 9.09.** – Czytanie Narodowe: Eliza Orzeszkowa, *Nad Niemnem*;
- 9–17.09.** – 31. Europejskie Dni Dziedzictwa „Żywe dziedzictwo – tradycje od pokoleń” – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 12.09.** – spotkanie autorskie Arkadiusza Frani – Klub Dziennikarzy „Pod Gruszką” w Krakowie;
- 13.09.** – spotkanie autorskie Arkadiusza Frani – Hotel „Arche”;

- 13–17.09.** – 13. Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”;
- 14–20.09.** – XXXII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”;
- 15.09.** – wernisaż wystawy Moniki Ślósarczyk „Odloty” – Konduktorownia;
- 16.09.** – wernisaż wystawy 11. Triennale Sztuki Sacrum „Ja i Ty / Ja – Ono” – Miejska Galeria Sztuki;
- 16.09–14.10.** – PO-MOSTY Wielokulturowości 2023 – Międzynarodowy Festiwal Sztuk Wizualnych;
- 22.09.** – premiera kinowa filmu Agnieszki Holland „Zielona Granica”;
- 27.09.** – zmarła Sabina Lonty, malarka;
- 29.09.** – spotkanie autorskie Pauliny Wysockiej-Morawiec – Biblioteka Publiczna w Kamienicy Polskiej;
- 29.09.** – premiera medialna książki Jarosława Kapsy *Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne w PRL (1970 – 1989)* – Księgarnia – Antykwarnia „Niezależna”;
- 29.09 – 6.10.** – 14. Festiwal Violinistyczny im. Bronisława Hubermana – Filharmonia Częstochowska;
- 30.09.** – wernisaż wystawy ceramiki i malarstwa Justyny Borowik „Podróż przez zmysły” – MDK.

BARBARA STRZELBICKA

Naszemu Koledze

Zdzisławowi Opałce

wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

Mamy

składają Koleżanki i Koledzy

z Towarzystwa Galeria Literacka

Bogdan Knop

Na odejście brata

Dziś odszedł mój brat,
we śnie, po cichu.
Krew z krwi,
kość z kości.
Gdy byliśmy chłopcami,
marzył o sławie
jak się marzy
w dzieciństwie,
a nawet później.
Uczył mnie rzeczy zakazanych
jak to starszy brat szczeniaka.
Pierwszego papierosa
pierwszy łyk wina
pisanego patykiem
zawdzięczałem jemu.
Potem – tak bywa w życiu,
poszliśmy w swoje strony.

Gdy byłem w wojsku,
napisał jedyny list do mnie –
zalecał mi niewychylanie się
zbytnio z szeregu.
Życie go nie głaskało,
a może to on
nie głaskał życia?
Kiedy odszedł,
zadałem sobie pytanie:
czy to już czas?
I na co ten czas?
Ostatniego słowa
nigdy się nie wypowiedział.
Brakuje czasu.
Żegnaj, bracie!
Do lepszych czasów,
bo ostatnich.

*Twój brat Bogdan
Wieczorem 22 września 2023 r.*

Naszemu Koledze
Bogdanowi Knopowi
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Brata
składają Koleżanki i Koledzy
z Towarzystwa Galeria Literacka

Barbara Strzelbicka

TRZYDZIEŚCI NA XXXI

Podczas XXXI Dni Częstochowy 27 sierpnia 2023 r. **Arkadiusz Frania**, mieszkający w Częstochowie poeta, prozaik, eseista i krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych, został uhonorowany Nagrodą Miasta Częstochowy w kategorii „Upowszechnianie i ochrona kultury” za całokształt działalności twórczej oraz w zakresie upowszechniania kultury, jak napisano w uzasadnieniu, którego debiut poetycki w „Dzienniku Częstochowskim. 24 Godziny” miał miejsce w 1993 r., a zatem przed trzydziestu laty.

Arkadiusz Frania jest autorem ośmiu zbiorów wierszy (ostatnio: *Zbieracze lawendy. Wybór wierszy*, 2016; *Oset*, 2019; *kropka i kropla*, 2023), trzech książek prozatorskich i eseistycznych (*Jestem pomysłem Pana Boga na człowieka*, 2010; *Rzeźby w maśle. Prozy z pamięci*, 2014; *Sęp na sepię. Eseje nie tylko o książkach*, 2022) oraz dziewięciu tomów krytycznoliterackich, poświęconych głównie życiu literackiemu i poetom Częstochowy (w tym: „*Solidne niefarbowane retro*”. *O poezji Tadeusza Gierymskiego*, 2004; *Strażnicy i najeźdźcy. Zjawiska we współczesnej poezji regionu częstochowskiego*, 2005; *Poświatowska, Marjańska, Cichla-Czarniawska. Trzy szkice typu ziemia-ziemia-ziemia*, 2007). Na szczególną uwagę zasługuje wydana przez Towarzystwo Galeria Literacka seria „Poetycka przeszłość Częstochowy”, w skład której wchodzi następujące tytuły:

- *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy* (2019),
- *Grupa Literacka „Profile”. Zjawisko, poeci, wiersze* (2020),
- *Razem i osobno. O poetach (z) Częstochowy* (2021),
- *Witryna i archiwum. Z kart poetyckiej Częstochowy* (2022),
- *Między pasją pisania a korektą słów. Z historii poetyckiej Częstochowy* (2023).

W przygotowaniu jest książka: *Tadeusz Gierymski: „pisanie wierszy to umieranie po kawałku”*.

Wiersze, opowiadania i teksty krytycznoliterackie były tłumaczone na języki: serbski, macedoński, słoweński, albański, włoski i angielski. Ukazały się też trzy serbskie edycje książkowe w przekładzie Olgi Lalić-Krowickiej: zbiór prozy *Jestem pomysłem Pana Boga na człowieka* jako *Asocijacija* (2014), tomik poetycki *Oset* jako *Meki trn* (2020) oraz przygotowany dla czytelników serbskich wybór wierszy *Na sudnji čas zakasni. Izabrana poezija* (2016, polski tytuł *Na ostatnią chwilę spóźnić się. Wiersze wybrane*, tłum. wspólnie z Vesną Denčić).

Arkadiusz Frania jest członkiem zespołu redakcyjnego Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”, prowadzi dział „Wśród wierszy i poetów. Diariusz częstochowski”, w którym ukazują się jego eseje, jest także recenzentem twórczości poetyckiej. Swoje wiersze, eseje i recenzje publikuje także w innych czasopismach i portalach lokalnych i ogólnopolskich.

W 2014 roku otrzymał od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego honorową odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. W 2019 roku został nominowany przez Kapitułę „Dziennika Zachodniego” do tytułu „Osobowość Roku 2019” w kategorii „Kultura” (powiat częstochowski), zdobywając II miejsce. W 2020 roku otrzymał Nagrodę Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury w kategorii „Literatura i historia” oraz stypendium Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury, a w 2021 roku – stypendium z Funduszu Popierania Twórczości Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

O twórczości poetyckiej Arkadiusza Frani pisali w „Galerii”: Tadeusz Luterek, *Poety Arkadiusza Frani dotykanie ostu* (o tomie *Oset*, „Galeria” nr 52); Barbara Strzelbicka, *Opowieść o poezji*



Arkadiusza Frania (trzyczęściowy esej, „Galeria” nr 60-62) oraz *Co po kropce?* (o tomie *kropka i kropka*, „Galeria” nr 66).

Pozostali laureaci Nagrody Miasta Częstochowy to: Aleksander Wierny (Literatura), Hanna Zbyryt (Teatr), Paulina Domagalska (Sztuki plastyczne) i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej (Muzyka). Tytuł „Mecenasa Kultury” nadano spółce Jawo.

Nagrodzonym i utytułowanym serdecznie gratulujemy i życzymy satysfakcji oraz zapału do dalszej pracy i twórczej działalności!

PS Sierpień był najwyraźniej miesiącem dla Arkadiusza Frania szczęśliwym, albowiem Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za osiągnięcia twórcze, podpisana przez prof. Piotra Glińskiego, datowana jest na 24 sierpnia 2023 r. (wiadomość dotarła do nas później). Serdecznie gratulujemy i bardzo się cieszymy!

Arkadiusz Frania

WYSTĄPIENIE NA GALI ROZDANIA NAGRÓD

W imieniu tegorocznych laureatów Nagród oraz Wyróżnień pragnę serdecznie podziękować Panu Prezydentowi Krzysztofowi Matyjaszczykowi i Miastu Częstochowie za docenienie naszych wysiłków na niwie kultury.

Wiemy doskonale, że ta sfera ludzkiej aktywności jest trudna do oceny i pomiaru. Nie grubość książki, format obrazu, długość piosenki czy ilość tekstu wygłaszanego w trakcie monodramu decydują o wartości dzieła sztuki. Główną rolę i zadaniem każdego utworu jest bowiem pobudzenie wrażliwości odbiorcy, dotarcie do jego podświadomości, wywołanie w nim współodczuwania istnienia. Jeśli następuje swoiste iskrzenie między dziełem a czytelnikiem, słuchaczem czy widzom, możemy mówić o spełnieniu powinności artystycznej. Bo sztuka nie jest do rozumienia, lecz do czucia i przeżywania.

Chciałbym też zwrócić uwagę na dwie cechy, które, moim zdaniem, znamionują artyzm: są to prawda i prostota. W świecie bezustannego przemieszczania się ludzi i słów oraz przenikania się znaczeń, w strefach hałasu i ostrych światła, w przestrzeniach naznaczonych wulgaryzmami i efektami stroboskopowymi – to właśnie prawda i prostota są w stanie ocalić sztukę, a tym samym uwolnić dobro, które nosi w sobie każdy człowiek. Tadeusz Gieryski, poeta i prozaik bardzo silnie związany z naszym miastem, laureat Nagrody z 2001 roku, miał jasno

sprecyzowany kodeks moralności twórcy, wyznał bowiem: „Pewny jestem tylko tego, że poezja, jak nauka i religia, tylko w inny sposób i innymi narzędziami, dąży, próbuje odkryć, znaleźć prawdę”. Inny częstochowianin, poeta Jerzy Liebert, twierdził z kolei, że: „Najpiękniejsza poezja to są zwykłe słowa”.

Dążmy zatem do prawdy i prostoty.

Odkrywajmy i zachwycajmy się prawdą i prostotą.

Ida Jadwiga Łubińska

POMIĘDZY SŁOWAMI. SPOTKANIE AUTORSKIE ARKADIUSZA FRANI

piszę do krwi
do siebie
z siebie
piszę
żeby nie pisać

A. Frania, *piszę do krwi...*

13 września w Hotelu Arche w Częstochowie odbyło się spotkanie autorskie Arkadiusza Frani promujące najnowszy tomik wierszy *kropka i kropla*. Spotkanie prowadziła Beata Cichoń, opowiadając o osobie autora i jego dokonaniach. Uczestnicy zadawali wnikliwe pytania i dzielili się swoimi refleksjami na temat twórczości bohatera wieczoru. Niektóre wypowiedzi autora budziły głębszą refleksję, stanowiły pretekst do przemyśleń. Jak zauważono: „subtelność, cyzelowanie kolejnych wersów, skupienie na ciężkości wiersza, odbywa się gdzieś pomiędzy słowami”. I stanowi ważny walor tej poezji”.

Kim jest Arkadiusz Frania? To poeta, prozaik, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych. Dla mnie osobiście to człowiek z misją przywracania pamięci o częstochowskich i związanych z naszym regionem twórcach. A czyni to z wielką pasją, dociekliwością i wnikliwym odczytaniem przekazywanych idei i odczuć ich autorów.

Z etapem promocji tomiku zbiegła się miła dla Arkadiusza Frani i dla nas niespodzianka. Jest nią Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, stanowiąca docenienie ponadtrzydziestoletniej działalności literackiej autora.

W tym roku również święto miasta było okazją nagrodzenia osób, których działalność w istotny sposób wzbogaca potencjał Częstochowy, przyczyniając się do kreowania jej pozytywnego wizerunku. Wśród wyróżnionych był Arkadiusz Frania, który otrzymał Nagrodę Miasta Częstochowy w Dziedzinnie Kultury za rok 2023 w kategorii „Upowszechnianie i ochrona kultury”. Do przyznania nagrody zapewne przyczynił się cały złożony z pięciu tomów cykl zatytułowany „Poetycka przeszłość Częstochowy” z ostatnio wydaną książką pt. *Między pasją pisania a korektą słów. Z historii poetyckiej Częstochowy*. Wydawcą cyklu było nasze Towarzystwo Galeria Literacka.

Wielkie gratulacje dla Autora!



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 001, fotografia format 30x45, 2020 r.

Jerzy Mizgalski

MOJE REFLEKSJE

Rozterka

Pośród kołyszących się wysoko nad głową koron drzew
wznoszą się skołowane myśli i łączą się w jedną całość.
Po mrozolnym drażnieniu kolejnych problemów, szukają wytchnienia.
W zielonym leśnym namiocie nabierasz nowych sił,
sił cierpliwości i trwania jak opłukiwany w strumieniu kamień.
W pamięci tkwią jeszcze uczucia gorączki wydarzeń,
które jak oderwane od ściany wiekowej góry głązy
nieoczekiwanie padają raz po raz pod nogi życiowych dróg.
Tkwią jeszcze w głowie bolesne ciernie zwątpienia, beznadziejności.
Dotychczasowe ideały, duchowe życzenia, powoli roztapiają się
jak kry lodu na rzece w wiosennym słońcu i powiewach ciepłego wiatru.
Głębokim oddechem wchłaniasz pełną piersią świeże orzeźwiające powietrze.
Rodzi się nowa refleksja, przecież odwieczny nurt płynącej rzecznej wody
unosi, zatapia, omija i znosi wszelkie przeszkody na swojej drodze do celu.
Cel tak, ale jaki? Szukasz odpowiedzi u leśnego echa i szumiącej wody rzecznej.
Czy nadal jest możliwym wieść życie w powszechnym codziennym wydaniu?
Czy za wszelką cenę dążyć do dobrobytu i poszukiwać wciąż nowych przyjemności?
Czy zrezygnować z obserwowania, analizowania i odczytywania rzeczywistości?
Czy zrezygnować z prób, modernizowania i włączania się do kolejnych zmian?
Czy zrezygnować z ostrzegania i walki nie tylko o swoją, ale i ogólnoludzką godność?
Wchodząc w głąb lasu dostrzegasz, jak niby spokojnie stoją obok siebie
zielone sosny, brzozy z białymi pniami, a przecież te przyjazne drzewa walczą ze sobą
o światło, ziemię, choć na pierwszy rzut oka wyglądają jak piękna spójna rodzina.
A jednak łagodna zielona masa lasu, jego chłód, jego głębia pełna tajemnic,
cichy jednostajny szum wody w rzece, są szeptem przyrody, dają znaki
do wytchnienia, wsparcia, otuchy i wskazują drogę wyboru celu.
Znowu pojawia się nadzieja i rodzą się nowe siły do dalszej wędrówki.

WARSZAWA, 26 CZERWCA 2022 R.

Dlaczego?

Budzisz się ze snu pełnego nocnych marzeń.
Przecierasz oczy i gubisz ostatnie senne przygody.
Poranne jasne światło wlewa się przez okno do pokoju.
Jego blask kłuje w oczy i przywołuje nową rzeczywistość dnia.
Czujesz się jak nagi liść oderwany od pnia swoich marzeń.
Powoli z godziny na godzinę oddajesz się w ręce innych.
Pozwalasz im mówić, przyznajesz słuszność, potępiasz.
Zgadzasz się, taktycznie znikasz, by znów się pojawić.
Gra, ta codzienna gra na życiowej społecznej scenie,
krążysz pośród wielu stałych i przygodnych aktorów.
Każdy z uwagą obserwuje, śledzi innych i gra swoją rolę.
Jakże ciekawy jest pejzaż zróżnicowanego społeczeństwa.
Jedni pobłażliwie patrzą na twoją grę, kibicują, lecz bez entuzjazmu.
Drudzy nie przeszkadzają, nie pomagają, swoją partię tylko grają.
Są i tacy, co czekają na jakieś głupie Twoje potknięcie, starają się
utrzymać Ciebie w swojej sieci, dając za przynętę życzliwość,
ciepłe uczucie, nadzieję sukcesów na nowych drogach awansu.
Słowa, słowa, jak wzniosła, piękna i pełna patosu jest ta mowa.
A i rozsądek gubi się w tym jakimś awansie, pyta się, po co i dla kogo?
Pyta także, dlaczego Ja nie mogę robić tego, co mi się podoba?
Dlaczego Moje marzenia pozostają tylko w nocnych snach?
Dlaczego Moje życiowe losy zależą od pogody ducha innych?
Dlaczego Moje inne Ja przepędza się jak uciążliwego lokatora?
Dlaczego na tej życiowej społecznej scenie niezrozumiani nie mają szans?
Chociaż Mnie się nie podoba, to dlaczego wymyśla się dla Mnie inne życie?
Czy to, które prowadzę, musi być zgodne z normami doskonałej jednolitej szufladki?

WARSZAWA, 20 LIPCA 2022 R.

Biblioteka

Tkwisz w środku codziennej gonitwy,
przytłoczony małymi i wielkimi problemami,
w przerażającym natłoku nowości, a i także
odkryć we wszelkich dziedzinach życia.
Z niepokojem patrzysz i stwierdzasz,
światem rządzi przypadek, a moje życie
jest hazardową grą o lepsze jutro i przetrwanie.
Przekraczasz próg pokoju pełnego tajemnic.
Równy poukładane na półkach książki
stoją i zachęcają do intelektualnej przygody.
Siadasz w wygodnym fotelu i poddajesz się
atmosferze spokoju, wewnętrznej ciszy i refleksji.
Niech świat na zewnątrz rozleci się na kawałki.
Tutaj jeszcze trwają stare dobre czasy.
Tutaj wodzisz oczami po tytułach książek,
dostrzegasz siłę ludzkiego intelektu i trwania.
Trwania, które przez całe stulecia tworzyło dzieło.
Dzieło określone jednym słowem KULTURA.
Krótkie słowo, a jaki ono ma szeroki wymiar.
Obejmuje każdą dziedzinę ludzkiego życia,
określa ślady pokoleń ludzkiej działalności.
Komentuje współczesną codzienną rzeczywistość.
Poddajesz się atmosferze narracji autora tomu.
Przenosisz się do innej niż dzisiejsza rzeczywistości.
Podróżujesz pośród różnych idei, myśli i wartości.
Podziwiasz siłę i piękno słowa utrwalonego na papierze.
Ktoś z przekorą powiada: przeżywasz bajki z przeszłości,
bojaźliwie uciekasz od rzeczywistości i gubisz życiowy rozsądek.
A jednak ten życiowy rozsądek drzemie w owych „bajkach” z przeszłości.
Czeka na kolejnego „odkrywcę” ich przesłań, sensu i wartości.

WARSZAWA, 27 LIPCA 2022 R.

Przesłanie dla wnuków

Zmysły przekazują nam przeżycia, wzruszenia,
podkreślają wagę wydarzeń, w których uczestniczymy.
Wydarzenia budują trwałą i jedyną drogę naszego życia.
One, te dzisiejsze jak i te sprzed lat, tkwią w naszej pamięci.
Pamięć rejestruje zabarwione uczuciem dobre i złe wydarzenia.
Silniej zaznaczają się dobre i te, których nie musimy się wstydzić.
Słabiej zapisują się te, które chętnie wymazalibyśmy z pamięci.
Z natłoku drobnych faktów codzienności wyłania się to co ważne,
To co pobudza nasze uczucia, wzruszenia i pozostawia ślady przeżyć.
Zaciera się w pamięci to co było monotonnym codziennym działaniem.
Oczyszcza się przedpole do rejestrowania ważnych faktów i uczuć.
Uczucia w perspektywie czasu przybierają wyolbrzymione rozmiary.
Przeżycia i wzruszenia spajane uczuciem budują pałace szczęścia.
Pałace szczęścia zawieszono w marzeniach są natchnieniem życia.
Nadzieje na szczęśliwą przyszłość tkwią korzeniami w marzeniach.
Kolejne dni i lata drogi życiowej budujesz z nowych wydarzeń.
Marzenia są drogowskazem i siłą tworzącą mury Twojej tożsamości.
Ty i Twoja tożsamość wpisują się w meandry zmian celów i marzeń.
Historię życia tworzą wydarzenia, które rejestruje nie tylko Twoja pamięć.
Pamięć zbiorowa wartościuje, wytycza miejsce w społeczności, w której żyjesz.
Społeczność niekoniecznie musi znać Twoje marzenia, które są Twoim celem.
Siła trwania w realizacji swoich celów jest próbą sił Twojego charakteru.
Siła oddziaływania innych jest próbą Twojej wiedzy, rozsądku i doświadczenia.
Codziennie zapisujesz w pamięci kolejną kartę swojego życia.
Ty i tylko Ty decydujesz o wyborze swojej drogi.

WARSZAWA, 30 LIPCA 2022 R.

Letni deszcz

Upalny, duszny, bezchmurny dzień.
Rozgrzane powietrze drży zmęczone żarem.
Liście na drzewach pokornie skłaniają się ku ziemi.
Spopielona ziemia unosi się szarą chmurą nad polną drogą.
Pod ochronnym parasolem drzew skryły się spragnione ptaki.
Wierzby lekko kołyszą na wietrze swoimi zielonymi włosami.
Ich drobne listki wiją się jak wyrzucone na brzeg ryby bez wody.
Życie w oczekiwaniu jakby zatrzymało się na choćby kroplę rosy.
Do błękitnego nieba wznosi się pasemko szarego dymu z komina.
Ktoś rozpałił ogień w piecu, po ciężkim dniu szykuje ciepłą kolację.
Słońce powoli skrywa swoje gorące promienie za zieloną ścianą lasu.
Na niebie pojawia się korowód maleńkich, coraz liczniejszych chmurek.
Coraz głośniejsz wzmaga się pomruk wiatru, a w szczelinie okienic groźnie
przeradza się w wycie wichru ostrzegającego przed kolejnym kaprysem lata.
Za płotem na opustoszałej drodze tańczą poderwane powiewem wiatru wspólny
ostatni taniec upalnego dnia liście z tumanami kurzu i lekkiego suchego piasku.
Wielkie krople deszczu uderzają w okno, bębnią rytmicznie po blaszanym parapecie.
Spóźniony letni deszcz grubymi kroplami uderza w spragnioną wody ziemię.
Raz po raz wzmagają się fale deszczu, pochylają korony drzew, a woda
spłukuje z liści kurz i przyozdabia je w odświeżoną zdrowszą szatę.
Obfite krople wody tworzą maleńkie jeziorka i bystre rzeczki.
Spragniona ziemia szybko wchłania kałuże, jeziorka, rzeczki.
Skarcony kroplami deszczu piasek na drodze osiada, ubija się
lub spokojnie poddaje się niesiony w dół strugami wody.
W kuchennym piecu dogasa płomień, ciepła herbata
gasi pragnienie, chłodny powiew wiatru uspokaja.
Nastaje ożywcze tchnienie letniego wieczoru.
Szybki, obfity deszcz wybudził z ospałego żaru.
Na czystym błękitnym niebie pojawiły się gwiazdy.
Jutro będzie nowy, inny i też ciekawy dzień.

WARSZAWA, 31 LIPCA 2022 R.

Jerzy Mizgalski – częstochowianin urodzony w 1950 r. w dzielnicy Stradom, absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika. Studiował na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Śląskiego, uzyskując kolejno tytuł magistra historii, a następnie doktora habilitowanego. W 1989 r. został pracownikiem naukowo-dydaktycznym Uniwersytetu im. J. Długosza w Częstochowie, gdzie pełnił wiele funkcji, w tym prorektora (przez dwie kadencje). Obecnie jest na emeryturze. Był współorganizatorem Zjazdów Żydów Częstochowian, organizatorem odpowiedzialnym za merytoryczną stronę dwóch wystaw zatytułowanych „Żydzi Częstochowianie”: pierwsza miała charakter czasowy, odwiedziła wiele miejscowości w USA i Kanadzie, druga ma charakter stały i znajduje się w Muzeum Żydów Częstochowian w Częstochowskim Muzeum. Współorganizator Częstochowskiego Festiwalu Filmowego im. Braci Krzemińskich.

Sylwia Oksiuta-Warmus JUWENILIA

RACHUNEK SUMIENIA

Oto ja, Panie
– człowiek końca XX wieku
weteran własnych myśli
pustelnik bez uczuć
krzyczący głuchoniemy
zdobywca bez nagród

Przychodzę... prosić...
Już nie o czas, którego i tak ciągle mi brakuje
Nie o miłość, którą przepuszczam przez palce.
Nawet nie o pomoc; przypisuję ją szczęściu...
A tym bardziej nie o zdrowie, na które ciągle narzekam

Staje dziś przed Tobą
rekordzista złudzeń
żebrak nadziei
nędzarz własnych doświadczeń
zmarnowany talent
bojaźliwy sługa.
Syn marnotrawny
niegodzien byś mu wybaczył
... prośbę o WIARĘ W TWOJE ISTNIENIE

DOM

Mam tak wiele
a wstydzę się pracy
za paznokciami serca
Przeklinam rzadką uczciwość
rujnującą dobroczynność
pozory ciszy

Niespełnione ambicje
dźwigam z niedopatrzaniem
siebie

Wychodzę i gram
choć teatr już dawno spalony

Zdrowie i miłość
Kochany fotel codzienności
przestarzały mebel

Boże zachowaj

NA ROZDROŻU

Najtrudniej jest wyjechać z domu
późnym wieczorem
gdy nic nie wróży rychłego powrotu...
W oknie żegna cię pełna nadziei
matka
Przed tobą tydzień walki o lepsze jutro
A ty już nie masz siły
przedzierać się łokciami przez tłum
nie nauczono cię tego.
Świat potrzebuje zdobywców
nie należysz do nich.
Ale przecież nie chcesz umywać rąk
to twoje życie
Więc stajesz na starcie i biegiesz
Gubiąc po drodze siebie...
Gdzie jesteś?
Kim jesteś?
Dokąd zdążasz?
Sumienie domaga się odpowiedzi...
Studnia
Światło rozświetlające mroki

A w oknie twarz matki
i jej wytęskniony wzrok
Czeka tak już od wczoraj...

Na stole ciepły chleb
książki kupione z myślą o tobie
ogień na kominku
i zapłakane oczy

Jakże mógłbyś nie dać im nadziei...?
Światło rozświetlające mroki
Studnia

WIEŚ. OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Lato, pełnia miodu
pszczół, co kratki farmaceutyczne dają
Nieświadome jutra bez lata

Sianokosy, bose stopy
ludzi, co księżycem w połudzień
odbijają słońce
Niosąc w sercach życie
ze złotych bram zbóż

Strumień, dziewczica łąza
skromności, co nakryta
zarzuca firany zieleni
zmieszana

Lasy, sanatoria dusz
plac zabaw dzieci
warsztat pracy ludzi, codzienność tkają
nicią spełnienia
Echa przeszłości przywołując
z mocnych gardeł prostoty

Chaty, kryte strzechą
szczęścia, co przez bielone okiennice
gościnności strawy nie odmawiają

Łąki, galerie radości
podkasanej kiecki, co zapachem kwiatów
napęlnia dzban pragnienia

Dziewka w porannej rosie skąpana
co wybujała niczym malwa najdostojniejsza

Ręce, mapa życia
poorana pługami potu
co nigdy się ludzkiej pracy nie wstydyła

Składam wam hołd wdzięczności za ten okruch
wspomnienia...

(SYLWIA OKSIUTA, LAT 18, 2000 R.)

Tadeusz Luterek

POMIĘDZY LICZBĄ A LITERĄ – wybór

WE WŁADZY LITER

Zbigniewowi Żmigrodzkiemu
... litera bowiem zabija, Duch zaś ożywia
(2 Kor 3,6)

Powiedz, mała litero, dlaczego zabijasz
Życie ze snu zbudzone, poranne natchnienia,
Odkąd je swoim własnym imieniem nazywasz
I kropkę na koniec stawiasz jakby od niechcenia?

Kiedy zamykasz w swych śmiertelnych księgach
Historię, która zwykle zbyt szybko przemija
I chociaż, wczoraj jeszcze, nazbyt siebie pewna
Zniesławiona przez wielu staje się niczyja?

Zalega bibliotek półki i stare archiwa,
Kurz jej zbiory pokrywa i robactwo czyta,
Gdy ją ktoś nieopatrznie przed światem odkrywa,
Jakby z bezimiennego grobu była wydobyta.

A ALFA

Jeszcze nie mówi, znaki ledwie daje,
na palcach liczy, mały świat poznaje.

Jej niemowlęctwo cieszy i zadziwia,
choć krzykliwe, zbuntowane bywa.

Nowy dzień widzi, gdy usta otwiera,
pochmurne niebo w oczach się przeciera.

Słoneczna jasność załśni, zakołuje,
przedsmak natury zmysłami poczuje.

A wówczas w zdanie litera się składa,
natchnione strofy z lekkością układa.

B BIEL

Pragnie być szaty kolorem niewinnym,
pełnym godności, nieledwie dziecinnym.

O czystość wtedy, porządek zabiega,
choć jej praca łatwo nie przebiega.

Stale coś sprząta i pyta sumienia,
ile zaniedbań jest do naprawienia.

Maluje zimy i wiosny kwieciste,
odcienie kładzie jasne, wyrzäste.

Z wiarą wstępuje w związek niezawodny,
a jego owoc dojrzały, dorodny.

C CZERWIEN

Barwa krwi, co niezmiennie płynie w krwioobiegu,
ją najwyraźniej zobaczysz na śniegu.

Tętniąca życiem, dziwnie niespożyta,
pracy oddana, o wiele nie pyta.

W ogniu, gdy zimna i kiedy gorąca,
w wodach rodzenia i w promieniach słońca.

Bywa błękitna – od jej pochodzenia
z rodów szlachejnych – wtedy bez skażenia.

Gdy do ostatniej kropli krwi przelana,
dla wyższych celów jest ofiarowana.

D DROGA

Prosta i kręta, długa, niezbadana,
nim cel osiągnie, pada na kolana.

Wśród gwiazd – to Mleczna, kiedy ból – Krzyżowa,
wtedy przez mękę, krwawa i cierniowa.

Do Emaus wiedzie, idą i uczniowie,
pilnie słuchają, co im Chrystus powie.

Czy bez powrotu lub do zatracenia?
wiele zależy od naszego chcenia.

Mówią, że wszystkie prowadzą do Rzymu,
i niech tak będzie, składa się do rymu.

E
ECHO

Będzie powracać to głosu odbicie
jakby prosiło, błagało o życie.

Przywołać chciało czas pamiętnej sławy,
słabnące tętno wzmocnić łykiem kawy.

Przywołać dawne dobra i własności
i nie poddawać prawu bezwładności.

Na szansę czekać, chociażby niewielką,
nadzieją bywać i pocieszycielką.

I jeszcze wiele doznawać dobroci,
lecz czy możliwe jest to, moi złoci?

F
FILOZOFIA

Słów mądrych miłość i poszanowanie
– czy waży tyle, że drogą się stanie?

Czy oderwane poglądy coś zmieniają,
kierunkiem będą, nowych odkryć ziemią?

Jak żyć – powiedzą – dobrze i szczęśliwie
i mieć sukcesy na niejednej niwie?

Tak wiele bowiem jest na świecie rzeczy,
o których nie śnią mędracy i poeci.

Stąd ciężki kamień filozofii czeka,
gdy prawd tak wiele pochłonęła rzeka.

G
GWIAZDA

Ta, co zachwyca – to gazowa kula,
niektórzy mówią, że rodzi się w bólach.

Gdy betlejemską – przed Mędrkami idzie,
gdy Izraela – świadczy o Dawidzie.

Pierwsza – poranna, po niej – południowa,
późno – wieczorna, wreszcie – super nowa.

W Wigilię – gwiazdka, w miłości – gwiazdeczka,
z wdziękiem otwiera szczęśliwych dni wieczka.

Wcieleniem światła, choć i ciemna bywa,
w jej blasku lepiej życie się przeżywa.

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

KIEDY MILKNĘ

Stanę się kiedyś bardzo potrzebna
(staram się być ale nie umiem)
i wstążką soków wśród drzew korzeni
przewinę się jak nowy strumień

i palce moje już nie- palczaste
i włosy moje już nie- lśniące
i nogi moje już bez- stope
w korzenne ciało ziemi wplączę

stanę się kiedyś tak potrzebna
jak wiatr jak słońce i jak woda
jak ziarno wsiana zostanę w ziemię
by móc wykwitnąć w treści zboża

1985

Po trzykroć ze śmiercią piła strzeziennego
jest z nią po imieniu jak starych kumpli para
(ogień chciał ją strawić
lód serce brał w okowy
niemoc mózg pętała)
po trzykroć ze śmiercią piła strzeziennego
zapewne dnia któregoś mocno ją przytuli
z niedokończonym słowem w klatce ust
zduszonych smakiem gorzkiego zawodu
z głową w piekarniku lub sznura palcami
czule zaciśniętymi na przełęcz krtani
drżącymi palców opuszkami
szukających ciepła ciała
kochanka dla którego
tlenem być
przestała

2008

Obdarowała go tajemnicą
swojego ciała
dotykem rąk
ust szeptem

– wszystko jak kamień w studnię –

brak czułości odczłowiecza

2022

Samotność

Samotność pali papierosa
pije kawę
spogląda w okno
krople deszczu liczy
z żalem patrzy jak
rozbijają się
na ulicy

samotność światło gasi
o zmierzchu
w poduszkę wpada
ciężką głową
nazajutrz wstanie wczesnym
świtem
z bladością twarzy
znowu zapali papierosa
mocną kawę zaparzy
i stanie w oknie
z nadzieją płonącą
że może ktoś ją
zauważy

2022

Walizka

Już spakowana
wszystko ułożone jak trzeba
(niczym na sklepowej półce
bochenki rumianego chleba)
nieładu w niej nie ma –
zmieściła okruchy radości
łzy uronione ukradkiem
refleksje uniesienia
tańczące w brzuchu motyle
zawody upokorzenia
rozczarowań chwile
kopniaki przez los zadane
odbite na pośladkach
(jak pieczęć na testamencie
wnukowi spisany przez dziadka)
w niej szarość dnia codziennego
i trochę słońca od święta
dziwne
że w szwach nie pęka chociaż
pieczołowicie zdołałam w niej
upchnąć bez mała
całe swoje życie

2022

KIEDY MILKNĘ

Kiedy milknę to znikam
ginie ciało w barwny ciuch odziane
wyparowują ślady stóp na podłodze
zamierają kroki
w milczenia chłodzie
blednie mój cień na ścianie
serca nie słyhać
zagłuszone
zegara tykaniem

kiedy milknę to znikam
jak wiatr który z podniecenia szalał
w ponętnych zaroślach jeziora
jak w lutym pocałunki
szalonego lata
jak w czasie burzy słów
cisza

już milknę już znikam

2023

WSZYSTKO MA SWÓJ CZAS

Wpatrując się w siebie
nie rozpoznaję twarzy którą znałam
ust noszących pocałunków ślady
oczu roziskrzonych każdym nowym świtem
burzy zmysłów nie czuję
jakbym była kimś obcym
dla własnego ciała w którym czas mnie więzi
z którego uciec chciałam
jakiejś ponurej nocy

wpatrując się w siebie
sensu bycia nie szukam odpowiedzi nie ma
nie znajdę jej w Wikipedii coraz trudniej będzie
zaprzyjaźnić się ze sobą
z tą inną od tamtej
obcą dla mnie
osobą.

2023

Już nie proszę –
przytul mnie chociaż
raz na jakiś czas muśnij w przelocie
moją twarz
szepnij czule słowo
żebym mogła na nowo poczuć
płynącą we mnie krew
i śpiew jej usłyszeć

już nie proszę
zaklęta w ciszy drzewa
opadam liśćmi

2023

Kiedy o zmroku randkuję z lustrem
strzepuję z siebie kurz minionego dnia
choć nie wiem czy jeszcze jestem
słowem
czy już szelestem
czy już się wplątam w powietrze
(jak znad jeziora mgła)
to dumna jestem że wciąż
mam tę samą
jedną twarz

2023

Andrzej Ostałowski LISTOPADOWO O ŻYCIU

Zbyt późno

wybuchłem płomieniem
żarem myśli zniewolony
kropki deszczu pragnę
stać się sopłem lodu

jabłko zielone
młodości nadzieją
czerwienią dojrzałości
spadnie

niewolnicze pęta
serce otuliły wersami
zachrypnięty słowik
ich nie wyśpiewa

w miąższ jabłka czerwonego
wgryzam się zębami
pod drzewem życia leży
słodycz starości oferuje

z drzewa go nie zerwałem
stałem zaślepiony
teraz wiem
miałem okazję
żałuję

Ból

ból po ciele jak kornik
korytarze draży
odrętwiały umysł rany
cierpieniem chce zacierać

z dezaprobatą erupcję
ciała przyjmuje
girlanda wątpliwości
dopina gorset przeznaczenia

akuszer istnienia sphywa
akweduktem absurdu życia
niesie strzałę agonii
w ciebie celuje

jego ręka
wątpliwościami się chwije
może nie trafi
trzeba mieć nadzieję

kurs strzały zmieni
Boskie ocalenie

Listopadowe wspomnienia

pierwszy listopada
znika w wieczornym mroku
cmentarz rozpalony zniczami
czerwoną luną świeci

zapach chryzantem
unosi się znad grobów
nostalgia wiruje tańcem świec
i zniczy płomyków

dzienny gwar dobiegł końca
rodzinnych uścisków
wspomnień pokazu mody
nastała cisza
znicze się dopalają

dusze rozpoczęły
nocne rozmowy
upojone radością
że pamiętają

świt noc przepędził
cmentarz pełen śmieci
bez gości
powrócił do ciszy
i bezkresu wieczności

Siostr

przed twym grobem stoję
przynoszę białe chryzantemy
zapalony znicz płomieniem płacze

w modlitwie zagłębiony
widzę dziewczynkę
z kokardą we włosach
bawiącą się lalkami

z pąka dzieciności
rozwinęłaś się w różę
rozdawałaś radości bukiety
szczęścia nie miałaś
wyciągnęłaś krótki patyczek

teraz patrzysz z góry
w grobie leżysz głęboko
czas nas ku sobie zbliża
na pewno się spotkamy
Pan nas razem ugości
w niebiosach wysoko

Bez przerwy

gorący dzień dobiegał końca
słońce za horyzont się kryło
krwistą półkulą
złociło krawędź widnokregu
omdlałe liście drzew
pieściło zachwytem

rozgrzane powietrze drgało
harfy strunami
słowik kołysankę głosił
słońce do snu tulił
budziło się dniem
usypiało nocą

życie bez przerwy się toczy
gdy patrzysz
gdy zamykasz oczy



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 011, fotografia format 30x45, 2021 r.

Bezimienni

chodzą bezimienni
nic nie mówią
czasem się uśmiechają
i to wszystko
głaz życia toczą
po tarczy zegara istnienia

stopami ślady kreślą
inni je zacierają
bezimienne drzewa mijają
słuchają bezimiennych ptaków

gdy na ich nagrobkach
napiszą imię
wszyscy ich poznają

gdy ich Pesel do końca
nie zostanie odkryty
jako bezimiennych
pochowają pod murem
oni świadectwa istnienia
nie dali chociaż
między nami żyli
i jak my kochali

Anioł Stróż

na kamiennym cokole
porośniętym mchami
siedzi zamyślony
anioł
stróż mogiły
kresu życia doczesnego

dawno nikogo tu nie było
ci co przychodzili
pomarli
mogiła zapachu chryzantem
i blasku świec
nie pamięta

ale dusza powraca
do miejsca pochówku ciała
siada na granitowym kręgu
cokołu pomnika
i pociesza smutnego
anioła

Anna Jędryka NOSTALGIA

GDY JESTEŚ ZE MNĄ

Gdy jesteś ze mną, inaczej pachnie dzień,
A ciemne chmury rzucają bledszy cień
A deszczu strugi nie płyną niczym łzy,
Lecz wnoszą spokój – gdy obok jesteś ty.

Gdy jesteś blisko, to świt przegania mgły,
A noc przynosi najczarowniejsze sny,
A igły sosen są miękkie niczym kwiat –
Bo twa obecność odmienia cały świat.

Niestraszne wówczas są burze, grad i śnieg,
Ty koisz zmysły niczym najlepszy lek;
Nieważne słowa – gdy jesteś obok tuż,
To tak jak gdyby ktoś dał mi bukiet róż.

A ja te róże przechowam na zły czas,
Gdyby los kiedyś pragnął rozdzielić nas
Lub gdyby chwasty zarosły drogi twe
Albo zbłądziłbyś w porannej siwej mgle.

Więc zostań ze mną, nie odchodź nigdy już,
Bo wolę ciebie od najpiękniejszych róż.
Kolce róż ranią i więdnie cudny kwiat,
A nasza miłość – to cały jest nasz świat.

17 LIPCA 2023 R.

POWIEW JESIENI

Po sierpniowym niebie kręcą się obłoki,
a złociste słońce chowa się na boki;
ptaki dużym stadem zbierają się w górze,
w oddali zagrzmiało – zbiera się na burzę.

I już coraz mocniej czuć powiew jesieni,
choć wszystko wokół jeszcze się zieleni;
boćki na sejmikach myślą o podróży,
a ich głośny klekot rychły odlot wróży.

Przez mą głowę płyną też myśli jesienne,
przemoczone deszczem i niezmiernie senne;
jeszcze wypatruję słonecznych promieni
i pragnę oddalić oznaki jesieni.

Żar lipcowy z nieba nie przyniósł wytchnienia,
był nazbyt męczący, każdy szukał cienia;
sierpień przywiał deszcze i jesienne chłody,
a ja wciąż wyglądam promiennej pogody.

Tak szybko przekwitły jaśminy, kasztany,
szybko minął czerwiec kwiatami ubrany;
zaczynam już tęsknić za widokiem wiosny,
bo wprawiała w zachwyt i w nastrój radosny.

7 SIERPNIA 2023 R.

PRZECHOWAĆ OBRAZY

Chcę zachować ten obraz na zimowe miesiące,
Gdy są długie wieczory, kiedy blade jest słońce,
Kiedy śniegiem pokryte pola, lasy, ogrody,
Kiedy drzewa są szare, pozbawione urody.

Chcę przechować ten widok w swojej ludzkiej pamięci,
Gdy już zima złowroga do spacerów zniechęci.
Chcę ten widok mieć w sercu, często cieszyć nim oczy,
Aż do chwili, gdy wiosna swym urokiem zaskoczy.

Chcę zachować w pamięci plażę, morze i góry,
Drzewa w liście ubrane i niebiańskie lazury,
Gdy ogarnie mnie smutek, żalność, jakieś tęsknoty,
Widok ten będzie droższy niż najdroższe klejnoty.

3 SIERPANIA 2023 R.

TAMTO LATO PACHNIAŁO INACZEJ

Tamto lato pachniało inaczej;
Może wiosną, co rozwija pąki,
Co spokojnie się zjawia po zimie
I rozbudza uśpione skowronki.

Tamto lato pachniało inaczej;
Może ziarnem pszenicy lub żyta,
Których kłosa falują na wietrze –
Wiatr je płącze, zaplata i chwytą.

Tamto lato pachniało inaczej;
Może wonią złocistej jesieni,
Co przychodzi burzliwie po lecie –
Wszystkie liście pozbawia zieleni.

Tamto lato pachniało inaczej;
Może chwilą beztroski, radości,
Może rosą poranną lub deszczem,
Może trawą, co rośnie po deszczu,
Może mgiełką ulotnej młodości...

3 SIERPANIA 2023 R.

ŻAL

Żal opuszcza spokojne morze,
Żal opuszcza uśpione fale;
Ale kiedyś wszystko się kończy,
A życie wciąż toczy się dalej.

Żal opuszcza złocistą plażę,
Żal nie widzieć mew nad wydymami;
Ale przecież znów tu wrócimy,
Jeszcze życie przed sobą mamy.

Żal pożegnać czerwone słońce,
Nurkujące w morskiej otchłani;
Ale przecież rankiem znów wzejdzie
I roztoczy blaski nad nami.

Żal jest żegnać czerwcowe lato,
Prześlągnięte zapachem róży;
Ale przecież czerwiec powróci
I zapachem róż znów odurzy.

Żal każdego ranka, wieczoru,
Żal każdego dnia co odchodzi;
Ale przecież dzień odchodzący
Nowe jutro na pewno zrodzi.

1 LIPCA 2023 R.

Jacek Szczerbak

GADKI Z POSEJDONEM

1.
był sobie kapitan bezdomny,
który rozmawiał z posejdonem
w jaskini nad morzem, gdzie mieszkał,
aż go wyeksmitowali mundurowi,
żeby wybudować bazę wojskową
i wysadzić wszystko w powietrze
razem z rafą koralową, raz jeszcze.

mimo to bezdomny i posejdon
kontynuowali rozmowę, tylko
parę tysięcy lat wcześniej,
gdzie razem się przenieśli,
jak znów wprowadzili maseczki.

2.
posejdon znów zagadał
do kapitana fumadora
zwanego pipą lub bezdomnym,
a ten nadstawił uszu,
aż usłyszał szum
i wsłuchał się
w syreni śpiew.

jak długo kapitan
siedział i słuchał fal,
on sam nie wiedział,
ale dość długo,
by krople morskie
trzy razy spryskały
mu twarz – to słone
splunięcie syreny
przypomniało mu
święcenie kropidłem,
bo kapitan fumador
był pielgrzymem w drodze
z częstochowy w świat,
a ze świata w marzenia
i sny mitologiczne, jak te,
co się przyśniły kapitanowi
między pierwszym a drugim
rozbryzgiem fali, czyli
syrenim splunięciem.

ślina syreny zawiera
substancje psychodeliczne,
a przyjmowana na świeżym powietrzu,
działa niezwykle korzystnie
na wytwórczą wyobraźnię:

kapitanowi pipie przyśniło się,
że zasnął w jaskini nad morzem,
które przyplęnęło z przyplęwem
i wymyło go bez pokładu i statku
bardzo daleko od brzegu.

kiedy odzyskał zmysły,
zobaczył syreny,
śpiewały głosami
zmuszającymi do płaczu:

„w koralowym pałacu
czeka na ciebie posejdon.
ma dla ciebie pracę:
wyławianie rozbiteków.
złap za ogon delfina
płynącego na dno,
jak już nabierzesz
dość powietrza w płuca”

CZŁOWIEK GADA Z MORZEM

morze szumi nocą
dobrze mieć je wokół –
mokrą zimną przestrzeń
między sobą a
swoim przekleństwem

morze nawija bez przerwy
niekończące się opowieści
o starożytnych topielcach,
syrenach usypiających żołnierzy,
żeby uwolnić wiosłarzy

morze wyostrza słuch,
zagłusza głosy nudziarzy,
szumi: „posłuchaj lepiej
jak przechytryłem odyseusza
i rzuciłem go na skały
nigdy go nie lubiłem

wołę już piratów
tych prawdziwych
(nie parszywych korsarzy
łupiących dla państwa)
prawdziwych piratów
jak na przykład ty
– kapitan fajczarz
aka pipa fumador
uczeń matki z konopi
i fan posejdona”

Wiesław „Kardynał” Wyszyński PAN OKEJ

Tego jegomościa nie poznałem do końca
jego klarownej istoty i mojego lenistwa
w schyłkowej epoce Wesołych Robotników
gdy swój cień diabłu sprzedawał kto chciał
ale wtedy był w gorszej kondycji –
jego cień był mniej wyrazisty
mniej subtelny
za to więcej mówił

Poznaliśmy się w knajpie
podłej jak jej goście
o wymyślnej nazwie
Łzy heraklitowe
choć do tej mordowni
bardziej przystawały mętne **Łzy sołtysa**

Obok niego siedział smutas nie z tej ziemi
Pan Tarej –
wszystko w płynie przyjmował bez opamiętania
Obaj wiedli spór ciekły zaciekle
kto więcej wypije
o głupi cień osła
który do nich się dosiadł

Jakby nie wiedzieli że sami grają cienie
chińskie w teatrze kukiełkowym speluny

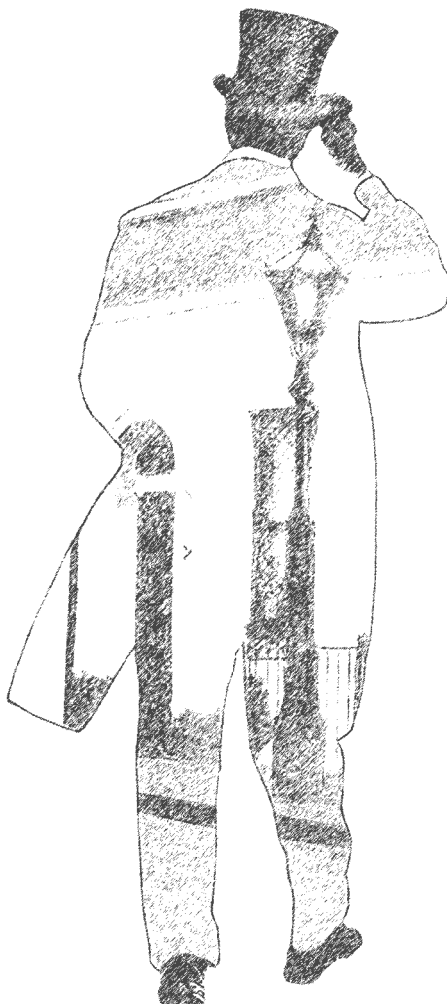
Pan Okej był okej
choć nieco zblazowany
mówił rzeczowo mocno stał na nogach
do toalety szedł krokiem sprężystym
jak nie przymierzając generał Jaruzelski
gdy nie kładł się jeszcze cieniem na nim stan
jak mówił najwyższej konieczności

Pan Tarej odpłynął wkrótce przestał rzucać cień
na podłodze wtopił się w lastryko
jego twarz kamienna jest na wielu pomnikach
i piszą o nim jamby i trocheje

*

Z Okejem widzimy się (przeszliśmy na ty)
tyle razy ile nam potrzeba
jest wciąż elegancki nienagannie się nosi
wyniosłość mając daleko za sobą
jego przejrzystość jest niczym niezmacona
i świeci na wylot wcielonym optymizmem

(2010)



Wiesława Ovczarek

TRZY RÓŻE

Panu Leszkowi G.

PIERWSZA RÓŻA

Więc to róża od Pana?
Chwalił mnie Pan za słowa.
Wiersze Panu daruję,
a różę – zachowam.

Wierszy ci u mnie dostatek,
lecz róż – jak na lekarstwo,
a brak kwiatów w życiu kobiety
to, powiem Panu, draństwo.

Teraz mam i różę, i wiersze,
a wszystko z hojności serca.
Gdyby nie róża od Pana,
nie byłoby tego wiersza.

2011 R.

DRUGA RÓŻA

Dostałam drugą różę...
Rozpieszcza mnie Pan kwiatami.
Czy ja śnię, czy mnie się zdaje,
że coś rozkwita między nami?

Bo w kwestii tej, wciąż niejasnej,
jest tylko jedna sprawa pewna –
Pan przecież wiesz, że ja –
jam kobieta zamężna.

Jednak za rok z drzeniem zmysłów
będę wyglądać trzeciej róży,
która zakwitnie w naszych sercach
i więcej niż wiersz będzie mówić.

2012 R.

TRZECIA RÓŻA

Ja wiem, że więdną uczuć płatki,
czas robi swoje i wszystko umiera.
Tak upragnioną była trzecia róża,
dwa lata mijały i nic...
Pan mnie nie dostrzegał.

Zostało mi tylko przypomnienie
tych dni szczęśliwych, radosnych wielce,
gdy z błahych przyczyn dostawałam
różę czerwoną, tętniącą życiem
jak Pana serce.

Wołać musiałam do Pana o trzecią,
w oczy spoglądać w błagalnym proteście,
abyś Pan pojął, że kobiety
tak łatwo się nie pozbędziesz.
I mam trzecią różę. Nareszcie.

2015 R.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 015, fotografia format 30x45, 2020 r.

Janusz Jano Mielczarek

Jeszcze nie jesień

Joli

Jeszcze nie jesień, Kochanie,
jeszcze nie wczoraj.
Jeszcze księżyc w bieli hortensji
udaje dziedzica
i tribuczyna* pyszni się czerwienią
do życia, do życia, do życia...

Zanim Pan Kontroler
podpisze co trzeba,
nim przeczuci papiery
na ziemi i w niebie,
to my, wciąż niesforni
i wciąż bez pytania
biegniemy do siebie, do siebie,
do siebie...

1 WRZEŚNIA 2023 R.

* Tribuczyna – rodzaj buka purpurowego *Purpurea Tricolor*, wyróżniającego się kolorami czerwonym i dwoma odcieniami zielonego

Ida Jadwiga Łubińska

OBRAZY

Marzenie

W gonitwie myśli
Nieuczestnych
Poplątanych
Dreszcz emocji
Jeden wątek
Jeden temat
Jedno dążenie
Przepycha się
Jest spójne
Kolorowe
Jak marzenie

Na szybie okna

Długonoga ważka
Nieruchoma
Jakby zagubiona
Jak jej los
Dokąd ma iść
Jaką drogą
Osuwa się na dół
Na krawędź
I nie wie nic...

Pamięć

W zakamarkach biblioteki pamięci
Obrazy kryją się w ciszy, zapomnieniu
Zamglone, nostalgiczne, fragmentaryczne
Przełamuję niemoc, szarzyznę spopielenia
Zaczynam snuć, wiązać wątle nitki
Otwieram kolejne karty z książki życia
Te kolorowe, pełne barw
I te ledwie zarysowane, niedopowiedziane
Kontury losów, zdarzeń epizody
A może...
Sfabularyzowane opowieści
Rodzinne legendy
Z szarości rozterek wyziera promyk nadziei
Spróbuję
Odtworzyć przebrzmiałą historię

Janusz Strojec

OPAKOWANY

I. Opakowany w betony
krążę między ulicami zamiast
Saturna odziany w reflektory
samochody wirują wygonami
posiwiacie w rozpaczy drzewo
osadza chłód
smugami słońce dziurawi
przestrzeń a ptaki posmutniała
radość roztrzepczą w gniazdach
rodzimych tylko ogrzane
pierwszymi strzałami słońca
w nadchodzącym przebudzeniu
bez ciebie

II. Opakowany w przestrzenie
w siedem stron świata ze
stygmatem przynależności
z krzyżykiem wiatru w ranach
niepamięci tęsknotą
jaki ojciec
taki syn
gdzie ojciec a
gdzie syn
wciąż siebie upatrujemy
wpatrzeni w bolejącego
podróżny krzyż zbity z desek
zapamiętania
na pamiątkę

III. Opakowany w opowieść
za górami za lasami nim
weźmiesz ze sobą bezmiar
radości drapaczy chmur ludzką
ręką skreślony
wyhoduj kwiaty na ziemi
ojców nim weźmiesz bociani
klangor błysnij mi jeszcze
dotykem słabością ułomnością
a potem zachodź i otul
ciepłem by po roztopach

jak ptak karmiony dla przynęty
powracać do gniazda
i tak bez ograniczeń

IV. Opakowany w inspirację
w strukturę form badającą fazy
ruchu w figurach geometrycznych
oscyluję pomiędzy cielesnością
abstrakcją kształtu i dynamiką ostrych
cięć na krawędzi wiatr
budzi ciszę
i płacze wśród gęstwiny traw i
ja go słyszę w zaklętym
kręgu zrywając liście tańczy
w burzę zakręcone kalkulacje
rozproszoną energię odwołuje
i kreśli emocje
mojego trwania

V. Opakowany w przekształceń
analizowanych form skojarzony
z laboratorium aktywności
projektuję grafikę malarstwo książkę
chodzę wydeptaną ścieżką
szukam ojca dziada i pradziada
myślę o Polsce Popiełuszki
Jana Pawła Bieruta i Stalina
świat mój jest mały
jak okno pełne jaskółek
czy ostów ostropestów czy kasztanów
jak dom modrzewiowy
Norwida czy Chopina
z ciężkim oddechem serca
z głuchym łoskotem kamieni
opakowany w przestrzeń
szukam własnego domu

Zdzisław Opałko

Gdy odchodzą

Gdy odchodzi z tego świata mężczyzna
nie zawrócą się kule do łuf
może tylko kilka z wielu pomyłek
w krótkim czasie nie zdarzy się znów

Gdy odchodzi z tego świata kobieta
nie oddzielią się dzieci od łon
może tylko tych kilka kwiatów
nieco dłużej zachowa woń

Gdy odchodzą z tego świata chłopcy
nie wyzwolą się ławki od szkół
nie zamilkną zielone boiska
drużynami dzielone na pół

Gdy odchodzą z tego świata dziewczynki
nie uciekną skakanki z rąk
może tylko kilka nowych sukienek
nie usiądzie z motylami wśród łąk

Gdy odejdą z tego świata narody
nie zadrży w posadach świat
może tylko na Ziemię powrócą
większy spokój porządek i ład

Gdy odejdzie z tego świata człowiek
nie zapełnią się sceny od ról
pospadają z nieba bogowie
do swych dawnych kryjówek wśród gór

Barbara Strzelbicka**mur**

sąd umorzył śledztwo
przeciwko ochotnikom
którzy pomagali uchodźcom
nielegalnie przekraczającym
granicę polsko-białoruską

usłyszeli głosy bólu i rozpaczy
jak zwierzęce wycie
ratowali życie błakających się
po lesie i na bagnach
umierającym
rodzącym
głodnym
spragnionym
pijącym wodę z kałuży
wychłodzonym
bosym
zaszczutym
na których urządzi się
polowania z nagonką
i w imię prawa wypycha się
tam skąd uciekli
bo nikt ich tu nie zapraszał

dochodzenie trwało pół roku
trzeba było dokładnie zbadać
sprawę i ją udokumentować

bronią lepszego świata
plot z żyłek
mur najeżony elektroniką
wieże wartownicze
druć kolczasty pod prądem
kamery

a mury runą
i nie tylko poeci w to wierzą



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 017, fotografia format 30x45, 2020 r.

Arkadiusz Frania

PASJA PISANIA WIERSZY

(JANINA ŁOTACH)

JANINA ŁOTACH (1933-2002) TO JEDNA Z CZĘSTOCHOWSKICH AUTOREK, w dorobku której próżno szukać indywidualnej książki, choć – jak pisali w 2006 roku Władysław Edward Piekarski i Zbigniew Stańczyk – „miała w przygotowaniu – tomik wierszy i opowiadań”¹. Już jednak wcześniej, bo w 1985 roku Halina Swaton zanotowała: „Oprócz poezji lirycznej uprawia również prozę. W przygotowaniu – tomik wierszy i opowiadań”². W wywiadzie z 1975 roku poetka deklarowała: „Zamierzam [...] napisać sztukę o farmaceutce dyżurującej nocą w aptece, znam te sprawy doskonale”³. Wyjaśnijmy, że gdy Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny „Aleje 3” w 1999 roku podał do druku prozę Janiny Łotach *Odezwa do zwycięzców*, opatrzył ją krótką notką: „mieszka w Błachowni, ukończyła farmację. Należy do Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Drukowała w almanachach UPPL, miała wieczory poetyckie w Warszawie i Częstochowie”⁴. Pisarka ze smutkiem wskazywała na trudności dotyczące łączenia działań zawodowych z tworzeniem: „To jest mój osobisty dramat. Praca w aptece i obowiązki domowe pochłaniają mi tyle czasu, że na moją jedyną w życiu pasję – pisanie wierszy, zostaje mi bardzo mało wolnych chwil”⁵.

Pozostały zatem utwory w prasie⁶, antologiach⁷, być może w rękopisach. Większą prezentację pt. *Wiersze prawie że wszystkie* (sic!) przyniosła edycja *Varia Częstochowskie 2006*

- 1 Łotach Janina [biogram], [w:] W.E. Piekarski, Z. Stańczyk, *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, Wydawnictwo WIKSTAN, Częstochowa 2006 [seria „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”], s. 227.
- 2 Łotach Janina [biogram], [w:] H. Swaton, *Literaci związani z ziemią częstochowską. Słownik bibliograficzny*, „Kwartalnik Metodyczny”, Rok X, 1985, nr 1-2, Katowice – Bielsko-Biała – Częstochowa, V. Wkładka 2, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie, s. 26.
- 3 *Sylwetki farmaceutek*, z J. Łotach rozm. K. Serafin, „Farmacja Polska” 1975, nr 12, s. 1005.
- 4 [notka o J. Łotach], Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny „Aleje 3” nr 20, marzec-kwiecień 1999, s. 19. Teksty J. Łotach interpretowali znakomici polscy aktorzy: „Miała także kilka wieczorów autorskich i audycję w radiu. Utwory p. Janiny recytowali znani aktorzy, m.in. Halina Mikołajska, August Kowalczyk, Zbigniew Zapasiewicz, Ryszarda Hanin, Henryk Boukołowski” (*Sylwetki farmaceutek*).
- 5 *Sylwetki farmaceutek*.
- 6 Wybrane wiersze J. Łotach w „Nad Wartą”: *Wieczorem, Kury, Do róży, Tulipan nocy, Zielone nastroje* (1965, nr 6, s. 3); *Miasteczka, Gdy jesteś* (1966, nr 4, s. 3); *Ten piasek godzin...* (1976, nr 10, s. 2, dział „Kartka poetycka”); *wyznanie* (1976, nr 12, s. 6, dział „W kręgu poezji” – prezentacja Korespondencyjnego Klubu Młodych Twórców w Częstochowie); *Czerwiec* (1979, nr 12, s. 6, dział „Kartka poetycka”). Zobacz także: *Izolda* „Informator Kulturalny Województwa Częstochowskiego” 1986, nr 4 (kwiecień), s. 33.
- 7 J. Łotach: *Czerwiec*, [w:] *Konfrontacje Poetyckie*, Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Częstochowie, Częstochowa [1978] [wyd. z okazji V Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich 1978], s. 23; *O dzikim aniele, Córka Jaira*, [w:] J. Mikołajtis, *Historia literatury ziemi częstochowskiej. Zarys*, wyd. 3, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza Oddział Częstochowski, Częstochowa 1985 [seria „Prace Naukowe”, red. J. Mikołajtis, J. Wójcicki, t. XXXVIII: „Komunikaty Naukowe”, red. Z.J. Mikołajtis, A. Baranowski, rocznik XVIII, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza Oddział Częstochowski, Częstochowa 1985], s. 232-233; *Wilcza antyfona*, [w:] *by widzieć za siebie... spojrzenie 2. Utwory poetyckie laureatów Turnieju Jednego Wiersza o nagrodę Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Częstochowie w latach 2000-2004*, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie, Częstochowa 2008, s. 29.

albo Rocznik literacki (2007) zawierająca aż 29 tekstów⁸, co można traktować w kategoriach quasi-arkusza poetyckiego.

Rejestratorzy życia literackiego Częstochowy „widzieli” poezję Janiny Łotach. Elżbieta Cichla-Czarniawska, przedstawiając w 1969 roku pejzaż poetycki miasta, omówiła dorobek Zbigniewa Żmigrodzkiego, Tadeusza Gierymskiego, Tadeusza Biskupa oraz Andrzeja Ostrowskiego, a do grona osób, które „stale przebywają w Częstochowie i tu rozwijają swą twórczość poetycką” zaliczyła, poza wyżej wymienionymi, również takich autorów, jak: Janina Łotachówna, Jan Łączewski i Janusz Mielczarek⁹. Z kolei Józef Mikołajtis w połowie lat 80. XX wieku wyraził pogląd, że „spośród wszystkich nazwisk [...] trzy wybitnie wyróżniają się: Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, Janiny Łotach i Haliny Poświatowskiej”¹⁰. Mniej więcej w tym samym czasie Tadeusz Gierymski ubolewał, że „od wielu lat milczy Jan Łączewski, rzadko też słyszymy o urodzonej lirycznie Janinie Łotach”¹¹. Krystyna Serafin oceniała w podobnym tonie: „wiersze [Janiny Łotach] są bardzo liryczne, refleksyjne, bardzo – jeśli tak można powiedzieć – poetyckie. Są jednakże zarazem proste, zrozumiałe”¹². Komentatorzy poezji w Częstochowie zauważali również kobiecy rys twórczości Janiny Łotach: to „autorka związłych w formie liryków, wyrażających subtelny nastrój charakterystyczny dla poezji kobiecej”¹³. W ujęciu Zbigniewa Żmigrodzkiego, jej „wiersze [...] odnawiają «das ewig Weibliche» w kształcie bliskim Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”¹⁴.

Jakkolwiek w innej opinii pióra Elżbiety Cichli-Czarniawskiej nie pojawiają się dane personalne, zapewne poniższa uwaga dotyczyła także omawianej autorki: „Kilka z tych osób reprezentuje twórczość już ukształtowaną, indywidualną, wyrażającą własny pogląd na świat i człowieka, twórczość o sprecyzowanym zasobie środków artystycznych”¹⁵.

Jak niemal każdy twórca, Janina Łotach poddała refleksji obowiązki i zadania pisarza, cele twórczości, stąd wypowiedź o znamionach poetyki normatywnej:

Uważam, że wiersz, obraz czy rzeźba, muszą wyrażać jakąś **prawdę**, coś odkrywać, ukazywać przedmioty lub uczucia ludzkie, których często nie dostrzegamy

- 8 J. Łotach, *Wiersze prawie że wszystkie* [zawartość: *Czyńcie sobie ziemię poddaną, Spotkanie, Ja – Człowiek, Rozmowa z Panem, Hymn, Lato, O dzikim aniele, Sen o małym ptaszku, Stara kobieta, Małe miasteczko, Kury, Wilcza antyfona, Miasto, Gdy jesteś, Tulipan nocy I, Tulipan nocy II, Do róży, Smutna kantyczka, Okruch ewangeliczny, O Bożym uśmiechu, Kolęda, Córka Jaira, Panna Glupia, Lekcja fizyki, Wyznanie, Ten piasek godzin... , Czerwiec, Wieczorem, Zielone nastroje*, [w:] *Varia Częstochowskie 2006 albo Rocznik literacki*, oprac. W.E. Piekarski i Z. Stańczyk, Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, Częstochowa 2007 [seria: „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”], s. 61-66). Cytując utwory z tej pozycji, używam skrótu „W”, po którym podaję numer strony.
- 9 E. Cichla-Czarniawska, *Twórczość poetycka Częstochowy w dwudziestopięcioleciu PRL*, „Prace Naukowe”, red. J. Mikołajtis, J. Wójcicki, t. XV: *Sesja Literacka na XXV-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej*, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza Oddział Częstochowski, Częstochowa 1969, s. 83.
- 10 J. Mikołajtis, *Historia literatury ziemi częstochowskiej*. Zarys, s. 171.
- 11 T. Gierymski, *Współczesne życie literackie Częstochowy*, „Nad Wartą” 1987, nr 7 (lipiec), s. 1.
- 12 *Sylwetki farmaceutek*.
- 13 E. Cichla-Czarniawska, *Literacki krajobraz XXV-lecia*, Magazyn Społeczno-Kulturalny Częstochowskiego Okręgu Przemysłowego „Nad Wartą” 1969, nr 4 (kwiecień), s. 3.
- 14 Z. Żmigrodzki, *Poezja w Częstochowie* [m.in. o Tadeuszu Gierymskim], Magazyn Regionalny Ziemi Częstochowsko-Kłobuckiej i Lublinieckiej „Nad Wartą” 1966, nr 4 (kwiecień), s. 6. Zwrot „Das ewig weibliche – zieht uns hinan!” [To, co wiecznie niewieście, pociąga nas i podnosi nas w górę (w niebiosa)] to końcowe słowa *Fausta* Goethego. Por. wiersz pt. *Das ewig Weibliche* częstochowskiego poety Jana Łączewskiego z tomu *Są takie miejsca*, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2011 [seria „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”], s. 31.
- 15 E. Cichla-Czarniawska, dz. cyt.

na co dzień. Aby to wyrazić, twórcy posługują się specyficznym językiem, nie zawsze łatwym w odbiorze. Jeżeli natomiast w zakamuflowanej formie kryje się tylko chęć zaimponowania znawcom czy popisania się kunsztem formy bez **autentycznego przeżycia** – taka twórczość nie trafi do nikogo¹⁶.

Wyróżniłem w powyższym fragmencie dwa słowa-drogowskazy, które wydają mi się kluczowe dla zrozumienia postawy artystyczno-etycznej autorki z Częstochowy: „prawdę” i „autentyczne przeżycie”¹⁷. Z pierwszym koresponduje ocena Tadeusza Gieryskiego, że „głównym zadaniem, misją poezji jest tropienie Prawdy, wgrzyzanie się w istotę bytu, uchylanie rąbka zasłony, która wciąż przykrywa rzeczywistość”¹⁸. Sama liryczka deklarowała powinowactwo z autentyzmem poetyckim:

Po wojnie, już na studiach, nawiązałam kontakt z grupą poetycką reprezentującą tzw. autentyzm poetycki. Poznałam wielu interesujących ludzi, m.in. Stanisława Piętaka, Bolesława Ożoga, Józefa Ozgę-Michalskiego. Tak się zaangażowałam w działalność tej grupy, że miałam ochotę „urwać” się z farmacji; ukończyłam jednakże studia i podjęłam pracę w zawodzie¹⁹.

Przypomnijmy, że ten kierunek literacki narodził się w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym, a jego głównymi reprezentantami byli Stanisław Czernik i twórcy skupieni wokół pisma „Okolice Poetów”, wydawanego w Ostrzeszowie (pierwszy numer ukazał się w marcu 1935 roku). Artur Hutnikiewicz, definiując autentyzm, zaznaczył: „Poeta pisać może o wszystkim, o czym pisać pragnie, byle tylko ów temat wyrastał z podłoża głęboko przeżytego doznania. Prawdę artystyczną zapewnić może utworowi tylko autentyczne doświadczenie życiowe”²⁰; ten badacz dodawał też: „Poeta ma prawo do każdej formy, byle tylko była to forma autentyczna, tzn. taka, jakiej domaga się artystyczna teza”²¹.

Janina Łotach należała do Grupy Poetyckiej „Lit-Ars” (1986-1989), której inicjatorka, Elżbieta Libel, w tekście przybliżającym działalność i profil *teamu* podała:

Debiutantki: Agata Polak, Edyta Gronert, Klaudia Rabenda mają sposobność analizować osobowość twórczą p. Janiny Łotach – członkini Unii Polskiej Lekarzy [właśc. Unii Polskich Pisarzy Lekarzy], wielokrotnej laureatki konkursów literackich, która znana jest już zapewne częstochowskiemu czytelnikowi z druku w „Gazecie Cz-wskiej” [Częstochowskiej]²².

Była zatem Janina Łotach osobą cenioną, wyróżniającą się w życiu literackim Częstochowy. Po przeczytaniu jej liryków, porównaniu kształtów wierszy w kolejnych drukach, wiemy, że

16 *Sylwetki farmaceutek*.

17 J. Łotach dostrzegała też powinności „narodowe” pisarstwa jako objaw autentycznych wyznań lirycznych: „W czasie okupacji hitlerowskiej pisałam patriotyczne poematy” (*Sylwetki farmaceutek*).

18 T. Gieryski, *Czym jest (dla mnie) poezja*, Częstochowski Dwumiesięcznik Kulturalny „Aleje 3” nr 16, lipiec-sierpień 1998, s. 4.

19 *Sylwetki farmaceutek*.

20 A. Hutnikiewicz, *Od czystej formy do literatury faktu. Główne teorie i programy literackie XX stulecia*, wydanie 6, „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1995, s. 241.

21 Tamże.

22 E. Libel, *Cyrograf*, „Informator Kulturalny Województwa Częstochowskiego” 1986, nr 4 (kwiecień), s. 33.

pracowała nad tekstami, cyzelowała je, pochylała się nad wcześniejszymi szkicami poetyckimi, by wprawić je w nowe obroty znaczeń i inne możliwości pobudzania wyobraźni czytelnika. Dla przykładu uwydatnijmy frazę wspólną dla tekstów *Spotkanie* i *Okruch ewangeliczny*. Oba przy- należą do liryki religijnej, są rozmową ze Stwórcą.

Spotkanie

Nie widzę Ciebie Panie
 Nie słyszę Twoich słów
 – **moja wiara nie przeniosła
 najmniejszego pagórka
 nadzieja ma kolor
 zeschniętego liścia**

– Wołam do Ciebie!
 ocknij się, czemu śpiesz?
 czemu oddalasz się ode mnie
 o miliardy lat świetlnych?
Jestem źdźbłem bezbronnym, trzcina
 źrenicą głodu
 (W61);

Okruch ewangeliczny

Czuję, że każdy krok,
 każda kropla minionego dnia
 przybliży mnie do Ciebie,
**choć moja wiara nie przeniosła
 najmniejszego pagórka – – –**

**nadzieja ma kolor
 zeschniętego liścia
 jest źdźbłem bezbronnym**
 źrenicą głodu
 (W64-65).

Zwróćmy uwagę, że poetka wprowadza wyróżnione *passusy* w odmienne semantycznie otoczenia. W pierwszej wersji umniejszenie podmiotu lirycznego łączy się z mentalnym traceniem łączności z Bogiem, sygnalizowanym brakiem kontaktu „zmysłowego” („Nie widzę Ciebie Panie / Nie słyszę Twoich słów”) i oddalaniem Pana („oddalasz się ode mnie / o miliardy lat świetlnych?”), natomiast w próbie drugiej – towarzyszymy bohaterce wiersza w doświadczeniu bliskim zetknięciu się ze Stwórcą („Czuję, że każdy krok, / każda kropla minionego dnia / przybliży mnie do Ciebie”). Musiały być to bardzo ważne notacje liryczne, skoro powróciły. Inna sprawa, że same w sobie stanowią znakomite okruchy wizji poetyckiej:

**moja wiara nie przeniosła
 najmniejszego pagórka**

**nadzieja ma kolor
zeschniętego liścia**

[...]

**Jestem źdźbłem bezbronnym, trzciną
żrenicą głodu**

Dodanie „trzciny” tylko potęguje wymiar mentalno-artystyczny przekazu.

Twórczość Janiny Łotach jest więc w dużej mierze poezją wiary, którą reprezentują m.in. następujące utwory: *Czyńcie sobie ziemię poddaną* (W61), *Spotkanie* (W61), *Ja – Człowiek* (W61), *Rozmowa z Panem* (W61-62), *Hymn* (W62), *Okruch ewangeliczny* (W64-65), *O Bożym uśmiechu* (W65), *Kołęda* (W65), *Córka Jaira* (W65), *Panna Głupia* (W65).

Istota Najwyższa to Kreator wszystkiego, co żywe: „Boże lwów – i mrówek / Boże Izaaka i Jakuba / i robotnika w spoconej koszuli / bądź pochwalony” (*Hymn*, W62). Podmiot liryczny ponownie stwierdza własną małość, znikome znaczenie, choć czyni to bardzo przekornie, bo od słowa najbardziej egoistycznego „Ja”:

Ja – Człowiek
Zgubiłem ślad Twoich Stóp –
– na tym zakręcie donikąd
w przestrzeni niepokoju
na autostradach, kamiennych chodnikach
(*Ja – Człowiek*, W61).

Zaimek „ego” i wielka litera w wyrazie „Człowiek” puszą się tylko przez chwilę, bo czym jest człowiek (tym razem już małą literą) wobec planów Bożych. Istota ludzka osaczona przez urojenia i podszepty gubi się: „Zapłatał mi się język / poplątały drogi” (*Rozmowa z Panem*, W61), zatracą w sobie, obraca w pył: „Jest mała / – i niepotrzebna” (*Stara kobieta*, W62), tym bardziej iż za drzwiami domu czyha niepojęta nieskończoność: „która godzina rozrośnie nam się w wieczność?” (*Czyńcie sobie ziemię poddaną*, W61), „ta chwila / ulepi treść mego życia / rozrośnie się – / w wieczność” (*Spotkanie*, W61), „twarz dojrzała o wieczność” (*Córka Jaira*²³). Małe istnienia ludzkie toczą się „w gorącym wrzasku dnia / w kociołku Ulicy Codziennej” (*Miasto*, W63), a „W małych miasteczkach / gwarzą przyjaźnie / dobrzy sąsiedzi: / Życie / i śmierć” (*Małe miasteczka*, W63). Wokół snują się sztuczne byty: „stragany jarmarczne budy / lakierowane kukły z plastikowego ciasta / gipsowe psy” (*Czyńcie sobie ziemię poddaną*, W61).

Czystość, szczerłość i prostota oraz nagość emocjonalna są cechami pożądanymi, jak pokazują to pragnienia róży, adresatki wiersza:

Tylko ja wiem
Jak bardzo
Chciałabyś stanąć
Pod skromnym niebem
Bosa niczyja
Jak twoja polna siostra
Rozwarta na słońce i wiatr
(*Do róży*, W64).

23 J. Łotach, *Córka Jaira* [wiersz], [w:] J. Mikołajtis, *Historia literatury ziemi częstochowskiej. Zarys*, s. 233.

Urywek ten wprowadza nas w tematykę relacji między wyznaniem lirycznym a przyrodą, stanowiącą punkt odniesienia, tło i uczestnika, a w wielu przypadkach reprezentuje prawdziwego bohatera sytuacji, stąd znak psychicznej równości między człowiekiem i naturą uzewnętrzony pośrednio: „To chyba był skowronek... / małe szare nic” (*Sen o małym ptaszku*, W62), „Tulipan drży / jak dzwon / i czarnym sercem kołysze” (*Tulipan nocy*²⁴) lub wprost: „ja – dzika tarnina / dojrzała w deszczu / i wiatrach / piastuję kamień” (*wyznanie*²⁵), „– Jestem córką Jaira / pod muszelkami powiek / skryłam sen kwiatów i traw / zamilkło moje serce / leśny dzwonek / (a konwalie wciąż kwitną)” (*Córka Jaira*²⁶).

Stan psychiczny bohaterki najpełniej ujawnia liryk *Gdy jesteś*:

A we mnie
wciąż ten sam
głuchy stłumiony krzyk
dzikiego ptaka nocy
nieuciszzonego
ciepłymi rękami
Kręgi oddaleń
zwierają się ciasno
wokół szyi
Drzewo ogniste!
promyki!
odpędzajcie ciemności
żeglujcie ku mnie
ze wszystkich stron
(*Gdy jesteś*, W64).

Mrok nadciąga, wgryza się w sny i dzień powszedni nieutulony, myśli podmiotu coraz ciałniej przylegają do słów, aż w końcu słowa przestają znaczyć więcej niż myśli, pozostaje zatem najwyższy akt odwagi poety: milczenie. U Elżbiety Cichli-Czarniawskiej czytamy: „Na początku było milczenie, / więc milczy ptak”²⁷, a Tadeusz Gierymski wyznaje: „coraz uważniej słucham ciszy / i mowę dzieł przemilczaniem / słowa najkrótsze słowa-błyski / przenoszę nad kwieciste zdanie”²⁸.

Pojawiający się wielokrotnie w poezji Janiny Łotach motyw ptaka każe mi przywołać jeszcze raz wiersze dwojga już cytowanych poetów związanych z Częstochową, a współtworzących z omawianą autorką życie literackie miasta. Elżbieta Cichla-Czarniawska w inicjalnym liryku z debiutanckiego tomu napisała: „Glina w kształt ptaka urobiona / opuszcza prawdę swego ciała”²⁹. Z kolei Tadeusz Gierymski zanotował refleksje związane z przeprowadzką do nowego bloku:

24 Taż, *Tulipan nocy* [wiersz], *Magazyn Regionalny Ziemi Częstochowsko-Kłobuckiej i Lublinieckiej „Nad Wartą”* 1965, nr 6 (czerwiec), s. 3.

25 Taż, *wyznanie* [wiersz], *Magazyn Społeczno-Kulturalny „Nad Wartą”* 1976, nr 12 (grudzień), s. 6.

26 J. Łotach, *Córka Jaira*.

27 E. Cichla-Czarniawska, *Współbrzmienie* [wiersz], [w:] tejże, *Określając światłocień*, Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 1966, s. 78.

28 T. Gierymski, **** (coraz uważniej słucham ciszy)* [wiersz], [w:] tegoż, *Wyścig z Czasem. Wybór poezji*, Wydawnictwo e media, Częstochowa 2002, s. 47.

29 E. Cichla-Czarniawska, *Gliniane ptaki* [wiersz], [w:] tejże, *Określając światłocień*, s. 7.

więc mieszkam w klatce
 stary ptak
 zlepione skrzydła
 prawie wrak
 a w każdym wraku
 mieszka ptak
 a w każdym ptaku
 mieszka ziarno
 a ziarnie życie
 czarne marne³⁰.

W zakończeniu tekstu autora *Rosy i rdzy* wyczuwam klimat Mickiewiczowskich liryków łożańskich, szczególnie perłowe ^{***}(*Polaty się łyzy me czyste, rzęsiście*).

W oglądzie przyrody Janiny Łotach jest miejsce nie tylko dla flory kwietnej i polnej, poetka ma bowiem wiele estymy dla ptaków domowych, nawet hodowlanych. Nie przypominam sobie, by ktoś tak uroczyście portretował kury, przyrównując je do kwiatów:

Pstre georginie i białe piwonie
 O dziobach złocistych
 I tanecznych nóżkach
 Szukają skrzętnie
 W zielonym pluszu podwórka
 zagubionych ziaren słońca
 – Nad nimi wysoka nuta piana
 Rozpięta w czerwony łuk
 (*Kury*³¹).

Autorka wykorzystuje potencję iluzji (zwykle szukanie przez drób pożywienia zostało uwznioślone: „Szukają skrzętnie / W zielonym pluszu podwórka / zagubionych ziaren słońca”), wzmocniła także obraz personifikacją („taneczne nóżki”)³².

Świat przyrody staje się przedstawieniem muzycznym, dlatego w kilku fragmentach ponownie znajdziemy gesty demiurgiczne, jakimi są „zataczanie kręgu”, „zakreślanie łuku”. Okrąg symbolizuje nieskończoność, pełnię, wymiar poza czasem i przestrzenią: „nad żytem które kwitnie / orkiestra czeremchy / zapachem jak smyczkiem / toczy krąg / łąki – jezioro – i wieczność” (*Lato*, W62), „orkiestra / pstrokatę groszku / – na zielonych instrumentach / grające motyle / trzepoczą skrzydełkami / zapachem jak smyczkiem / zakreślają łuk” (*Zielone nastroje*³³).

30 T. Gieryski, *Przeprowadzka* [wiersz], [w:] tegoż, *Wiersze*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 1999, s. 65.

31 J. Łotach, *Kury* [wiersz], *Magazyn Regionalny Ziemi Częstochowsko-Kłobuckiej i Lublinieckiej „Nad Wartą”* 1965, nr 6 (czerwiec), s. 3.

32 W dorobku T. Gieryskiego znalazłem wiersz pt. *Kogut*: „temperament w ostrogach / wśród uległego seraju / czerwień z iskrami fioletu / żywo łopocząca krew / grzebień – amulet samczej władzy” (T. Gieryski, *Kogut* [wiersz], [w:] T. Gieryski, *Krótką odą do lampy*, wyd. z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, nakładem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Częstochowie, Częstochowa 1976 [arkusz poetycki towarzyszący III Ogólnopolskim Konfrontacjom Poetyckim Częstochowa-Kłobuck 76], s. 11.

33 J. Łotach, *Zielone nastroje* [wiersze], *Magazyn Regionalny Ziemi Częstochowsko-Kłobuckiej i Lublinieckiej „Nad Wartą”* 1965, nr 6 (czerwiec), s. 3.

Wyrażony w wierszu *Gdy jesteś* niepokój powraca w innych miejscach twórczych zmagani z bielą kartki, starć sygnowanych głównie odmianami ciemności: „wyboje nocy” (*Czyńcie sobie ziemię poddaną*, W61), „Wkrótce nad wami słońce / z kilofem codzienności” (*Tulipan nocy I*, W64), „Wnętrznoci mroku / strawiły ściany sufit” (*Wieczorem*³⁴). W samotności rodzą się majaki, przez które przemawia doczesność i lęk: „Nagle – ciemność! / i pręty ze stali / w ciemności dogasa złoty deszcz” (*Sen o małym ptaszku*, W62), „Mój krzyk / zawisł na gałęzi / samotnie / źrenice głodu / nie zamknę was nigdy” (*Ten piasek godzin...*³⁵), „gwiazdy [...] Kołyszą złowieszczo / strach / i bezsilne rąk wyrzuty” (*Wieczorem*³⁶), „Gdy zmierzch zakradnie się podstępnie / Zgasi kolory i ruch” (*Kury*³⁷).

Podmiot liryczny wychodzi od postawy antymiejskiej: „niech zetnę z twarzy / jak pajęczynę / cień miasta / [...] / szczęście polne na przekór miastu” (*Lato*, W62), „niech zetnę z twarzy / jak pajęczynę / kamienne miasto” (*Czerwiec*, W66), „Przystanek niedzielnego wieczoru / włoką za włosy złe tramwaje / w sieciach trzaskających iskrami – / Mrugają przekrwione oczy kawiarnianych lampionów” (*Miasto*, W63), po czym opisuje swoje rozterki egzystencjalne:

Dźwigam boleśnie puste godziny
jak ptak przelotny złamane skrzydło
– jeśli upadnę pod ciężarem
wiem, że się dźwignąć – znowu muszę
i kroczyć, kroczyć po bezdrożach
aż znów upadnę
(*Okruch ewangeliczny*, W64).

Przywołany tekst przepełnia nadzieja i utajona siła, wszak podmiot wie, że musi podnieść się po porażkach, po straconych złudzeniach, skarconych dobrych słowach i uczynkach.

Do poezji Janiny Łotach w pierwszym odruchu chciałem (z pewnymi zastrzeżeniami) „zastosować” słowa, którymi Stefan Jurkowski skomentował zbiór poetycki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej *Określając światłocień* z 1966 roku: „Wyróżnikiem tych wierszy jest obiektywizm, emocjonalna oszczędność, filozoficzne, a nie afektowane spojrzenie na otaczający świat”³⁸. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że twórczość autorki jest nazbyt ekspresyjna i potencjometr poetycki został ustawiony na wyższym poziomie, charakterystycznym nie dla oddechów, ale „zachwyty i westchnień”: „Z wypieszczonych ogrodów / Rózo szlachetnego szczepu / Pod baldachimem / Zachwyty i westchnień” (*Do róży*³⁹).

Niech mój szkic będzie głosem o przywrócenie literackiej pamięci kolejnego nazwiska z przeszłości poetyckiej Częstochowy.

34 Taż, *Wieczorem* [wiersz], Magazyn Regionalny Ziemi Częstochowsko-Kłobuckiej i Lublinieckiej „Nad Wartą” 1965, nr 6 (czerwiec), s. 3.

35 Taż, *Ten piasek godzin...* [wiersz], Magazyn Społeczno-Kulturalny „Nad Wartą” 1976, nr 10 (październik), s. 2.

36 Taż, *Wieczorem*.

37 Taż, *Kury*.

38 S. Jurkowski, *Słowo pełne milczenia. Portret literacki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2020, s. 24.

39 J. Łotach, *Do róży* [wiersz], Magazyn Regionalny Ziemi Częstochowsko-Kłobuckiej i Lublinieckiej „Nad Wartą” 1965, nr 6 (czerwiec), s. 3.

Janusz Jano Mielczarek

CHŁOPIEC W CZERWONEJ KAMIZELCE

Lechowi Majewskiemu, twórcy filmu „Młyn i krzyż”

W SEKRETY TKANIN I TAJEMNICE NADAWANIA IM KSZTAŁTÓW wprowadziła go mama, wiejska krawcowa, która od dwóch lat pracowała za granicą, a od której telefonu oczekiwał. Jeszcze przed wyjazdem otrzymywała czasem nietypowe zlecenia od osoby prowadzącej teatr autorski. Śledził je pilnie.

Czekał, bo miał jej tak wiele do opowiedzenia! I to, że dla filmu jest ubrany w kamizelkę koloru, jakiego nie udało im się uzyskać dla tamtego teatru... że dzisiaj nie widziała go w scenie kręconej na żywo, gdy przeciskał się po dyszlach wozów, między końmi, bez asekuracji, i że w pewnej chwili osunął się pod końskie brzuchy, ale wydostał się stamtąd bez szwanku, bo ta kamizelka ma kolor, jaki jedynie w porze maja w północnym zakolu rzeki mają skrzydła „jego” motyli.

Dzisiaj, gdy spotkało go wyróżnienie założenia dla filmu takiego stroju, zawładnął nim stan powagi i skupienia. Coś, co sugeruje, że czekają nas nadzwyczajne chwile. Pierwszy raz widzę, jak tworzy się film... Jestem w nim i ta... kamizelka... – myślał.

Zachwycił go jej kolor, zanim jeszcze dowiedział się, że ręcznie tkany, lekko szorstki materiał był farbowany naturalnymi barwnikami. Właściwie były to tylko połączone ze sobą cienkimi rzemykami kawałki, spięte z przodu drewnianymi kołkami – to ludzie filmu nazywali kamizelką.

Niskie słońce raziło w oczy, a on z częścią statystujących do filmu chłopaków z okolicy spychali wozy w pobliże namiotów i porządkowali niedawne plany filmowe. Gdy skończyli, część wróciła do miasteczka. On został, siedział na trawie, nad którą wilgotnym szeptem podchodziła mgła rosy i pod półprzymkniętymi powiekami powtarzał dzień, który wciąż w nim był i harcował po jego trzynastoletniej wyobraźni. Chwilę potem zauważył, że od południa nad zamkowym wzgórzem zakołysały się żagle lotniarzy. Chodził czasem na to zboczce z widocznym krzyżem, które ulubili sobie za miejsce startów. Podziwiał, jak potrafili odlatywać stamtąd do miejsc tak odległych, że tracił ich z oczu, albo z jakim sprytem jeden z nich – będąc już w powietrzu – zabierał pod czaszę drugą osobę.

Był sam. Przez chwilę miał złudzenie, że ta mgła poniesie go nad ziemię, gdzieś za lasiste wzgórza i wodę, a tam, w ich domu, spotka się z mamą.

Cieszył się, że pani od rekwizytów pozwoliła mu zabrać kamizelkę do domu. Złożył ją, zapakował do plecaka, ale teraz nie mógł sobie odmówić, żeby nie obejrzeć jej znowu. Miała uszkodzony szew pod lewą pachą, co stało się przy powtarzaniu jednej ze scen. Zasztytował to w domu – pomyślał.

Telefonu od mamy wciąż nie było, ale zaniepokoiły go nawoływania dochodzące od strony rozlewiska. Spojrzał tam i zaniósł się krzykiem:

– Tamtędy nie wolno!

Koń prowadzony w wodzie przez starszego mężczyznę, zdziwiony obcym głosem sęczał i stanął z uniesioną w niepokoju głową.

– Nie tędy!... nie tędy!... – wołał jak najgłośniej i wbiegł do wody. – Tutaj koń nie przejdzie – mówił już spokojniej – tu było kiedyś hektarowe rozlewisko rzeki i pozostały w nim resztki drewnianych filarów podtrzymujących dawną przepławę. Jeśli trafi na któryś, to połamię nogi.

– Co zrobimy? – zapytał tamten, ocierając twarz. – Znasz bezpieczne przejście?

– Nie ma takiego w okolicy – wziął od mężczyzny kolorowy postronek, na którym tamten prowadził konia. Zagryzł wargi i zrzucił koszulę. – Najpierw trzeba zawrócić konia w stronę łagodniejszego wyjścia z wody. Tutaj wszędzie, z lewej i z prawej jest groźnie, zamulone pochyłości skalne, gdzieniegdzie wąskie przesmyki, a na dnie pułapki.

– Spróbujesz? – zapytał mężczyzna. – Podobno kiedyś ci się udało. – Michał ledwie skinął głową, a tamten, ślizgając się i kalecząc, metr po metrze, na czworakach, wy dostał się na suchy grunt.

Chłopiec uniósł ręce i kołysząc nimi, zbliżył się do końskiej szyi oblepionej mokrą grzywą. Koń chwilę przyglądał mu się, szarpnął głową, jakby chciał się wyrwać i zawrócić, a wtedy Michał znurkował i wypłynął z innej strony. Koń przesunął się teraz bardziej ku niemu, obwąchał to miejsce, parsknął głośno, a chwilę potem dotknął chrapami jego czoła.

Słyszał powietrze wędrujące w płucach zwierzęcia i wypełniającą je energię. Przyłożył policzek do jego szyi i w milczeniu wsłuchiwał się w puls. Wydawało mu się, że gdzieś w zwojach mózgowych konia rodzi się i przenika do niego – do człowieka – zaufanie, a może nawet przyjaźń. Nadal dotykał twarzą jego szyi i łagodnie mruzczał jakąś melodię, a dłońmi, niczym podczas masażu, suwał po jego czole, tuż za uszami, przepychając go delikatnie w stronę, z jakiej – wydawało mu się – jest bezpieczna droga powrotu.

Podziwiał konie. Kilka kilometrów od miejscowości, w której mieszkał, był ośrodek jeździecki, gdzie uważano go za swojego. To tam od pani doktor Teresy dowiedział się, jak inteligentnym i wrażliwym zwierzęciem może być koń, i jak wiele potrafi zrozumieć w kontaktach z człowiekiem.

Coraz bliższa stawała się szansa pokonania rozlewiska, ale pozostało jeszcze do ominięcia najtrudniejsze miejsce, zwane przez ludzi z okolicy Gąsiorem. To tutaj, wśród wyrw skalnych i nierówności, krzyżowały się prądy wody, które przez lata naniósł największej pułapek.

Chłopiec dotknął twarzą głowy konia, oparł się o niego i mówił, że wyjdą z tej wody na pewno i że jutro pójdą w takie miejsce, gdzie można pływać i bawić się w wodzie. Przez chwilę zawisł na końskiej szyi, a potem przepłynął pod nią tam i z powrotem, i znów zanurkował dla wybadania bezpiecznego przejścia. Było, choć najpierw, po zawróceniu w stronę, gdzie nad wodą tliło się jeszcze jaśniejsze niebo, trzeba było metr, może dwa, omijając rozczochraną pułapkę korzenia starej sosny, cofnąć się. Gdy Michał wypłynął, koń z zadowoleniem rzucił głowę, a kaskada kropel z jego grzywy przecięła horyzont przy niskim słońcu niczym złota pletwa piły tarczowej. Znowu przysunął się do konia i czułością dziecięcych ramion objął jego głowę.

– Jesteś dzielny – mówił, szperając między strzygącymi uszami konia. – Piękny i dzielny... Piękny i wspaniały – powtarzał. Widział napięcie w oczach odbijających błękit niedalekiego zmirzchu.

Stali przez chwilę, wpatrując się w siebie z uwagą, a potem chłopiec powiedział:

– Zasługujesz na najlepsze. A najlepszym zawsze jest życie. – A teraz uważaj, proszę cię. Chodź za mną powoli, bardzo powoli. Muszę czuć na ramionach twoją głowę – i zaczął przesuwając się ledwie, ledwie, jakby popychany przez zwierzę.

W pewnym momencie szarpnęło go i zakołysało potężnym ciałem, bo na podwodnej nierówności oślizgnęły mu się tylne nogi. Chłopiec przywarł do niego i uspokoił. Był już zmęczony, ale musiał, choćby na resztkach oddechu, sprawdzać ostatnią część przeprawy. Teraz schodził pod wodę na krótko, a wypływając, łapczywie rwał płaty powietrza i znowu wracał do grozy topieli. Bał się. Nogi mu sztywniały... Zaraz to się skończy... – powtarzał w myślach – jeszcze chwila, może dwie... no i ten telefon od mamy...

Szczudlaste cienie zachodu kładły się na wodzie. Odwrócił się twarzą do konia, bo wydawało mu się, że grunt gubi już pochyłość. Zostało kilkadziesiąt kroków, tutaj znał już prawie wszystko.

– Przeszliśmy – powiedział cicho – Zła woda minęła... została tylko...

Obiema rękami oparł się o grzbiet konia, żeby przeczekać ciemność, a kolorowy postronek wypadł mu z rąk. Koń stał przy nim chwilę i odszedł, skubiąc trawę. Michał chciał odpocząć. Sięgnął do plecaka po kamizelkę, założył ją, obciągnął, wygładził. Zamknął oczy i zwrócił się w stronę zachodzącego słońca jak do lustra. Ogarnęło go ciepło, a potem cień.

Nad nim na niewielkiej wysokości krążyła rubinowa czasza lotni. Wychylony ku niemu z uprzedzącego pilota pokazywał coś na migi. Lotnia okrążyła to miejsce i dopiero teraz usłyszał:

– Ej, ty! Polecisz?

– Jasne! – odrzyknął z całych sił. Przez jakiś czas biegł z boku, obserwując migowy instruktaż lotniarza. Za pierwszym razem się nie udało, ale teraz unosili się w słońce, którego na dole już nie było. Za nimi zostały zabudowania klasztorne. Lecieli na południe, gdzie przed gęstwiną lasów na jurajskich wzgórzach strzępiły się ostańce i biało-czarne ruiny zamku.

– Boisz się? – zapytał lotniarz, przekrzykując świst wiatru. – Widziałem cię dzisiaj w czasie kręcenia sceny z wozami, dobry byłeś! – i za jakiś czas dodał: – Jak się boisz, to lądujemy. – No, jak? – powtórzył?

– To jest super! – odrzyknął Michał najgłośniejszym głosem.

Lotniarz przekrzywił głowę, żeby sprawdzić ułożenie czaszy napełnionej powietrzem, podkręcił linki sterownicze. Najpierw kręciło nimi przez chwilę, a potem znowu zaczęli nabierać wysokości.

20-25 LUTEGO; 16 KWIETNIA 2023 R.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 021, fotografia format 30x45, 2020 r.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 009, fotografia format 30x45, 2021 r.

Elżbieta Jolanta Gola

MINIATURY

Za rogiem

STAŁA NA NAJWYŻSZEJ PÓŁCE W TOWARZYSTWIE NAJPOCZYTNIEJSZYCH książek, noszących obwoluty „Książka roku”. Miała jedwabiem tkane szmaragdowe okładki. Była trochę dziwna, bo każdego roku przybywała jej dodatkowa strona. Ponadto wyczuwało się, że jest inna. Każdy, przeczytawszy pierwszą linijkę stwierdzał, że jest intrygująca.

Przy niej jako pierwsza z lewej stała obszerna w strony i bajecznie ilustrowana *Historia architektury i malowanego słowem krajobrazu*. Jej autor był posiadaczem renesansowego umysłu oraz skarbnicą życiowych mądrości. Po drugiej stronie stał traktat *O dobrej robocie i wyższości gołębiego serca nad wilczym pazurem*. Autor, znany w okolicy z zacności i wyjątkowej umiejętności pochylania się nad każdą samotną egzystencją, należał do rzadkiego dzisiaj ugrupowania „Czyste ręce – najczystsze intencje”.

Dalej na tej samej półce przykuwała uwagę oprawiona w safian i zdobna złotymi literami, pełna humoru *Księga przypowieści z tatrzańskich szlaków*. Narrator obdarzony pięknym barytonem, a jeszcze większym darem dyplomacji, słyszał ze skrywanej wrażliwości na kobiece piękno.

W tej księgarni stała – trochę z boku – książka opisująca *Dawne dzieje hrabiego herbu Wolny Strzelec*. Nieco podupadłego na duchu, ale wciąż z wielkimi marzeniami w sercu. Autor był i pewnie nadal jest miłośnikiem dobrych aut i lekkich przekąsek.

W tym miejscu swoje należne im miejsce znalazły także krótsze formy literackie takie jak: *Zdrowy rozsądek i rzetelność Małgorzaty budulcem idealnej i najtrwalszej chaty*, *Andrzejkowe wróżby niesłychane z lotu kaczek i łabędzi wykreślane*, *Losy Barbary Niechciec herbu Plotka i jej męża, mawiającego: Nic nie muszę, to rzecz słodka*.

Były tu także solidne, w bardzo ciemnej oprawie, krótkie nowelki pod hasłem *Czarno widzę*, a najdowcipniejsza z nich nosiła tytuł: *Co tutaj tak śmierdzi?* Nieco dalej pysznił się zbiór pieśni dawnych pod wspólnym tytułem *Czy pani mieszka sama, czy razem z nim?*

Ta owiana lekką mgiełką zauroczenia księgarnia „Za Rogiem” zapraszała wszystkich przechodniów przytulnym wnętrzem, światłem naftowych lamp i małych lampionów. Wielu odwiedzających przeglądało mniej lub bardziej opasłe tomy, czasem nawet ktoś się wzruszył, czytając jakby znajomy tekst. Wielu kupowało tylko jedną, wybraną, by zaraz po powrocie do domu rozsiaść się przy herbacie i zanurzyć w książkowej rzeczywistości. Wszyscy pozdrawiali się uprzejmym skinieniem głowy, okraszając ciepłym uśmiechem zmarznięte usta. Oni wiedzieli, że ta księgarnia dzięki nim żyje pełnią życia.

Zapamiętajcie, księgarnia jest tuż za rogiem, wstąpcie do niej, bo wciąż warto czytać dawne i nowe książki.

Chwile

Tak szybko kończą się dobre chwile i trzeba znowu wracać na ziemię, co w moim przypadku wydaje się być niezupełnie możliwe.

Jestem ciągle koło Księcia Józefa*, który odbija się w ciemnej toni stawu. Na tafli wody pysznią się swą śnieżną bielą – przysługującą wyłącznie pannom młodym – królewskie ptaki,

łabędzie. Dzikie kaczkę w radosnej krzątaninie podpływają do rąk karmiących je turystów, ale nie nazbyt blisko, aż tyle ufności w nich nie ma. Płynąc, zawsze w parach, ciągną za sobą fale w kształcie litery V, a to zwykle dobrze się kojarzy.

Jestem wciąż w alejkach parku, gdzie wśród złotych liści rude jak płomyk wiewiórki podchodzą tak blisko, że można dostrzec ich małe wąsiki.

Wciąż tam jestem, w Pijalni Czekolady, której wyborny smak wyczuwa się na odległość. Spaceruję wśród palm z Kenii i Wysp Kanaryjskich, degustując nałęczowiankę. Tak ogromnych araukarii jak tu, w Nałęczowie, nie widziałam jeszcze, ale przecież wielu spraw i rzeczy nie udało mi się dotychczas ogarnąć wzrokiem i myślą.

Obok pijalni stoją dwie utrwalone w kamieniu postacie: kobiety i mężczyzny.

On wydaje się być znacznie starszy od strojnej w długi warkocz kobiety. Patrzą sobie w oczy, coś jakby mówią, ale bardziej wzrokiem niż ustami, które składają jak do pocałunku. Idąc alejką zawsze muszę spojrzeć na tę parę, wciąż układam słowa, jakie mogłoby do siebie wypowiedzieć i uśmiecham się.

A oni są niewzruszeni, zawsze z tą samą czułością patrzą na siebie, nie interesuje ich świat, a codzienny zgiełk w ogóle ich nie dotyczy.

W pełnym dawnym tajemnic parku jest także mała wysepka na stawie, zwana Wyspą Miłości, a na niej para zauroczonych sobą łabędzi wiecie cudownie bez troski i szczęśliwie żyć, jakiego wielu ludziom nigdy nie będzie dane zaznać. Mogą im tylko pozazdrościć...

Wciąż tam jestem, na ławeczce, obok utrwalonej w niezniszczalnym odlewie postaci Bolesława Prusa, który – uwierzcie – któregoś dnia położył rękę na mojej dłoni i szepnął: napisz coś jeszcze...

* Książę Józef – nazwa jednego z najstarszych obiektów sanatoryjnych, usytuowanego w parku Małachowskich w Nałęczowie.

Nieznajomy

Spotykały się raz w miesiącu, by opowiedzieć sobie wydarzenia minionych tygodni. Natasza, jak zwykle, wpadła w ostatniej chwili, przynosząc ze sobą zapach perfum:

– Opowiadaj Wiktoria, co u ciebie?

– Zaczęłam pisać nowe opowiadanie, jednak ciągle nie podoba mi się jego początek. A przecież on ma zachęcić czytelnika do poznania całości!

– Poczekaj chwilę, pomyślę. „Na ławce w parku, siedział mężczyzna w nieokreślonym wieku” – czytała. – Wiesz, to może być dobre...

Wiktoria zapatrzyła się w okno.

„Na ławce w parku siedział mężczyzna w nieokreślonym wieku. Jego twarz zdradzała, że wiele przeżył. Spod półprzymkniętych powiek patrzył na pogrążoną w lekturze kobietę.

– Co to za książka? – zapytał nieoczekiwanie.

– *Mistrz i Małgorzata* – spojrzała na mężczyznę.

– Wolę Marqueza i jego *Sto lat samotności*. Pasjonują mnie historie rodzinne.

– Cała jego proza zasługuje na uwagę.

– To wielki pisarz – z kieszeni marynarki wyjął kieszonkowy egzemplarz książki.

– Nosi ją pan ze sobą? – uśmiechnęła się.

– Często do niej zaglądam, należy do moich ulubionych.

Z pobliskiej altany doszły ich dźwięki starego tanga.

– Zatańczymy? – zapytał niespodziewanie.

– Prosi mnie pan? – zapytała.

– Proszę, nawet bardzo...

– Wobec tego zatańczmy.

– Dobrze pani tańczy – powiedział.

– Pan również – spojrzała na orkiestrę.

Przed kolejnym tańcem całował jej dłoń, jakby nie zamierzał jej puścić.

– Bałem się, że marnie pani tańczy i takie wyjątkowe tango nam przypadnie...

– No proszę! To miła niespodzianka?

– Bardzo miła. Zobaczymy się jutro? – zapytał.

– Nie wiem, jestem tu tylko chwilowo – zamyśliła się. – Pan ma coś wspólnego z literaturą lub dziennikarstwem?

– Mam zupełnie inne zajęcie – uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Opowie mi pan? – starała się dostrzec kolor jego oczu.

– Przywędrowałem tutaj z Chin. Miałem tam żonę, ale także wiele innych kobiet. Jestem zmęczony życiem i spoglądaniem, przed którym wejściem pali się czerwony lampion. Gdy zobaczyłem panią, w moich oczach też pojawiło się światło, wydaje mi się, że miało niebieski kolor.

– Zgadł pan, to niewiarygodne – oznajmiła. – W tych stronach żyje wiele samotnych kobiet.

Kiedyś spotkałyśmy się w większej grupie i postanowiłyśmy przeprowadzić eksperyment, bazując na waszych doświadczeniach. Ale u nas kobiety nie pozwalają się tak traktować, jak za chińskim murem. Wynajęłyśmy dom. Przed wejściem pali się błękitny lampion. Oznacza on chęć podjęcia rozmowy i nawiązania przyjaźni.

– I jakie są wasze doświadczenia?

– Podobno przyjaźń w życiu jest najważniejsza, zaraz po miłości. Niektórzy twierdzą, że miłość trwa najdłużej cztery lata, a przyjaźń – jeśli jest prawdziwa – nigdy się nie kończy. Te uczucia są ze sobą związane, często jedno jest początkiem drugiego. Moje przyjaciółki prowadzą rozmowy z odwiedzającymi je mężczyznami, dopóki obie strony nie przekonają się, że mogą liczyć na wzajemność. Mamy również swój kodeks. Po dokonaniu wyboru para udaje się w dłuższą podróż. W ten sposób wiele z nich połączyło swoje losy, ale inne pozostają od lat tylko w przyjaźni.

– To ciekawe, co pani mówi – przyglądał się jej z zaciekawieniem. – Zastanawiam się, czy gdybym wiele lat wcześniej trafił do drzwi pod niebieskim lampionem, moje życie potoczyłoby się inaczej. Sądzę, że potrafię zrozumieć drugiego człowieka, dzięki temu mam dużo przyjaciół. Lubię kobiety, żyłem zawsze wśród nich. Pani może wyczuwa, że coś mnie do niej przyciąga i to jest silne doznanie.

– Pan jest bardzo bezpośredni...

– Staram się być prawdomówny...

– Nie wierzę, ale proszę wobec tego odpowiedzieć mi na pytanie: jacy byli pana rodzice i czy był pan szczęśliwym dzieckiem?

– Dlaczego to panią interesuje? – zmarszczył czoło.

– Od przeszłości trudno się uwolnić. Wystarczy chwila, by wróciła. Właściwie nie wiem, dlaczego to panu mówię – spojrzała speszona.

– Mój ojciec miał silną osobowość. To on sprawił, że od wczesnych lat musiałem sam sobie radzić w życiu. Początkowo mnie to bolało, ale z perspektywy lat uważam, że źle na tym nie wyszedłem... Jaki był pani ojciec? – przetarł oczy.

– Obrazem, który najlepiej pamiętam, jest jego głowa pochylona nad książką. Lubiłam

chodzić z nim na spacer, opowiadał mi jakieś ciekawe historie. Często o nim myślę, odszedł zbyt wcześnie – przerwała i popatrzyła na orkiestrę.– Co to za melodia? Ach, to Aznavour śpiewa „La Boheme”, chodźmy tańczyć! – poderwała się niecierpliwie.

- Jak to tańczymy? – zapytał, przyglądając się jej spod przykniętych powiek.
- Pan nadaje tempo – odpowiedziała.
- Wobec tego chodźmy, muszę sobie coś przemyśleć.
- Jakiego koloru są pana oczy? Bardzo je pan ukrywa.
- Podobno szare... jak pióra gołębic...
- Pan naprawdę lubi kobiety – uśmiechnęła się.

Muzyka umilkła i tylko parkowe lampy wyławiały z mroku nadciągającego wieczoru owady tańczące w wysepkach światła.

- Muszę już wracać – sięgnęła po torebkę i schowała książkę.
- Przepraszam, nie przedstawiłem się – Horacy... Wiem, co pani powie, ale matka nigdy nie chciała mi tego wytłumaczyć...
- Ja mam całkiem zwyczajne imię, Justyna, ale pańskie bardzo mi się podoba.
- Będę jutro czekał na panią, orkiestra zagra jeszcze niejedno tango. Niech pani pamięta!?”

Natasza popatrzyła na swój malachitowy wisiołek i na Wiktorię, która nanosiła poprawki w brudnopisie. Kelner przyniósł dwie kawy.

Zauważyła, że zbliża się do nich... mężczyzna w nieokreślonym wieku.

CZĘSTOCHOWA, MARZEC 2014 R.

Sen

Śniła dzisiaj, jak w szmaragdowo-srebrnej sukni tańczy, przytulona do Niego. On ciągle spogląda jej w oczy i prosi – patrz na mnie. Wcale nie musi, ona i tak nikogo nie widzi. Nawet gdy robi pranie, gdy przygotowuje śniadanie, gdy idzie ulicami swojego miasta, to i tak jego twarz ma wciąż przed oczami. Choć nie jest to twarz Dawida, ale wie na pewno, że cała należy do niej, z każdą zmarszczką i z każdym błyskiem w oku, a jego serce, choć ma w środku ciemną stronę, bije dla niej najmocniej.

Taniec wcale się nie kończy, trwa dalej, a głos Sinatry dociera do nich jak przez mgłę. „Żyłem jak chciałem”, to ich ulubiona melodia, towarzysząca pierwszym wspólnym spotkaniom i rozmowom.

Sen trwa. Podoba mu się jej suknia. On też jest bardzo elegancki, jak uniwersytecki profesor. Niezwykle szarmancki i to w tym dawnym, dobrym stylu. Zapach dobrej wody towarzyszy jego gestom, chciałaby wtulić się w niego i tak trwać do skończenia świata.

Ten sen jest taki realny, że tancerka spogląda przez ramię i szuka jakiegoś punktu odniesienia, ale niczego nie dostrzega oprócz wirujących cieni, prócz dźwięków muzyki i niezwyklej atmosfery.

Gdzie są te tabletki na sen? Może przyśni jej się ciąg dalszy...

Adrian Musiał

RZKA WSPOMNIENI

Piotr chłonał całym sobą woń jesiennego chłodu, unoszącego się znad rzeki. Pogoda nie rozpieszczała, a już na pewno nie przypominała złotej polskiej jesieni, na którą wszyscy czekają, a która jest tak kapryśna, że rzadko kiedy pozwala ogrzać się w jej blasku. Był wczesny poranek. Znad tafli Pilicy unosiły się kłęby gęstej, zimnej mgły. Piotr stał na moście, który dzielił miasto na dwie części – tę do rzeki i tą za rzeką. Ta rzeka to symbol. Od zawsze. Wyznaczała i dzieliła przestrzeń. Pozwalała na identyfikację. Decydowała o tożsamości. Piotr był przedstawicielem tych sprzed rzeki. Uważał, że to wyróżnienie. Ci za rzeką to blokowcy.

Piotr stał tak jak wczoraj i przedwczoraj, a nawet i pół roku wcześniej. Przychodził tu codziennie. O różnych porach dnia, a czasem i nocy. Krajobraz wijącej się niezgrabnie rzeki, która znikiała gdzieś na horyzoncie, jakby nie miała początku i końca, zachwycał go tak samo od lat. Nie, on zachwycał go za każdym razem inaczej, głębiej i pełniej. Choć ten widok, który rozpościerał się przed jego oczami nie zmienił się w zasadzie od dzieciństwa, kiedy to właśnie tutaj na spacerzy zabierała go matka, wciąż odkrywał coś nowego, jakiegoś szczegółu. Wciąż wzbudzał w nim inne uczucia.

Przychodził tutaj, kiedy chciał pomyśleć. Wpatrując się w leniwe fale, kołyszące się w rytm muzyki wydawanej przez okoliczne ptactwo, zwłaszcza zimą, kiedy rzeka stawała się domem dla dzikich łabędzi, które co rusz wydawały piskliwe okrzyki, znajdował wtedy ukojenie, a jego myśli niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczynały płynąć w uporządkowany sposób, jak nurt rzeki.

Przychodził tutaj, kiedy był zmęczony, obolały codziennością i przygnieciony bagażem doświadczeń mijającego dnia, żeby zaczerpnąć oddechu, żeby chłonać to kojące powietrze unoszące się znad rzeki. Może czasem było ono ciężkie i przepełnione zgnilizną, tak jak i dziś, ale mimo wszystko czuł wtedy, że żyje. Oddychał pełną piersią. Mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Tutaj wydawało mu się, że wszystko może i nic nie musi.

Przychodził tutaj także wtedy, kiedy w jego sercu pojawiało się zwątpienie. Wątpić ludzką jest rzeczą, ale niebezpieczeństwem jest stracić wiarę w ludzi i sens życia. Tutaj na nowo odnajdywał cel, który pozwalał mu wstać następnego dnia. Widok monumentalnej koniecpolskiej świątyni, która od wieków wznosi się tuż przy brzegu Pilicy, zawsze prowokował go do myślenia o upływającym czasie. Zegar na wieży kościelnej odliczał minuty i godziny, sygnalizując je charakterystycznymi gongami, a czasem także pieśniami wygrywanymi przez umiejętnie uderzenia w dzwon. Tak było też teraz. Przestrzeń wypełniły dźwięki jednej z najbardziej znanych pieśni, zwiastującej poranek. „Kiedy ranne wstają zorze...” Piotr wsłuchiwał się. Przyjmował te dźwięki, a wewnątrz, niejako w głowie, powtarzał sobie słowa pieśni, odmawiając pacierze. Poranna modlitwa. Amen.

Choć na świecie wiele jest monumentalnych katedr, okazałych bazylik ociekających złotymi ornamentami, drewnianych kościółków, które tworzą niepowtarzalną atmosferę i gdzie sacrum wypełnia każdą część profanum, to jednak dla Piotra widok hetmańskiej świątyni wyrastającej niejako znad rzeki, był widokiem najpiękniejszym. O poranku świątynia jaśniała w blasku słońca, którego promienie odbijały się od tafli rzeki. Wieczorem zaś płonęła w czerwieni zachodzącego słońca, które znikowało gdzieś stopniowo w jej odmętach. Nocą zaś, kiedy mrok ogarniał miasto, a cisza wypełniała przestrzeń, zegarnica odliczała kolejne godziny,

a oświetlona zewsząd świątynia niczym morska latarnia wskazywała zbłąkanym żeglarzom drogę do portu.

Piotr był właśnie takim zbłąkanym żeglarzem, który pogubił się na drogach własnego życia. Zboczył z głównej drogi, dając się ponieść pokusom, jakie czekały na bocznych uliczkach. Zbłądził. Dlatego jest tutaj. Na moście. Nad rzeką, w której zostawił część siebie. Te spokojne wody skrywają bowiem wiele jego tajemnic. To tym spokojnym falom powierzał swoje smutki i rozterki. To te spokojne fale przyjmowały jego łzy. To te rośliny rosnące na wałach były świadkami jego euforii, kiedy życie dostarczało mu powodów do radości, a serce wypełniała ognista miłość. Nie miał się z kim podzielić tymi emocjami. Nie miał komu wykrzyknąć żalu i oznajmić, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Rzeka stała się jego przyjaciółką. Wierną. Najwierniejszą. Ona nie zdradzi. Ona będzie zawsze, nawet jak nieco opadnie stan wód, wciąż będzie. Ona rozumie bez słów. Ona nie krytykuje. Czasem tylko nieco wzburzone fale świadczą o tym, że się nie zgadza. Wiele razem przeszli i pewnie jeszcze wiele przed nimi. To chyba najdłuższa i najsilniejsza relacja, jaka go spotkała od śmierci matki. Ojca nie pamięta. Nie wie, czy go kiedykolwiek kochał. Nie zdążył. Nie miał okazji. Matka mu mówiła, że kiedy ojciec wziął go tuż po urodzeniu na ręce, zaczął gorzko płakać po raz pierwszy w życiu. Cieszył się, że trzyma na rękach syna i jednocześnie żal przenikał jego ciało, bo wiedział, że za chwilę będzie musiał się z nim pożegnać. Na zawsze. Nowotwór. Wyrok był jednoznaczny, z natychmiastowym wykonaniem, i co ważne, bez odwołania, apelacji i kasacji. Nie pamiętał momentu pogrzebu. Matka mówiła mu, że tuż po pogrzebie przyszła ze swoim synem na most, by ostatecznie i bezpowrotnie pożegnać się ze swoim ukochanym mężem. Wrzuciła jego zdjęcie do rzeki. W sekundzie wartki nurt rzeki porwał fotografię, zrywając raz na zawsze tę symboliczną więź. Matka opowiedziała Piotrowi tę historię. Czasem, kiedy tu przychodził, z naiwnością dziecka wypatrywał, czy rzeka nie odda mu tej fotografii. Obiecał matce, że kiedyś i z nią pożegna się w ten sposób, że dołączy do swojego męża w nurtach Pilicy, nad którą jej się oświadczył i zadeklarował, że będzie na dobre i złe. To już dwa lata, jak matka przegrała z chorobą. Nowotwór piersi. Walczyła dzielnie, a Piotr razem z nią. Nie każda bitwa jest wygrana. Ale wciąż jest nadzieja, że wojna będzie zwycięska. Niestety, nie w tym przypadku. Piotr wypełnił testament matki. W dniu pogrzebu stanął na tym samym moście i wrzucił fotografię matki do rzeki. Zwrócił ją mężowi i swojemu ojcu. Od tego momentu znów są razem, niesieni nurtem rzeki.

Przychodzi więc tu także niczym na cmentarzysko. W tafli wody widzi czasem uśmiechnięty wizerunek matki i ojca, którego zna tylko z rodzinnych fotografii. Czasem w szumie płynącej rzeki słyszy głos matki, która mówi, że czasem trzeba płynąć pod prąd, nie można zawsze płynąć z nurtem niczym śnięte ryby. Przychodzi słuchać głosu matki, która zawsze wiedziała, co powiedzieć, znała odpowiedzi na wszystkie pytania świata. Jej częśćka spoczywa w tej rzece. Dlatego to tutaj przybywa niczym do źródła, żeby szukać odpowiedzi.

Z głębokiego zamyślenia budziły Piotra co jakiś czas odgłosy przejeżdżających samochodów, które kierowały się w wiadomym tylko dla siebie kierunku. Co jakiś czas zaczepiał go przechodzień lub rowerzysta, rozpoznając w Piotrze kolegę ze szkoły, sąsiada z tej samej ulicy czy małego chłopca, który razem z matką spacerował i bawił się w piaskownicy. Mieszkał tu od dziecka. Znał niemal wszystkich, a i jego znali niemal wszyscy. Taki urok małych miasteczek. Ten względny, chciałoby się powiedzieć sielankowy spokój zakłóciła tajemnicza postać kobiety, której kształty wydawały się Piotrowi znajome, a miał ogromny problem z dopasowaniem twarzy do nazwiska.

– Piotr, to ty? Co za spotkanie. Cześć. Ile to już lat minęło? Trzy? – nieznajoma kobieta nad wyraz była zaskoczona przypadkowym spotkaniem.

– Cześć. U mnie po staremu – odpowiedział dyplomatycznie i enigmatycznie Piotr, zastanawiając się, kim jest niezajoma. Ona go znała. On ją niekoniecznie. Mógłby powiedzieć, że znają się tylko z widzenia.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy. Słyszałam. Wyrazy mojego współczucia – mówiła wyraźnie i szczerze zatroskana kobieta, kładąc dłoń na ramieniu Piotra i z wielką życzliwością patrząc mu w oczy.

Piotr bez słowa oparł się o barierkę mostu, wpatrując się przed siebie. Kobieta dołączyła do niego.

– Pamiętasz, jak letnimi wieczorami spacerowaliśmy tutaj, po wałach? Nigdy nie zapomnę naszego pierwszego pocałunku. Ta rzeka była świadkiem naszej miłości – z rozrzewnieniem wspominała kobieta, wywołując w Piotrze konsternację.

Jedyną osobą, z którą całował się Piotr nad Pilicą i dawał dowody miłości, była Renata. Ale ona przecież wyjechała. Pokłócili się. To było wtedy, jak zachorowała jego mama. W Piotrze narastała wtedy frustracja wobec życia i ludzi. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Bóg po raz drugi odbiera mu najbliższą osobę. Nie godził się na to, a przez to odrzucał pomoc i wsparcie Renaty. Odpuściła. Wyjechała za granicę. Nie była nawet na pogrzebie matki. Kiedy pozbiierał się, próbował ją odnaleźć. Odwiedził nawet jej matkę, ale ta powiedziała, że będzie lepiej, jeśli nie będzie się z nią kontaktował.

– Wróciłam, Piotrze. Chcę zacząć od nowa – dodała.

Padli sobie w objęcia. Po raz kolejny rzeka stała się świadkiem ich miłości. Ta sama, która połączyła ich przed laty.

(Opowiadanie zajęło I miejsce w II Konkursie „O Złote Pióro Burmistrza Koniecpola” organizowanego przez Bibliotekę Publiczną w Koniecpolu w 2023 r.)



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 032, fotografia format 30x45, 2020 r.

Małgorzata Franc

NELLY

TO BYŁ TRUDNY CZAS KOŃCA LAT PIĘĆDZIESIĄTYCH dwudziestego wieku. Kraj dopiero co podnosił się z pożogi wojny i starał się wrócić do względnej równowagi. Życie toczyło się zatem szybkim nurtem, bo zawsze znalazło się coś, co trzeba było zmienić, poprawić, załatwić. Ten proces dotyczył i dotykał niemal wszystkich, dlatego też nikt się nie dziwił, gdy w którymś momencie coś się zmieniło w jego rzeczywistości lub życiu.

Po II wojnie światowej czasem z konieczności, a czasem planowo powstawały lub były przystosowywane Domy Dziecka, które dawały schronienie również sierotom wojennym, które straciły rodziców na skutek działań okupacyjnych, lub czekały tam na odnalezienie kogoś z rodziny lub krewnych. A ponieważ był to proces długotrwały, niekiedy, gdy szanse na takie odnalezienie wygasły lub dokumenty wskazywały na to, że dany chłopczyk lub dziewczynka jest całkowitą sierotą, zgadzano się również na adopcję. Adopcje te nie zdarzały się często, a te zagraniczne graniczyły praktycznie z cudem. Cudem też można nazwać to, gdy taka adopcja dobrnęła do szczęśliwego finału.

Ta historia właśnie się tak zaczyna i o tym opowiada, a że wydarzyła się naprawdę, może warto ją zapisać, zanim kontury tamtych zdarzeń znikną z pamięci.

Małżeństwo Irena i Jakub L. przyjechało do Polski z silnym postanowieniem adoptowania chłopczyka lub dziewczynki. Własnych dzieci nie mieli, dalsza rodzina zginęła w getcie i smutno im było samym na świecie. Do pobliskiego sierocińca skierował ich znajomy, który pracował tam przez pewien czas jako woźny. Niewiele się namyślając, małżonkowie udali się pod wskazany adres z nadzieją, że ich samotność i smutek się skończą, a przy okazji będą mogli zapewnić chociaż jednemu dziecku spokojny, kochający i bezpieczny dom.

Irena kupiła jeszcze po drodze paczkę cukierków, aby nie iść do dzieci z pustą ręką. Kiedy przed południem dotarli na miejsce, była chyba jakaś przerwa w zajęciach, bo na podwórze przed budynek dosłownie wysypały się dzieci. W różnym wieku, jednakowo ubrane w szkolne fartuszki, w letnie sukienki lub w spodenki i koszulki. Zrobiło się kolorowo i gwarno jak w ulu. Jakub bezsilnie załamał ręce i z przerażeniem spojrzął na żonę, tak jakby chciał zawołać: „Irena, jak my tu teraz dziecko znajdziemy?!”. Żona odpowiedziała mu tylko znaczącym spojrzeniem i zamilkła na chwilę, chcąc zapewne zebrać myśli. Gdy tak stali trzymając się za ręce, podeszła do nich mała dziewczynka, która zaczęła im się bacznie przyglądać. Na początku nie zwrócili na nią specjalnej uwagi, bo była niepozorna, chociaż nie drobna, tylko okrągłutka (jak wspominała Irena).

Później jednak, gdy dziecko podeszło bliżej, na wyciągnięcie rąk, i tarmosząc rąbek od sukienki z uporem się w nich wpatrywało, Irena zwróciła się do męża: „Może wcale nie będziemy musieli szukać, może nasze szczęście samo nas odnajdzie?” – i podała zaskoczony dziewczynce paczuszkę z cukierkami, którą ta natychmiast podzieliła się z innymi dziećmi, ale przed tym powiedziała, że ma na imię Anielka.

Ten niezwykle moment jeszcze przez wiele lat powracał we wspomnieniach małżonków, wywołując uśmiech, a później łzy.

Po tym spotkaniu Irena i Jakub podjęli decyzję, że to właśnie ta dziewczynka zostanie ich córeczką. Jak zdecydowali, tak zrobili. Po dopełnieniu formalności, które zdawały się trwać w nieskończoność, przybrani rodzice odwiedzali Anielkę jeszcze kilkakrotnie, aby lepiej się

poznać. Skrócili przy tym trochę jej imię, nazywając ją pieszczotliwie Nelly, tak żeby wszyscy mogli się przyzwyczaić.

Za jakiś czas mieli bowiem zamiar udać się za granicę i nie chcieli, żeby ich córka czuła się inna i obca w nowym otoczeniu.

Mijały lata. W Stanach Zjednoczonych, gdzie wtedy był ich dom, życie toczyło się w szybkim tempie. Nelly z niepozornej i okrągłutkiej dziewczynki wyrosła na piękną kobietę o niezwykle urodzie i ujmującym sposobie bycia. Skończyła z powodzeniem college i zastanawiała się nad wyborem dalszej drogi życiowej.

Utrzymywała kontakt z domem i rodzicami, była też lubiana przez rówieśników, nic więc nie wskazywało na to, że może wydarzyć się coś złego. Był koniec lat 70. Nelly rzadziej dzwoniła do domu, rozmowy były krótkie i zdawkowe, ale dziewczyna zawsze miała jakieś wytłumaczenie, które zdołało uspokoić rodziców. Kiedyś podczas krótkiego pobytu w domu podczas świąt zimowych zaniepokojona Irena zauważyła zmianę w wyglądzie córki. Nelly miała przekrwione i podpuchnięte oczy. Gdy zapytała o przyczynę i czy czasem nie jest chora, Nelly z uśmiechem odrzekła „Mamuś, nie martw się, to od kredki do oczy, uczulenie”. Zaraz potem wyjechała i przez dłuższy czas nie dzwoniła. Rodzice próbowali jeszcze nawiązać z nią kontakt, ale słyszeli tylko jakieś szумы w słuchawce, to nie była Nelly...

Któregoś dnia zadzwonił telefon i jakiś obcy, szorstki głos poinformował Irenę i Jakuba, że zdarzył się wypadek. Ich córka Nelly nie żyje. Przedawkowała...

To, co było nie do uwierzenia, po prostu stało się faktem. Ojciec Nelly zmarł wkrótce po niej, a mama zastanawiała się często, czy gdyby nie zabrali jej wtedy z polskiego sierocińca, Nelly udałoby się przeżyć.

4 SIERPNIA 2023 R.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 031, fotografia format 30x45, 2020 r.

Wiesława Owczarek

GOLONKA

No I JAK TAM, DZIECIACZKI? NIE NUDZICIE SIĘ? Bo tak cichutko tam z tyłu – siedzicie? Morze już daleko za nami, powoli zbliżamy się do domu. Ale tak sobie myślę, że dobrze byłoby coś zjeść. Co, jesteście głodne? A co babcia na to? No tak, babcia jak zwykle nie może się zdecydować. Ale ja wiem, że jest głodna. No to rozglądajcie się. Jak zobaczycie przy drodze jakąś knajpkę, to krzyczcie: dziadek, zatrzymaj się! Co, co? Już coś było? Ale to prędzej mówcie, dziadek przecież musi zahamować, zatrzymać się, to jest szosa, to nie jest takie proste, a samochód to nie koń, chociaż konia też trzeba umieć zatrzymać, prawda, Jagódko? Ty jeździsz konno, to wiesz... O, tu jest jakiś zajazd, ale nie, nie ma przed nim samochodów. To znaczy, zapamiętajcie sobie, dzieci, że podróżni omijają to miejsce, a my przecież chcemy dobrze zjeść. Dziadek się na tym zna, prawda, babcia? Co ta babcia nic nie mówi? Chyba głodna i zła, bo wtedy nic nie mówi. A tak to by tylko gadała i gadała, nie pozwoli człowiekowi dojść do słowa. Już ja to wiem. O, tu, tu, patrzcie, wiejska chata i napis „U Chłopa”. Tu będzie chyba dobrze. Co mówisz, Michasiu, że nie ma samochodów? Najedli się i odjechali, żeby dla nas zrobić miejsce, już dziadek się na tym zna. Mam nosa do tych spraw. Zaraz sobie podjemy. No, to wysiadka. Jagódka, Michaś... i babcia też już się gramoli. Dzieci, powoli, najpierw się rozejrzemy. Patrzcie, jakie wrota, jak do stodoły, o, i nawet podkowa końska jest do nich przybita. A wiecie, co znaczy taka podkowa? Babcia wie, to wam potem opowie. Babcia, co tak zostajesz w tyle? A gdzie wy idziecie? Tak, tak, niech dzieci najpierw umyją ręce, właśnie miałem ci to powiedzieć. Że też o wszystkim musi dziadek myśleć.

... Dzień dobry, dzień dobry... my tu do pani, bo głodni jesteśmy. No, tu chyba będzie dobrze, nawet z okna widać nasz samochód, nigdy nic nie wiadomo. Jakoś tu pusto. Aha, idzie do nas kelnereczka. Dziękujemy pani, zaraz coś zamówimy. A co by pani nam poleciła? No dobrze, sami sobie poradzimy. Dzieci, co dla was? O, jest rosółek, barszczyk, kurczaczek... No więc co? Myślę, że dla dzieci rosółek byłby najlepszy. Nie, Michasiu, kurczaczek ma dużo kostek, mówię ci, rosółek będzie pyszny. I Jagódka też zje rosółek. A babcia? Może weźmiemy golonkę na pół, bo sam nie dam rady, jak będzie wielka. Co ty tam mruczysz? Nie, ja wszystkiemu nie daję rady, nie opowiadaj, dobrze wiesz, że mało jem. No tak, wiedziałem, że nie będziesz chciała. Zawsze na przekór. Ona musi inaczej. Flaki? Kto to je flaki? Zobacysz, będziesz żałowała. Proszę pani, prosimy dla dzieci rosółek, dla żony flaczki... a golonkę dobrą macie? Prosto z pieca... i z kapustką... Daje pani słowo honoru? Pani taka śliczna, chyba mnie pani nie okłamie. Proszę pani, my tu specjalnie do pani przyjechaliśmy na dobre jedzenie, bo was chwalą w okolicy. No, to czekamy. Jak tam, dzieciaczki, zmęczone? Już niedługo będziecie w domu, rodzice już was wypatrują. No proszę, rosółek już jest, i miseczka dla babci. Ty to zjesz, taką michę? Że też uparłaś się na flaki. Co tu jest do lubienia, znam smaczniejsze dania. Golonka, to jest coś. Jak nie dam rady jej zjeść, to będzie twoja wina. Mogliśmy wziąć na pół, byłoby taniej. Flaczki 4 złote? To wcale nie jest mało. No, ale jakie jedzenie, taka cena. No, jest moja golonka! Ależ wielka! Dziadek będzie miał kłopot! No to co, że jadłem większe, nie popisuj się przed dziećmi. Mówisz tak, bo mi zazdrościsz, już ci ślinka leci... a figę ci dam, jedz swoje flaki. Jest i kapustka, przydałoby się piwo, no, ale jesteśmy w drodze... jaka chrupiąca skórka! Jak będziesz grzeczna, dam ci kawałek. Jest olbrzymia, nie wiem, czy dam radę zjeść całą. No, ale za prawie 30 złotych... I wcale nie jest taka tłusta... Chcesz kawałek? Nie

to nie, wszystko dla mnie. A... to co? Zostawili włoski na skórce, nie wyczyścili, jak trzeba... Co za szczecina, jak szuwary... Jak oni to przygotowali, niechluje jedne! I za takie pieniądze. Ta kapusta jakaś niesmaczna, spróbuj... No wiem, że kiszona, ale żeby taka twarda... Nie da się jej jeść, jest niedogotowana. No tak, golonka wielka, ale największy to ten gnat w środku, i to za ten gnat trzeba było tyle zapłacić. Zupełnie zimna w środku. Twarde to, zimne, przecież nie da się tego jeść! Proszę pani, proszę pani! To jest golonka z pieca? Przecież ona jest ledwo ciepła, a w środku zupełnie zimna. Miała być prosto z pieca! Podgrzana w mikrofalach? To teraz mi pani mówi? Gdybym wiedział, nigdy bym nie zamówił. Pani mnie oszukała! Co za knajpa! Jak wy tu ludzi traktujecie! Chcecie ich powytruwać! Ja wam nie powinienem zapłacić ani grosza za takie żarcie! Wstyd! Już ja wam zrobię reklamę, ostrzegę wszystkich, żeby was omijali szerokim łukiem. Naciągacie ludzi na coś, czego się nie da jeść! Dzieci, zjedzone? Wychodzimy. A ty z czego się śmiejesz? Zadowolona, bo się flaków najadła. Nigdy mi nic nie doradzisz, człowiek musi się zawsze sam ze wszystkim męczyć. Proszę zabrać ten talerz! Ja zapłacę, bo nie chcę awantury, ale moja noga nigdy więcej tu nie postanie! Nikt tu do was nie zajrzy, postaram się o to! Chamstwo jedno, niczego ten kapitalizm was nie nauczył! Nie, nie powiem pani do widzenia, niech się pani cieszy, że w ogóle zapłaciłem. Dzieci, do samochodu! A tobie co tak wesoło? To wszystko jest smutne, ale ty jak zwykle nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi! Najważniejsze, że ona się najadła! Inna żona to by o mężu pomyślała, a nie tylko o sobie! Głowa wiecznie w chmurach! Trzeba realnie patrzeć na świat. Doradzić to nie potrafisz, mogłem przecież zamówić coś innego! To nie zwróciłaś uwagi na to, że ta golonka jest podgrzana w mikrofalach? Jak to nie można poznać? Każda dobra gospodyni pozna to z daleka, no ale ty... wiadomo. Dobrze były te flaki?



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 029, fotografia format 30x45, 2020 r.

Paulina Wysocka-Morawiec

ODWET

TEGO DNIA KRYSZYNA KOZIOŁ MIAŁA WYŚMIENITY HUMOR. Od samego rana odnosiła wrażenie, że wszystko jej sprzyja. Począwszy od dwudziestu złotych, które znalazła na ulicy po drodze na ryneček, po mocno utargowane ceny towarów, które zakupiła.

Jechała rowerem, starą damką, która służyła jej wiernie od lat. W koszyku przymocowanym do bagażnika wiozła torbę wypchaną po brzegi zdobyczami. Były tam przede wszystkim owoce, w tym śliwki węgierki, z których planowała zrobić konfiturę. Przepis miała jeszcze od babci, a jej dzieci, choć już dorosłe, wprost ją uwielbiały. Do tego kupiła trochę warzyw, wędlinę, chleb, nową narzutę, którą oczami wyobraźni już widziała na kanapie w salonie i do kompletu dwie gustowne poduszki.

Krysia zahamowała przy furtce i nucąc pod nosem „Kwiaty we włosach”, weszła na podwórko. Minęła czereśnię pełną hałaśliwych szpaków, a nieco dalej całkiem cichy wybieg dla kur.

Oparła rower o belkę przy ganku i zabrała się za wnoszenie zakupów do kuchni. Kiedy tylko się z tym uporała, chwyciła kapę i ruszyła w stronę kanapy. Narzuta prezentowała się wspaniale, tak jak się tego spodziewała. Krysia nawet miała ochotę rozsiąść się na niej wygodnie, ale ostatecznie uznała, że na to jeszcze przyjdzie czas, którego teraz nie miała.

Wróciła do kuchni. Zaczęła przygotowania do obiadu. Apetyczne zapachy wyciągnęły z piwnicy Kazika. Mężczyzna podszedł do żony nieco niepewnie, ale gdy usłyszał jej cichy śpiew i dojrzał kołysanie bioder, nabrał odwagi.

- Co tam dobrego pichcisz?
- Wątróbkę z cebulką. Widać chyba.
- Widać, widać.

Zbliżył się o kolejny krok. Teraz Krysia była już na wyciągnięcie ręki, tak samo jak jej podrygujące pośladki, które Kazikowi wydały się równie apetyczne, co skwierczące na patelni podroby. Wziął wdech i położył na nich dłoń, którą zacisnął z niemałą przyjemnością.

- Co ty, Kazik? Na amory ci się zebrało? – zaśmiała się Krysia.

Kazik uznał reakcję żony za pozytywną. Zawsze mógł dostać po głowie kuchenną szmatą, a zamiast tego otrzymał lekką naganę i śmiech. To dodało mu animuszu. Objął kobietę, pogłaskał po boku i już kierował ręce w górę w stronę dwóch miękkich półkul, gdy został odepchnięty.

– Dajże spokój, Kazik! Jeszcze wątróbki przypalę. A tak swoją drogą, to może byś tak od rana nie chlał, co? Od tego twojego chuchu zaraz i ja pijana będę.

Mężczyzna westchnął z żalem. Widać z amatorów nici.

– Od razu – chlał. Degustowałem tylko. Przecież wypada sprawdzić, czy wyszło jak trzeba.

– Pewnie. To jak już sprawdziłeś, pomógłbyś mi trochę. Umyj śliwki i powyciągaj z nich pestki. Dzisiaj konfiturę będę robić.

Kazik nie był zbyt zadowolony, ale usiadł przy stoliku i zabrał się do pracy bez dyskusji. Brak protestów powinien wzbudzić u Krysi choć cień podejrzeń, ale była tak zaaferowana porannymi zakupami, że zupełnie nie zwróciła na to uwagi.

Po obiedzie oboje usiedli do szykowania owoców. Kazik stracił zapał po obfitym posiłku i cicho narzekał:

– Dla całej kompanii będziesz te konfitury robić?

– Ojoj, pomyślałby kto, że tak cię robota w kuchni zmęczy. A śliwek wcale dużo nie jest. Byłoby więcej, gdybym miała samochód z kierowcą.

– Przecież w garażu stoi – Kazik skinął w stronę okna.
 – Ano stoi, stoi, bo nie ma kto nim jeździć. Jedyne mu kierowcy w domu prawo jazdy zabrali za jazdę po pijaku.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy. Sam sobie pluł w brodę za głupotę, ale nie znosił, kiedy żona wypominała mu tamto zdarzenie.

– Byłby kierowca, gdybyś na prawo jazdy poszła – odbił piłeczkę. – Ale nie, bo się boisz.

– Nie boisz, tylko już za stara jestem. Nie nauczyłabym się.

– Wymówki, przecież ty za mądra kobita jesteś, żeby takiej prostej sztuki nie opanować. Bym ci wszystko wytłumaczył, przepisów byś się wyuczyła i śmigałabyś po wsi jak Kubica.

Krysia aż zakrztusiła się kawałkiem śliwki, który podjadła z miski. Komplement? Kto by pomyślał!...

– Ty mnie nie czaruj, tylko śliwki obieraj. Ja idę paszy kurom zamieszać.

Kazik poruszył się niespokojnie.

– Nie, siedź lepiej. Kury już podawane miały, pewnie jeszcze nie wyzarły wszystkiego.

– To nic, chociaż im zupy z wczoraj doleję, bo skisnie całkiem i już nawet dla nich się nada.

Kazik przeklął pod nosem. O zupie nie pomyślał.

Kiedy tylko Krysia wyszła z kuchni z garnkiem ciut nieświeżej botwinki, szybko skończył obieranie owoców i ruszył na podwórko, żeby dla bezpieczeństwa zaszyć się w oborze, gdzie trzymał ciągnik. Wysłuzona maszyna odrobinę się popsuła, a lada dzień trzeba było wyjechać nią w pole. Postanowił połączyć ukrywanie się z czymś pożyteczniejszym. Ten mały szczegół mógł mu uratować skórę. Krysia może nie będzie tak na niego wrzeszczeć, jeśli się dowie, że udało mu się nareperować sprzęt. Ostatecznie sama gadała mu o tym już od jakiegoś czasu.

Tymczasem Krysia zbliżała się do wybiegu kur.

– Cip, cip! Pańcia ma dla was coś pysznego – zawołała radośnie, podchodząc do ogrodzenia.

Odpowiedziała jej cisza. Uchyliła furtkę i stanęła jak zamurowana. Garnek z zupą wypadł jej z rąk, a jego zawartość chlusnęła na ziemię, przy okazji oblewając nogi i spódnicę. Chciała krzyknąć, ale gardło ścisnęło jej się tak, że mogła wydać jedynie zdławiony pisk.

Na wybiegu wszystkie kury leżały bez ruchu. W pierwszej chwili Krysia pomyślała, że coś je podusiło. Lis, kuna, czy inne szkaradztwo wylazło z lasu i nastąpiło na życie jej stadka. Zrobiła kilka kroków w przód. Łzy ciekły jej po policzkach z żalu i złości. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ptaki wyglądają na całe. Nie było żadnej krwi ani na nich, ani na ziemi. Z wahaniem pochyliła się nad jedną z kur. Przyłożyła dłoń do jej ciała i czekała. Ptaszyna oddychała.

– Co, do cholery? – mruknęła do siebie.

Jeszcze raz uważnie się rozejrzała. Na ziemi leżały napęczniałe ziarna. Już miała ich dotknąć, kiedy się zawahała. A jeśli ktoś podrzucił im trutkę? Ale kto? Przecież Nowakowie z za płotu kupowali od nich jajka. Masowy mord nie byłby w ich interesie. Szczególnie że sąsiadka zawsze sobie je chwaliła. Upierała się, że to dzięki nim wychodzi jej tak dobry biszkopt. Z drugiej strony podwórka były same pola. Nie było nikogo, kto mógłby nastać na życie stadka.

Krysia postanowiła zaryzykować. Chwyciła kilka ziarenek, obejrzała je uważnie, a później coś jej odpowiedziało, żeby zbliżyła je do nosa. Odrzuciła je szybko w kąt, zacisnęła pięści i zawołała na cały głos:

– Kazik!

Wywołany usłyszał jej wrzask w oborze, ale zamiast pobiec do żony, zamknął ostrożnie wrota i skrył się za ciągnikiem. Po cichutku modlił się, by go nie znalazła przez najbliższą godzinę. Tyle powinno jej wystarczyć, żeby ochłonąć. Taką miał nadzieję. W końcu pierwszy raz upił kury. Nie żeby specjalnie, ale tak jakoś naszła go ochota na pędzenie bimbru ze zboża. Potrzebował odmiany. Ziarno zostało, a jemu było szkoda wyrzucać. Zaniósł je więc kurom, ale nie do końca przemyślał związane z tym konsekwencje...

Krysia nie miała pojęcia, gdzie podział się Kazik. Zniknął jak kamfora, a ona nie miała nawet czasu, żeby go szukać i opierdzielić od góry do dołu. Tą przyjemność zostawiła sobie na później. W pierwszej kolejności pobiegła po wodę i dołała jej do korytka. Kiedy kury obudzą się z pijackiej drzemki, z pewnością będą jej potrzebowały. Czekał je niezły kac. Później pobiegła do domu umyć się i zaprać spódnicę. Szorowała ją zawzięcie szarym mydłem, psiozcząc, że też musiała ostatnio ugotować botwinę. Plamy z buraków były ciężkie do wywabienia.

Kiedy spódnica już schła na sznurku nieopodal domu, Krysia dla ukojenia nerwów zabrała się za konfitury. Czas jej przy tym zleciał tak szybko, że ani się nie spostrzegła, już nastał wieczór. Kazika dalej nie było. W dalszym ciągu była zła na męża, ale teraz rozdrażnienie mieszało się w niej z niepokojem.

– Gdzie też on przepadł? – zastanawiała się głośno. – Samo utrapienie z tym chłopem – sapnęła ciężko.

Owoce właśnie się gotowały, więc jeszcze nie mogła ich zostawić. Nie daj Boże wszystko by się przypaliło i przez tego starego capa musiałaby je wyrzucić, a pewnie i do pary garnek. Nie, na to nie mogła sobie pozwolić. Pichciła więc dalej.

Minęła pora kolacji, a Kazika dalej nie było. Z nerwów Krysia przy okazji upiekła placek z owocami, a przy przekładaniu marmolady do słoików jeden stłukła.

Było już całkiem ciemno, kiedy skończyła pasteryzować. Słoiki zajmowały cały stół w kuchni, stały obrócone do góry dnem i przykryte ręcznikiem. Garnki leżały czyściutkie na suszarce, a Krysia dygotała z niepokojem. Same czarne myśli przychodziły jej do głowy. Może gdzieś polazł, popił, a teraz leży w rowie? Albo w drodze powrotnej potrafił go samochód, a sprawca zbiegł, nie udzielając pomocy? Walczyła ze sobą, czy iść szukać, czy zignorować na złość jemu. Serce jednak zwyciężyło nad złością i dumą.

Krysia zarzuciła na ramiona sweter, złapała latarkę i pognęła na poszukiwania. Najpierw zajrzała do kurnika. Kury doczłapały jakoś na grzędę, choć nie wszystkie dały radę. Wyglądały nieciekawie. Spojrzenia miały nieobecne, pióra nastroszone jakby w nie piorun uderzył. Krysi było ich szczerze żal. Zanim zamknęła je w kurniku, obeszła wybieg, by sprawdzić, czy któraś na nim nie została. Ani kur, ani Kazika.

Kobieta obeszła wszystkie budynki gospodarcze. Nawoływała przy tym cicho, żeby nie zwrócić uwagi sąsiadów. Nie potrzebowała dodatkowego gadania i wstydu.

Do obory weszła na końcu. Na posadzce wały się narzędzia, więc Kazik pewnie był tam wcześniej. Do tego na stoliku stały dwie butelki samogonu. Jedna pusta, druga z resztkami na dnie. Mężczyzny jednak nie było widać. Sprawdziła nawet w ciągniku. Już miała wychodzić, kiedy w pomieszczeniu rozległo się znajome chrapanie. Poszła w jego kierunku i znalazła zgubę za belami siana i słomy. Z jednej z nich zrobił sobie siedzisko i spał na nim dziwacznym powyginany.

– Ale żeś kryjówkę sobie znalazł – zachichotała.

Podeszła bliżej i już miała go budzić, kiedy zorientowała się, jak wyglądają jego dłonie. Całe w smarze aż po łokcie. Od razu pomyślała o swoich ubraniach i o nowej narzucie na kanapie. O nie, nie zamierzała niszczyć żadnej z tych rzeczy!

Przez myśl przemknęło jej, żeby go zostawić w oborze, zamiast ciągnąć ledwie przytomnego do domu, ale dobrze wiedziała, że nie potrafiłaby zasnąć, dopóki by po niego nie wróciła. Tak, już kilka razy próbowała.

Narzekając na swoje miękkie serce, wróciła do domu. Myślała przez chwilę, co zrobić, aż wpadła na genialny pomysł. Uprzątnęła nowy pled z kanapy, zastępując go starym kocem i sięgnęła do apteczki.

Kiedy znowu stanęła nad Kazikiem, dla pewności poklepała go po policzkach, potem mocno szturchnęła. Jego jedyną reakcją było mamrotanie pod nosem. Wybornie. Chwyciła bandażę,

które ze sobą przyniosła i z wprawą owinęła nimi zabrudzone ręce męża. Gdy skończyła, rozejrzała się po otoczeniu, podświetlając latarką kolejne zakamarki.

– Gdzieś tu powinna być... O, jest.

Chwyliła taczkę i podjechała z nią pod Kazika. Przy pierwszej próbie umieszczenia go w specyficznym środku transportu taczka przechyliła się i wyrzuciła na bok razem z Kazikiem i Krysią.

– Aaaa – zajęczał mężczyzna, ale na tym skończyła się jego reakcja. Spał nadal pomimo wielkiego guza na czole, który Krysia szybko opatrzyła resztką bandaży.

Kobieta podniosła się z ziemi. Nie szczędziła niewybrednych słów pod adresem zapijaczego męża. Przez kilka sekund chciała nawet tak go zostawić, ale jak by mogła? Tak na klepisku? Nieprzytomnego?

Zakasała rękawy, poprawiła taczkę i podjęła kolejną próbę uniesienia męskiego bezwładnego ciała. Tym razem jej się udało. Była poczerwieniała z wysiłku, obolała, ale dumna z siebie. Kazik leżał na taczce z nogami i rękami na zewnątrz, ale cała reszta leżała w pojeździe dosyć stabilnie.

Krysia wzięła kilka głębokich wdechów, które miały dodać jej sił do dalszej przeprawy. Zanim ruszyła, szerzej otworzyła wrota obory, by ułatwić sobie wyjazd. Kiedy rozchyliła skrzydła, aż podskoczyła z przerażenia na widok czającego się w ciemnościach cienia.

– Matko Boska! – krzyknęła i szybko złapała pierwsze, co miała pod ręką.

Zamachnęła się widłami na nieznanomego, który zdążył podejść jeszcze bliżej.

– Spokojnie, pani Kozłowa. To ja, Stasiek.

Krysia zawahała się.

– Stasiek?

– No Stasiek, zza rzeki.

Owsem, głos wydawał jej się znajomy. Wyciągnęła z kieszeni swetra latarkę i oświetliła mu twarz. Młody mężczyzna skrzywił się na oślepiające promienie.

– Rzeczywiście – mruknęła pod nosem.

– To może pani już odłóż te widły? – zaproponował nieśmiało.

Krysia spojrzała na swoją broń i uznała to za rozsądną propozycję. Przestała celować ostrzami w Staśka i oparła je o ścianę tam, gdzie były wcześniej.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała, kiedy podszedł kilka kroków bliżej.

– Wracalem do domu z roboty.

– O tej porze? Z tartaku?

Stasiek pokręcił głową.

– Nie, nie. Ja w tartaku w tygodniu robię, a w weekendy pomagam w remizie, jak jakieś przyjęcie jest czy stypa. No teraz to się akurat stypa trafiła, ale żałobnicy długo żal topili.

– A tak, zapomniałam. Stary Zwinek, świeć Panie nad jego duszą! – Krysia się przeżegnała.

Mężczyzna potaknął i kontynuował:

– Byłem na wysokości waszego płotu, kiedy usłyszałem jakiś rumor. W Cholewnikach ostatnio Ignacemu Brzózce samochód z podwórka wykradli. Zaszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku, skoro złodzieje grasują.

– O, dobry z ciebie chłopak, Stasiu! – Poklepała go po ramieniu. – Ale musisz wiedzieć, że nikt staremu Brzózce nic nie ukradł, tylko sam rozpowiada podobne bzdury.

– Co? Niby dlaczego?

– Bo ostatnio na stacji benzynowej tak się zagadał ze Słowikową, że zamiast oleju, benzyny wlał. Samochód może i był do odratowania, ale za taką cenę, co sobie Brzózka może nowszy kupić. To go wziął i zełomował.

– Naprawdę?

– Sam pomyśl, kto by takiego starego rzęcha chciał kraść?

Stasiek chwilę się zastanowił, aż uznał, że Kozłowa ma rację.

– Czyli żadnych złodziei nie ma?

– Nie ma.

– To co tak trzaskało?

Krysia zerknęła w głąb obory. Mogła wymyślić jakąś bajeczkę jak stary Brzózka, ale z drugiej strony stał przed nią młody, dobrze zbudowany mężczyzna. Z jego pomocą dostarczenie Kazika do domu byłoby o wiele prostsze.

– Chodź! – Złapała go za rękę i wciągnęła do środka. Chwilę później oświetliła taczkę z Kazikiem.

– Matko kochana, co mu się stało? Może trzeba na pogotowie zadzwonić?

Obraz Kozła mógł być szokujący. Bandaże na rękach i głowie, do tego kompletny brak przytomności.

Krysia szczerze się roześmiała.

– Gdzie tam na pogotowie! – machnęła niedbale ręką. – Upił się tylko przy remoncie ciągnika. Ućmoruchał się strasznie smarem, to go zabezpieczyłam, żeby mi w domu kanapy nie popaprał.

– Aha – odezwał się Stasiak niepewnie.

– Jak już jesteś, to może pomożesz mi go przewieźć? Chyba za dobrze go karmię, bo strasznie ciężki się zrobił.

– Tak, tak – szepnął mężczyzna i złapał za rączki taczki.

Kiedy wyjechał z Kazikiem, Krysia zamknęła oborę i popędziła otwierać drzwi do domu. Na ganku pomogła wyjąć męża ze środka transportowego. Uwiesili go sobie na barkach, trzymając za ręce i podtrzymując tułów. Weszli do mieszkania bokiem, objijając się o framugi i ściany.

– Dajemy go do salonu. Ani mi się śni ciągnąć go na piętro. Zresztą nie na moje nerwy to jego pijackie chrapanie.

Stasiak nie oponował. Z ulgą ułożył Kazika Kozła na kanapie, Krysia przykryła go cienkim, spranym kocem i otrzepała ręce.

– No, bardzo ci dziękuję!

Stasiak skinął głową. Nadal przypatrywał się nieprzytomnemu.

– Myśli pani, że na pewno nie potrzebuje pomocy?

– A gdzie tam! Nic mu nie jest. Co najwyżej jutro będzie go bolała głowa.

– Przez kaca?

Krysia pomyślała o wielkim guzie na czole męża, ale ostatecznie skinęła głową.

– Dokładnie.

– To w takim razie będę leciał.

– Czekaj, w ramach podziękowania coś ci dam.

Pociągnęła go do kuchni i sięgnęła po jeden z wielkich słoików konfitury. Do tego zapakowała mu kawał ciasta. Wcisnęła mu to w ręce pomimo protestów.

– Nie trzeba, pani Kozłowa.

– Trzeba, trzeba. Na zdrowie. A i jakbyś mógł nie wspominać o tym nikomu, dobrze? Nie żeby ludzie nie wiedzieli, jak jest, ale po co jeszcze im dokładać.

Stasiak pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Oczywiście. Nawet słówka nie pisnę.

– Dziękuję. Dobry chłopak z ciebie.

Już się odwrócił w stronę wyjścia, ale się zawahał. Odchrząknął i zapytał z uroczą nieśmiałością:

– A co tam u Mirki? Wszystko dobrze?

Krysia uśmiechnęła się delikatnie. Wiedziała, że w czasach licealnych Stasiak miał słabość do jej córki, ale żeby nadal? A może to był tylko sentyment?

– Powiedzmy, że dobrze. Zrobiła się z niej prawdziwa pracoholiczka, ale odwiedza nas regularnie. Przydałby się jej jakiś porządny mężczyzna. Wpadnij kiedyś, jak będzie. Pogadacie sobie. Mężczyzna się zarumienił. Przeczesał włosy z tyłu głowy.

– Nie wiem... Może... Proszę ją ode mnie pozdrowić – powiedział i uciekł jak spłoszony jelonek.

Krysia zaśmiała się pod nosem, pokręciła głową, zgasiła światło i poszła na piętro, spragniona snu.

– Krysia! Krysia! Jezusie, Maryjo! Krysiaaaa!

Kobieta usiadła na łóżku jak rażona prądem.

– Krysia! – dobiegł ją płaczliwy głos męża.

Wypadła z łóżka, zarzuciła na siebie satynowy szlafrok, który dostała od córki i zbiegła na parter. Stała w progu salonu zziębnięta.

– Co się stało?

Kazik siedział na kanapie z wyciągniętymi przed siebie obandażowanymi rękami i zapłakaną twarzą.

– Ja się pytam, Krysia, co mi się stało? – Pociągnął nosem jak zrozpaczony czterolatek.

– Co sobie zrobiłem?

Krysia podparła biodra rękami i lekko się wyprostowała.

– Jakbyś tyle nie pił, to byś pamiętał.

– Krysiiuuu! No mówże! Błagam! Może do szpitala ze mną trzeba?!

Kobietę sporo kosztowało utrzymanie powagi.

– Ej, głupis. Czujesz, żeby cię co bolało?

Kazik zmarszczył brwi, jakby naprawdę się nad tym zastanawiał.

– Głowa może trochę.

– Głowę to sobie zbiłeś, prawda. A reszta?

Poruszył się na próbę.

– Trochę połamany jakby.

Westchnęła i wywróciła oczami.

– Ręce?

– No... Ręce to nie!

– Właśnie.

Pomachał nimi.

– To skąd te bandażę? – zapytał bezradnie.

– Bo żeś usmarowany był po łokcie i tak żeś usnął, pijaku jeden. Jak cię miałam tu zataszczyć takiego brudnego, co? Jakoś musiałam sobie poradzić.

Kazik otarł wilgotną twarz zabandażowanymi dłońmi.

– Czyli ręce mam całe?

– A całe, całe, ale jak tak dalej będziesz po pijaku przy sprzęcie robił, to ja nie wiem na jak długo.

Odwróciła się i wyszła, ledwie hamując śmiech. Mina Kazika była warta tej całej męczarni, którą przeżyła w nocy.

– Ale zaraz! Krysia! Czekaj! Jak ja mam to sam zdjąć?! – zawołała za nią.

Zachichotała pod nosem.

– Nie wiem, może kury o pomoc poproś! – krzyknęła i z szerokim uśmiechem na twarzy zamknęła się w łazience.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 038, fotografia format 30x45, 2023 r.

Teodozja Zariwna

MILCZENIE CELSJUSZA (fragment)

przełożył Bohdan Zadura

DOM Charyty lypał na świat niebieskimi oknami z wyrzutem i jakoś żałośnie, jak stary pies, który już ledwie dyszy. Charyta poruszyła ustami i sama nie wiedziała, czy w ten sposób mówi do siebie, czy do Boga, a może do tych, których wyobrażała sobie w poprzednim życiu. Siły gdzieś uciekły i serce zamierało. Boże, dodaj troszeczkę sił, aby nie upaść i nie leżeć bez pomocy. Bo leżenie – to początek końca, a ten powinien być krótki i jak tylko można bezbolesny. Gdyby tak było, jak człowiek chce. Żuła listek mięty, który dodawał jej sercu sił, a potem piła wodę z cukrem. Siadła na słońcu, już ostygłym, ale jeszcze takim słodkim i jaskrawym. Dokoła ostro pachniało wyschłymi ziołami, badyłami z ogrodu, zgniłymi jabłkami z sadów i jakimś rozpoznawalnym zapachem, który nie tyle rzeczywiście istniał, co żył w niej – zapach domu trzymał się w jej świadomości razem z zapachem szczęścia, które naprawdę nie było szczęściem, ale nim się wydawało, z oddali, tak dalekiej, że jej początku nie było widać. Gdyby ją zapytano, co się nań składa, to oprócz zapachu traw i drzew, być może wymieniłaby też zapach wapna, którym bielono ściany, zapach strychu – zgniły i troszkę spleśniały, z warstwą piasku, który nagrzewał się od gorącego komina i trzymał ciepło jak grzałka, a jeszcze strzegł od ognia, chłód sieni z jej rozścieloną (na wypadek niespodziewanego upadku z drabiny) warstwą siana, zapach myszy i zapach chleba – wszystko, co stanowiło jej życie, które dawno minęło, zostawiając samą otoczkę, i które upływa teraz, niosąc nowe kłopoty i lęki.

Nie miała siły, by głębiej wciągnąć to gęste jabłkowe powietrze, które z rzadka rozcinały strumienie młodego porannego porywistego wiatru, które duszącymi kawałkami zalegało pośród nowych drzew. Widziała swój dom z góry, z wysokości starego Wasylkowego jesiona – zdawało się, że niebo przelało się niebieską cieczą pomiędzy pniami – to widniały niebieskie deski jego ścian, to białały już dobrze obłupaną farbą okiennice (nie ma dla kogo malować przed każdą Paschą, a dla niej – i takie wystarczą) i jeśli dobrze się przyjrzeć, to widać było siedzące na starych nalicznikach dwa gołębie – jeden naprzeciw drugiego, białe i nieme, wyrzeźbione z jakiegoś bardzo twardego drewna. Bo ile już mogą mieć lat, a siedzą i siedzą. I wtedy stawało się lżej.

To był jej schówek, to był jej spadek, to była jej więź z życiem, które przeżyła. Kto wie, czy ono kiedyś istniało, czy się przyśniło? Ale od tego, że wspomnienia o nim tak bolały ciało (czy duszę, czy samą pamięć) pomyślała, że wymyśl tak mocno nie boli, bo ciągnęła się ta surowicza linia jej historii jak ślad za rannym człowiekiem czy zwierzęciem, i nie każdy ją widział, nie każdy czuł i nie każdy jej wierzył. Ale ona widziała i wiedziała: innego niż to, które ciągnęło się śladem, nie było.

Nieme, milczące ptaki prawie dotykały się dziobami, chciało się usłyszeć ich gruchanie. Przeszłość, jaka była z nimi związana, dawno rozsypała się jak próchno, drobny proch, a to, co zostało – to tylko bolesne obrazki w głowie...

Przy bliższym przyjrzeniu się był to już stary budynek, który błagał o pomoc – i zrujnowany dach z nadszczerbionych łupków, i postrzępione bale na okapie, i wytarty próg, który uparcie wzywał Charytę do środka, do dużej sieni, która płynnie przepływała w drzwi na wprost do spiżarni, a na prawo do kuchni, a stamtąd też do pokoju. Chodziła w półmroku i mogła

nawet zamknąć oczy – tak doskonale widziała wszystko. Pod woreczkiem z suszonymi gruszkami, wiszącym na haku, rysował się właz do piwnicy, przykryty deską. Tam były jej główne skarby, jej strategiczny zapas – kartofle, buraki, marchewka, worek lub dwa kapusty, trochę kiszonych ogórków i pomidorów, reszta – w spiżarni, jeszcze trochę – pod łóżkiem, musiały mieć kilka schowków, tak na wszelki wypadek.

Podłoga, która się wytarła i przegniła od lat, mokrego podłoża i mycia, przepuszczała chłód. Najpierw była tutaj polepa, potem zdobyli się na deski, ojciec pewnie położył osikę, może i tymczasowo, zanim stać go będzie na dąb, a wyszło, że na zawsze, bo osika nigdy nie miała twardości (to tylko dąb jest mocniejszy od wilgoci). Oto teraz kończy swoją służbę. Czy nie dlatego spod takich desek w jesieni i zimą cienko i uparcie przesączało się palące powietrze, aż świstało, nogi marzły, woda w wiadrze pokrywała się lodem, i rano nie można było rozruszać kości. A jeszcze myszy, które powygryzały w deskach duże dziury i hasały nocami, jak konie, i po stole, i po łóżku, i po bufecie, szukając zapomnianych okruchów, stara nawet już ich nie odganiała, mówiąc powoli, żeby nie hałasowały tak głośno i nie przeszkadzały nocy nocować. Ale zuchwałe szare bezczelniki dawno przywykły do jej łagodnego głosu, bo były domowe, tu się urodziły, i wyrosły, i zachowywały się jak gospodarze.

Na szczęście zima nie trwała wiecznie. Charyta cieszyła się każdym ciepłym dniem, można powiedzieć, świętowała go, bo wiedziała, co czeka na człowieka wśród tutejszych nieskończonych chłódów, jeśli poszczęści się żyć dalej.

Rozzłościwszy się na nocne wybruki myszy, zabijała dziury kawałkami porzewiałej blachy, ale gwoździe wchodziły lekko, bo deski spróchniały i stara bała się, że podłoga szybko zawali się pod jej nogami, uchylając światu jeszcze jedną zasłonę, aby dalej zmieniał ludzkie życie w piekło. Ostrożnie i po raz drugi odsuwając obrazę, mówiła do Boga, żeby tej chaty i tej podłogi wystarczyło jej na całe życie.

Bóg w tej chatce formalnie był obecny tylko na staroświeckiej ikonie, szerokiej i poprzecznej, i miał na niej coś koło roku, za nic więc nie mógł odpowiadać, bo czy dziecka spytasz; pod tą ikoną brali ślub jeszcze ojciec z matką (już ich nie ma we wspomnieniu). A nieznanemu malarzowi, do nikogo niepodobny, osiągał nieosiągalne – bardzo długą linię horyzontu, umieściwszy w niej i dziwne drzewa, które mogłyby rosnąć w tej dalekiej miejscinie, o której przez stulecia mówiły tysiącletnie książki, i wszystkie dziwaczne kwiaty, jakie mogły tam kwitnąć, aby upiększać życie biednej świętej dziecinie na osiołku, staremu cieśli i jego matce pod dziwnymi aureolami światła nad głowami. Gospodyni pilnowała obrazu jak żywej istoty. Obraz lśnił radosnymi i błyszczącymi farbami, listki na drzewach były takie zielone, jakie trafiają się tylko po deszczu na młodziutkich gałązkach, niebo wisiało takie niebieskie, jak wydawały się ściany jej domu jeszcze wtedy, kiedy dopiero został zbudowany, suknia na kobiecie z ikony była tako gęsto czerwona, że Charyta marzyła o podobnej do czasu, aż nie minęła jej młodość. Jednak taki materiał nigdy się jej nie trafił. Jeden tylko raz, kiedy kołchoźnice powieźli całą brygadą na koncert do miasta, wyszła wtedy artystka, wmurowana w długą aksamitną purpurową suknię, oczywiście nie taką, cała schowana w niej od rąk po pięty, tylko piersi wylewały się z głębokiego wycięcia, ale ona, a także kurtyna z wiśniowego pluszu przypominały o dziewczęcym marzeniu, jednak życie nie było już takie piękne jak w czternaście lat, a praca zabijała wszystkie myśli w głowie, nie tylko marzenia, więc tylko westchnęła, popatrzywszy na ręce artystki i swoje własne, a potem zapomniała, bo aria operowa wypełniła cały Pałac Kultury aż po sam sufit. I śpiew był na tyle wyraźny i ostry, inny niż ten, którego zwykła słuchać na weselach, świętach w klubie i koło któregoś z bram w domu, ale nie poruszał jej i zdawał się być obcy i niezrozumiały. Kiedy śpiewali o Marusi i Hryciu, mogła się nawet rozplakać, a taki wysoki i mocny, jakby wykuty z metalu głos, czemuś jej nie poruszał.

Ale za to potem na scenę weszła Luba Cymbalista! Do ostatka nie było wiadomo, czy zjawi się, czy nie, nie miała z kim zostawić pięciorga małych dzieci, póki przewodniczący nie posłał po nie swojej teściowej i ta z niemałym trudem się wybrała, bo dzieci Cymbalisty były wiercipięty, jak groch, który wypryskiwał z rąk i toczył się w najmniejsze zakamarki – co to znaczy cygańska krew, ale przewodniczący naciskał, a stara też wiedziała, że Luba musi śpiewać bodaj raz w roku, bo wyjątkowy skarb przepadł w tym Zabołotowie i póki teściowa naczelnika ćwiczyła i zajmowała się czterema zwinnymi jasnowłosymi dziewczynkami i czarnym jak węgiel piątym chłopcem, to w tym czasie Luba śpiewała. I było coś bolesnego i wzniosłego w tym głosie, tak smutnego i niepochwytanego, że wszyscy zamykali oczy, żeby zatrzymać żywą wodę, która sączyła się spod rzęs, a Luba na scenie całkiem zapominała o swoich dzieciach i o mężu-Cyganie, który co wiosnę siadał na bryczkę i jechał gdzieś w świat, gdzie oczy poniosą, a jesienią wracał do niej z garścią podarunków – jakichś złotych kolczyków i wężełkiem pieniędzy, i kochał ją tak, jakby nadrabiał przepuszczone, i znowu rozgniewane i rozstrojone serce Luby wracało na miejsce. I Charyta widziała za skrajem kurtyny tę operową śpiewaczkę, która aż zbladła z nerwów i nie mogła się opanować, patrząc jakimś zawistnym i złym spojrzeniem na Lubę, jakby nie wierzyła, że takie głosy bywają na świecie. Ale głos brzmiał i przekreślał wszystkie dotychczasowe wyobrażenia na temat techniki wokalne i ludowego śpiewu. I Luba sama zapominała, że to ona śpiewa, zdawało się jej tak samo jak innym, dziwił ją ten głos, który płynął z jej gardła. I tak samo płynęła z jej czarnych oczu ostrożna i zawstydzona łza. Ale jej nie czuła, i dziwne obrazy powstawały pod zamkniętymi powiekami słuchaczy: i wysoka góra, i jasny jawor, jak młyńskie koło i dziewczyna, która nie chciała powiedzieć słowa do kozaka, jawor, który drżał delikatnie i srebrzył się w północnym świetle; i nikt nie chciał wypuszczać Luby, i wszyscy artyści nie mieli już żadnych szans, dopóki Luba nie wyśpiewała pierwszej fali swojej namiętności, a ponieważ to była tylko kropla w jej wokalnem świecie, to wszyscy dobrze wiedzieli i wołali: „Nie! Śpiewaj jeszcze! Śpiewaj!”

Stała w żółtej w kolorowe groszki sukieneczce, wsunawszy swoje mocno popękane ręce z czarnymi cętkami w niewielkich pęknięciach skóry za pasek z kokardą i patrzyła gdzieś przez projektor filmowy na przeciwległej ścianie, który niedzielami wypuszczał z siebie i z niczego na kwadratowy ekran filmy z blond artystką, która też wiele śpiewała, ale która była przeciwieństwem Luby. Tak, drobny dźwięk. W tym filmie powinna być Luba ze swymi długimi nogami i cienką talią, wysokimi piersiami i ciężkim warkoczem. Ale Lubę trzymał Cygan, nawet nie koło siebie, bo jego nikt nie mógł zatrzymać, a po prostu trzymał ją pięciorgiem dzieci koło stawku w domu starych Cymbalistów pod wysokimi drzewami, i nie było siły silniejszej od dziecięcej, siły wytrwalszej i mocniejszej w świecie.

Charyta omiotła spojrzeniem ścianę: trochę z boku od ikon wisiał wielki portret ojca i matki. Byli na nim obok siebie, jednak nigdy razem się nie fotografowali. To wędrowny malarz powiększył ich zdjęcia z maleńkich i Bóg wie do czego przeznaczonych. Wówczas była moda na portrety. Wszyscy je sobie zamawiali i akurat czemuś z dawnych zdjęć: czy chcieli pozostać dla historii młodszy, ładniejszy, czy co innego, ale efekt wychodził wielobarwny, podkolorowany jadowicie różowym, niebieskim czy zielonym, twarze się rozplywały, rysy robiły się obce, mimo to coś pozostało z oryginałów i dusza bolała. Fotograf ustawił ojca obok matki, łącząc dwa stare kadry i je powiększając, wychodziło, że matka siedziała trochę bliżej, a ojciec trochę dalej, w głębi, wzrok oboje mieli natężony, oczy ojca pod pędzlem fotografa zrobiły się niebieskie, oczywiście dla większej urody, oczy matki — zielone, chociaż naprawdę żadne z nich nie było obdarzone przez naturę takimi kolorami. Cienka wełniana matczyzna chusta w kwiatki mieniła się wszystkimi kolorami anilinowej palety,

ale Charyta była wdzięczna nieznanemu mistrzowi, że zostawił jej w darze rodziców, i wyra-
stał na wszechmocnego Boga, przecież żaden czas nie zabierze jej ich najdroższych postaci.

Portret wisiał pod rącznikiem, pierwszym, który Charyta wyhaftowała jeszcze jako dzie-
wczynka. Matka zawsze miała wrażliwą duszę, bo strzegła tego rącznika i powiesiła na najlep-
szym miejscu. A chociaż był stary i wyleniały, a jego maki i kłoski odtworzone wypukłym
haftem, przedstawiające dwa wianeczki – na prawym i lewym skrzydle, już ledwo trzymały
się kupy i dawno już Charyta umiała piękniej i fantazyjniej układać kwiaty na płótnie, ale ten
rącznik, tak jak fotografia, miał nie tylko zwykłe znaczenie, był jakąś niewidzialną grudką
miłości – matki z ojcem do niej i jej do ich obojga. Jakby świecił osobnym światłem w ciem-
ności, tak jak świeci się nafosforyzowany cyferblat w niektórych zegarkach (chciałaby teraz
mieć taki, żeby widzieć żywy czas na ścianie w długie zimowe noce), ten rącznik, haftowany
w czasie wielkich nadziei na życie, wielkiej radości w duszy, symbolizował i porażkę, i tysiąc
niespełnionych pragnień, i z każdym rokiem życia Charyty nasiąkał jej bólem, tak żeby nie
zapomniała, że jego pierwotne zadanie to – wycieranie – jak mówili u nich kiedyś ludzie, kiedy
tutaj jeszcze żyli, czyli rzecz dla wycierania i wchłaniania w siebie różnego rodzaju wilgoci: czy
to łez, czy wody, czy krwi.

Trochę niżej i w rzędzie wisiały wielkie ramy, w każdej mnóstwo maleńkich fotografii z mło-
dości i wieku dojrzałego: częstotliwość fotografowania powoli się zmniejszała. Tak jakby starość
bała się popatrzeć na siebie z boku i coraz to rzadziej miała odwagę stawać przed fotografem.
Tu byli na święcie pierwszego maja przed szkołą, potem grupką na brzegu, z dziewczętami koło
tyczek z chmielem, tu stały jej przyjaciółki Marusia i Pawłyna, we dwie i osobno, tu widniała
scena w klubie, gdzie Charyta otrzymywała dyplom za kukurydzę, tu było jej ulubione – ktoś
romantyczny i domyślny nacisnął przycisk właśnie wtedy, kiedy w obiektywie zastygła jej
zimowa ulica ze wszystkimi domami i drzewami, z jakimiś dwoma punkcikami ludzi gdzieś
daleko w głębi. Zdjęcia były bardzo małe, źle je widziała, bardziej przypominała sobie z pamięci,
ale w słoneczny dzień, zdjawszy którąś z ramek z wypełnionym drobnymi zdjęciami szkłem,
siadała na progu i i długo wpatrywała się w ich żółtawe plamki, jakby przeręble w twardej
materii czasu, przez które zaglądała w inny świat, nierealny, zwodniczy, bo świadczył o czymś
niereczywistym i nie jej. Chwile, których nie ma.

Charyta przesunęła wzrokiem po stercie poduszek na drugim łóżku, które jako pierwsze
przebijały się przez rozcieńczoną porankiem ciemność i wyraźnie białały pod ludzkim spoj-
rzeniem – poduszki były haftowane obficie i szczerze, kiedy nie żal było ani oczu, ani nici,
ani godzin wytężonej pracy kosztem snu. Igła chciwie chwyciła wszystko to, co pozostawiły
na starych wzorach z przedwczesznie poniszczonych skrzyń jej prababki i babki, potem ciotki
czy przyjaciółki – uchwycone ocalało w kwiatkach i kolorowej geometrii zaszyfrowanych
i przekazanych przez wyszywające nadziei i marzeń: na poduszkach, na reszcie rączników (z ich
zakłęciami – „Na szczęście”, „Kochaj mnie tak jak ja ciebie”, z Kozakami i dziewczętami koło
przejsć, drzewami, kaczątami i gęśętami, łódkami i kładkami, ukrytymi i przechowywanymi
„Chrystus zmartwychwstał”, „Zaprawdę zmartwychwstał”, z makami i różami, chabrami
i liliami), na okrągłych i kwadratowych serwetkach. Dalej szły wszystkie wizerunki, które
od czasu do czasu przynosiły kobiecie żurnale w bibliotece – zamki i dziwaczne mostki, morza
ze stateczkami i góry z księżycowym blaskiem, które wyszyte z zamieraniem serca, trafiały
w drewniane ramki i wisiały pod ikoną w równych rzędach i w młodości budziły dziwny
niepokój – tak chciało się choćby raz w życiu zobaczyć te zamki i te morza. Jednak mijały
niesprawiedliwe lata, ubrane w zwyczajne ubrania i przyprószone kurzem żniw, kopania
kartofli czy trzepania chodników, i niczego nie przynosiły. Nadzieje zmieniały się najpierw
w lęk, potem w zmęczenie, na dnie którego już prześwitywało leciutkie oczekiwanie na cud,

które sączyło się z filmów i książek, które przypadkowo trafiały do ich dalekiej wsi i mąciły w duszy jak podrywki wodę, potem powoli przechodziło to w smutek – pieniędzy brakowało nie tylko na podróż do najbliższego miasta, ale i na chleb – i niespełnione marzenia twardniały, zmieniały się w brzemię, gorzkie i czasem nie do wytrzymania. Z rzadka kołchoz organizował jakąś wycieczkę – do Kijowa czy do Moskwy. I one zapadały w świadomość jak rajskie cuda, trochę obrastając fantazjami, i pozostawały jedynym świadectwem niemarnie przeżytych lat wśród moczarów, kołchozowej normy, domowego wiecznie głodnego gospodarstwa – krów, ptactwa i świń, stania przy gorącej kuchennej płycie, o którą bił niepowstrzymany drewniany ogień. Komu teraz potrzebne są jej hafty, jej największe bogactwo – czy to miłość do tej pracy dodawała im wartości, czy czas, stracony na każdy ten czarowny świat, jaki tworzyła igła, czy długie lata spędzone razem w tym domu, który jeśli nawet był piękny, to w dużym stopniu dzięki ożywionym płótnom. Nawet ta zasłonka przed jej oczami była usiana bratkami i choć wyblakły na słońcu, czyż może być na świecie coś lepszego niż żółto-fioletowe kwiatki na tle ponurej jesiennej godziny. I choć niejednej nocy miała przed oczami tylko białą plamkę z niewyraźnym wzorem, w najdrobniejszych szczegółach widziała je we własnej wyobraźni.

Zazwyczaj nie zapalała światła. Najpierw, jeszcze hen dawno temu bała się ujawnić siebie – żeby nikt się nie domyślił, że za ciemnymi oknami ukrywa się człowiek. Nawet kiedy Tyszko głośno odzywał się przestraszonym basem, też wzdrygała się, ale pies – to nie człowiek. Nawet tutaj jeszcze biegają jakieś zdziczałe psy, chociaż tych, których zainteresowania się bała, nie było tygodniami, ale przecież istnieli, i czasami wędrowali po tych terenach i oczywiście zbierali strzępy wiadomości o otaczającym ich dzikim i opuszczonym świecie, siejąc niepokój swoim krążeniem przypominającym wilcze i zatruwając jej dawno nadpsute życie, jakby zarażone niewidzialnym wirusem nieznaney choroby, na którą nie wykształciła odporności.

Trzeba poszukać psa. Jeszcze nie odeszła od Tyszka. Pobiegł i nie wrócił. Czekwała w każdej chwili, jednak minęło już zbyt wiele dni, żeby gdzieś żył bez niej. Poczuli się osierocona, jakby to był człowiek. Nawet nie myślała, że po psie można płakać, razem tutaj jedli i obiady, i śniadania, razem też głodowali. Zdarzało się, że przyniesie jej na próg uduszoną wronę albo susła, położy, sam położy się obok i patrzy na Charytę.

– Jedz – jakby prosi. – Na co czekasz?

Kłóciła się z nim:

– Zabierz.

Brał i niósł za bramę, tam gdzieś w trawie cicho rozprawiał się ze swoimi drobnymi ofiarami i wracał na próg. Wzdrygała się na jego szczekanie, bo myślała, że ktoś przyszedł. Nie wiedziała, cieszyć się czy się obawiać, bo czego można spodziewać się po ludziach, którzy raptem tutaj się znajdowali. Ale Tyszko czekał na wróble, które okazywały się zwinniejsze, na wrony, na jakiegoś ciekawego lisa, który miał odwagę przyplątać się aż pod płót i szybko uciec, już pod lasem machnąwszy swoim pomarańczowym ogonem jak błyskawica. Szczekał, żeby nie zapomnieć własnego głosu, bo o kim miał jej obwieszczać w niekończącej się pustyni jej obecnego istnienia. W dzień pies kręcił się po podwórzu, w nocy spał, zwinąwszy się na worku koło progu, być może też się bał. Czy miała wierniejszą istotę? I sen przy jego wartowaniu był mocniejszy, i noc spokojniejsza, i strach mniejszy.

Pustymi i nieskończonymi jesiennymi nocami, kiedy cisza zalegała nadmiernym ciężarem, gęsta i szczelna, że choć krój ją nożem, rąb siekierą – życie spowalniało swój bieg. I powinna by się cieszyć, że dalej potrafi i myśleć, i denerwować się, i wyraźniej odczuwać swoją obecność w świecie, ale nikt tego nie zauważał i nie czuł, i wszystko szło na wiatr, na lasy, na zwierzęta i ptaki. I nikt nie widział ani jej kwiatków na podwórku, którymi chciałaby się pochwalić przed zmęczonymi i zahukanymi tysiącem obowiązków wiejskimi kobietami, te kolorowe plamy

na ponurym tle ruin mnożyły się same każdego lata, a ona tylko okopywała je i w suche dni podlewała, żalując ich jak żywych – kochała je od dzieciństwa: i odurzający zapach, i wygląd, i jakąś cienką niteczkę, podobną do pajęczyny babiego lata, która ledwie trzepotała – czy to był dźwięk, czy jakiś niezrozumiały impuls, czy wspomnienie przeszłości, które płynęło z powietrza wokół domu, ale było jej dobrze w takim sąsiedztwie, jakby w malwie przetrwała dusza kogoś krewnego i obserwowala Charytę, współczuła jej, ale nie mogła mówić; i gąszcz herbacianych róż, które rosły jak żywopłot – ich też nie karczowała, niech te zwierzęta trochę się pokłują – w dawnych kłujących kwiatkach miała ochronę, piękno, żal życia, a nawet zgagę, bo nie zdołała zrobić wszystkiego, co chciała, nawet połowy, nawet ułamka. Gdzie jest jej rodzina? Gdzie są jej dzieci, wnuki, prawnuki? Gdzie jest nowy dom pośród tętniącej życiem wioski? Gdzie jej ręczniki, worki, ubrania, gdzie jej wystawy w odległej stolicy, które wtedy tak zachwycały? Przypomniała sobie sprawy i zajęcia – na sto lat naprzód: śluby, chrzciny i święta, jak piasek w morzu – w żadnym kalendarzu nie ma ich tak dużo, jak by chciała. Boże! Zasnęłaś, kiedy wszystko tutaj zniknęło?

Przed wszystkim układała sobie listę pragnień i potrzeb, jakby pisała skargę do Boga. Nocami, linijkę po linijce na głos, jakby się bała, że na domiar złego zapomni ludzką mowę; potem obraza na pana Boga brała górę i rozmawiać już się jej z nim nie chciało, bo nagle nie miała z kim, świat stawał się zimną wyiębłą przestrzenią, od której łamało w kościach i stygła krew, jak w tym domu, który jej przypisali zamiast tego, więc nieustannie się obrażała i po kilka dni nie patrzyła na ikonę, gdzie Matka Boża w czerwonym odwracała od niej głowę, tak jakby wyobrażenie było żywe i musiało mu się zrobić przykro za niedobre nastawienie bliskiego człowieka; wtedy zapominała o Bogu i zastanawiała się, gdzie zrobiła pierwszy błąd, od którego cała reszta zaczęła się mnożyć i rozchodzić jak kręgi po wodzie, kiedy w nią wrzucić kamień. Po długim rachowaniu męczyła się i zawisała między snem i realnością i wtedy pojawiał się samotny kobiecy głos, który jakby płakał, jakby śpiewał ich po polesku otwartym głosem to, co matka śpiewała w żniwa: „O Boże mój miły, w taką godzinę, przeklęłam i matkę młodą, i jej dziecinę. Matka przeklęła, czy taką mnie urodziła – nie ma takiego dnia, bym się nie smuciła. Nie ma dnia takiego ani jednej nocy, żeby nie płakały moje kare oczy”. Ktoś nieznamy już intonował, wyglądało na to, że weselną. „A już w obcych stronach, ojca, matki nie mając, słucham, jak w sadzie zielonym słowiczki śpiewają...”

Obydwie melodie zlewały się i przeplatały całkiem niedaleko, gdzieś na trzeciej ulicy, gdzieś może koło Iwana Ryby, odbijając się tak realnie, że nie wytrzymała i walnąwszy drzwiami, wystawiała głowę w rozrzedzoną, trochę nocną, trochę przedporanną przestrzeń, podobną do starego, spranego lnianego płótna, i wsłuchiwała się. Ale głos zniknął, krakała jakaś poranna wrona, trzaskała jakaś lekka gałązka, spadając z gruszy, lekko i radośnie sennie szeleściła w sianie prawie domowa mysz, dając znaki, że życie jest realne i wszystko to się jej nie śni. A głos? On chyba się śnił?

Wracała i kładła się pod pierzynę, nawet się nie rozbierając – w swetrze i starych getrach, wsuniętych w grube, zrobione na drutach skarpety, w kraciastej chustce – w domu było zimno: wieczorne ciepło uleciało kominem jeszcze z wieczora, i piec, jak głodny bajkowy smok, który żył tylko płomieniem, wiecznie prosił o ogień. Ale nie chciała wstawać, bo chłód był do wytrzymania – jeszcze nie przebijał się przez stare pierze, chociaż zbite w kłębki, jednak skuteczne, jak mama. Głos, który przenikał przez noc, dźwięczał, domyślała się, w jej głowie,

– Boże – modliła się gorączkowo – ocal mnie od zaćmienia rozumu, od utraty resztek pamięci, nie zrób ze mnie trawy, chwilowego pokarmu dookólnego świata.

Jak żałowała tych krów, które wypuszczano na pole, kiedy nagle umierali ich gospodarze, tacy sami samotnicy jak ona, gdzieś w innych wsiach. Były te kozy, świny czy krowy

do pierwszych wilków, kiedyś sama też widziała racice koło brzegu: serce pękało z żalu i strachu, więc nie pobierała pieczarek, wróciła do domu...

Usiadła na łóżku, opierając poduszkę na pobocznicy i wyjrzała zza firanek na zamglony kwadrat okna. Ale tak ostrożnie, jakby tam był już wilk, który jak człowiek rozumiał i odgadrywał tok jej myśli, jednak bestii nie widziała. Jesienna mgła wisiała plamami w wilgotnym i zimnym powietrzu nad podwórkiem, ledwie się poruszając, raz podnosząc, to opuszczając swe długie loki, jakby ktoś z góry pociągał za nitki splątanej białej mgły, czasem zakrywającej pnie drzew, potem je eksponującej. Jak dekoracje w ich klubie, kiedy pokazywali nową sztukę – jeden z chłopaków poruszał nimi po cichu, chowając się za nimi jak za kurtyną. A hałas zależał tylko od tego, ile wypił przed startem lub w trakcie akcji. Kiedyś gdy przebrał miarę, zamiast sznurka ze sklejkowym obrazem komnat księżęcych, pomalowanym we wszystkie kolory tęczy i szerokimi możliwościami miejscowego malarstwa olejnego, zjechał wielki, sklejkowy Order Lenina. Sala ryknęła wtedy śmiechem. Boże, czy to wszystko było snem? Ludzie, którzy biegali tu od rana do wieczora, gęsi, które dreptały za ich nogami od rzeki do domu, dziś błakają się tylko po jej snach.

Czemu te sny są tylko o przeszłości? Czemu nigdy nie pojawiają się w nich te wędrujące drzewa, ta pusta wieś, te zwalone płoty i powybijane okna? Kto je powybił? Co stamtąd jeszcze można zabrać, co tam jeszcze zostało i kto je do teraz niszczy? Przecież to setki domów, a może i tysiące. Skąd wzięło się tylu bandytów, żeby to wszystko zniszczyć? Dlaczego wokół są tylko połamane ramy, przewrócone cembrowiny i ubikacje, przewrócone szafki nocne i szafy, krzesła z połamanymi nogami? Kto to wszystko zniszczył i czy miał matkę? Czasami widziała też jakąś postać lub dwie, pojawiały się gdzieś na chwilę i zniknęły. Bała się je zaczepić, żeby one nie zaczepiły jej. Czyje to były dzieci? Skąd przyszli i dokąd pójdą? Jakie wściekle psy je ugryzły, że same stały się wściekłymi psami? Co płynęło w ich żyłach – bimber, makowe mleko czy brudny muł zbuntowanej rzeki?

Po okiennym szkle powoli spływały wąziutkie strużki wody – to spełzał mokry mrok, bezgłośnie, jak w niemym filmie o Charycie, filmie, gdzie nie ma widzów, krytyków i sędziów. „Sam śpię, sam chodzę, sam się ścielę, sam się kładę, sam, sam, sam...” Kłębki mgły, które wyrównywały krajobraz i trochę go rozbielały, zniknęły nie wiadomo gdzie, tonęły cienkie pasma, które chowały się w jarach i dolinach, w studniach cudzych podwórek. W prześwicie między drzewami pojawiała się droga. Środkiem drogi biegł czarny dzik z lochą, z tyłu dwa warchlaki, a trzeci sunął poboczem, usianym gęstymi piołunami i pracowicie walił w ich wysoką zasłonę, jakby był oszołomiony i nie mógł uciec z duszącej niewoli mocnych zarośli. I tak ostrożnie opukując racicami siłę dawnego traktu, oddalili się hen gdzieś w górę do klubu i dalej, przemierzając dawną wieś swobodnie i po gospodarsku honorowo.

DROGA, która odchodziła od głównej mijając jej dom i prowadząc do ulicy, a po której dawno już nie jeździły samochody, przypominała opuszczoną planetę – zniszczyła się jak stara skóra, popękała, w rozpadlinach, gdzie po ulewie najdłużej trzymała się wilgoć, wyrastały chwasty, zmagając się z młodymi pędami.

Wcześniej brała motykę i niszczyła każdy pęd, krok po kroku, dzień po dniu, bo trakt nie mógł stać się lasem. Teraz zrobiła się słabsza, a droga jakby to poczuła – wreszcie dostała wolność i może tworzyć z siebie co zechce, więc zaczęła udawać młodniak, obrastając zaroślami i tymi wiecznie wszystkiego głodnymi brzoźami szybko i podstępnie. Czy mało im lasu? Ile już tych agresorów na łące, na polach, w ludzkich ogrodach. Czemu, kiedy odeszli ludzie, pustkę zapełniają chaszczę? Kto wygania je z głębin ziemi na światło i ciepło?

I nagle przypomniała sobie coś bardzo dawnego, kto wie, czy to było kiedyś naprawdę:

A co rośnie bez korzenia?
 A co wschodzi bez nasienia?
 A co gra – i głos ma też?
 A co płacze – nie ma łez?

Słowa były smutne. I wtedy zanuciła ich na pól zapomniany motyw. To dziwne – Charyta prawie nigdy nie śpiewała, jedynie wtedy, kiedy wszystko jej już bardzo dopiekło, z jej gardła wydobywało się coś niezgrabnego i ciężkiego – nie przypominało melodii z właściwą jej lekkością powstawania dźwięku, z jakimś mimowolnym automatyzmem, gotowością duszy i płuc do szczególnego niezgłębionego działania, które od czasu do czasu wymaga słuchacza – a kiedy już nie ma sił i nie ma łez, wtedy tylko mieszanina chrypienia i zardzewiałego dźwięku, coś nierozpoznawalnego i straszliwego wydobywa się ze środka, jak przez tę popękaną ziemię brzoza czy lebioda, dając jakiś sygnał czy znak: tu jeszcze jest jakiś ruch, jeszcze jest czyjś oddech, czyjś głos.

Dziwne, jak to wszystko się przebija, i człowiek jak gałązka czy trawa też z całej siły trzyma się życia, nawet jeśli jego dni są nikczemne i nikomu niepotrzebne, zagubione i zmarnowane nie wiadomo przez czyją pomyłkę i obojętność.

Drżącym i chrapliwym, bo zbyt rzadko używanym głosem wyśpiewywała to, co się jej najbardziej podobało: „A co płacze – nie ma łez” i mogło to wywołać napad rozpacz i płaczu. Ale ona też nie miała łez, być może dlatego, że łzy na nic nie miały wpływu. Charyta wypłakała je do ostatniej przez pierwszy rok i wykrzyczała aż do zachrypnięcia bez lęku, że zostanie usłyszana i wyśmiana. Wtedy znikli jej wrogowie. Nie miała zresztą ich wielu, chyba takich koniecznych jak ma każdy, zwykłych, codziennych jak chleb i woda, bo też niczym szczególnym od innych się nie odróżniała – ani bogactwa, którego zawsze zazdrości cudze oko – ani niebiańskiej urody, tak, niebrzydka, długonoga, zuchwała. Miała co prawda długi i gruby warkocz, wymagał tyle trudu – i umyć, i wysuszyć (szczególnie jesienią czy zimą, kiedy z mokrą głową nie pobiegniesz do obory czy do stodoły, do sieczkarni czy narąbać drewna), że pasmo za pasmem w nowej i przez żaden straszny sen niezapowiedzianej, nieubłaganej samotności ścinała go cały wieczór, zaścielając podłogę włosami niby czarną trawą, aż wreszcie obcięła i pożegnała się z czasem, który ten warkocz pamiętał. Nie miała odwagi wrzucić tego niepotrzebnego skarbu do pieca, zebrała go w gazetę i do teraz leży gdzieś w skrzyń jako ślad po młodości, daleki i nieprawdziwy. Nawet nie zaglądała do zawiniątka, bo to bolało.

Dziwne, że dusza boli na starość tak samo ostro jak za młodu. Kiedyś myślała: oto minie młodość – nic nawet nie wzdrygnie się w jej ciele – nie pozostanie ani ciekawość, ani żal, ani westchnienie. Nic nie będzie miało już sensu, bo jeśli nie ma czasu na życie, to nie ma ochoty i na jego atrybuty. Ale czasu nie ma, a wszystko pozostało i męczy jak kiedyś, stwarzając iluzję wiecznej obecności w tych krzakach, odsuwając strach przed możliwym znieruchomieniem, bo z wszystkim można, jeśli się zechce, dać sobie radę oprócz upartego i cichego czyjegoś oddechu w potylicę, oddechu, który nie był ani ludzki, ani zwierzęcy, szedł za człowiekiem i to przypominał o sobie, to przepadał w powietrzu w drodze i w szczęśliwych chwilach. A potem jakby przyspieszał znowu, powoli i beznamiętnie, a nawet pokornie szedł krok w krok.

Ale teraz przypomniała sobie, co jej się śniło, a śniły się jej samochody, które bezgłośnie, jak w niemym filmie, powoli płynęły przez drzewa i ulice, pługąc kozy i gęsi, kaczki i kury, koty i psy. Te ostatnie – najbardziej. Płynęły, nie wzbijając kurzawy, jak powinny w idealnym śnie, nierealne, niepodobne same do siebie, o niewyraźnych konturach, bo zmęczona pamięć dawno nie mogła ich odtworzyć dokładnie i z wszystkimi szczegółami, poruszały się cicho jak już na tamtym świecie.

Naprawdę wyły dziko dawno kiedyś, wiele lat temu, ziemia drżała od huku wywrotek, które pospiesznie jeździły przez sadyby i brzeźniaki, przeganiając na wieki ich prawieczną poleską ciszę, ich wilki i lisy, łosie i dziki, ptaki i ryby. Wtedy, jak w innym życiu, zaczęli pospiesznie oczyszczać drogę i z krzewów, i z drzew – nie miało znaczenia, czy trafił się tam gospodarski orzech, czy część czyjegós wiśniowego sadu, a płoty fruwały jak rozwiązany snopek kukurydzy. Okna niejednego domu znalazły się przy samej drodze, która biegła właśnie tak, jak była narysowana na papierze, obojętnym, i na szyby z ich starymi i małymi widzami, i na bieliznę rozwieszoną wprost przed samiusieńkim kurzem, wzbijanym przez szalone kołchozowe ciężarówki. Zwłaszcza pod wieczór, kiedy wszyscy dzielnicowi milicjanci i inspektorzy DAI już zmęczeni się hasaniem po drogach, i każdy kierowca miał wreszcie prawo łyknąć jakiś gram wódki w wąskim kole kolegów, odprężając się po dniu pracy w wiejskim bufecie o popularnej wtedy nazwie „Wierzbą Płaczącą”, albo skorzystać z niej jako zapłaty za wyświadczone usługi w osobnej wiejskiej kuchni – przywiózł drewna na zimę czy wysłodków z kołchozu, wyrwał buraki z działki przed niepogodą i gospodarz nie czekał w długiej kolejce na przenikliwym wietrze, z trudem wydobywając tę słodycz spod pierwszego śniegu, miażdżąc naostrzonymi jak masarskie nożami wirtuozersko jak Kozak szabłą, więc miał nareszcie nadzieję, że dostanie jakiś grosz.

Po takim rozliczeniu każdy samochód jakby dostawał skrzydeł i żaden przytomny mieszkaniec nie wyszedł na ulicę w pilnej potrzebie bez rozejrzenia się dookoła.

Niejedna gospodyni w duchu klęła tych ulepszczy życia, ten ciężki bezlitosny walec, który sunął w oparach smoły po świeżo położonym żwirze, dwa razy szerszym niż poprzedni bity szlak, niszcząc wszystko, co leżało przed nim: ogrody, pobocza podwórek i przewidująco wyrąbane kawałki sadu. A zamiast tego ścieliły się kupki asfaltu, które nosili na szuflach pracownicy drogowi, dymiąc papierosami i wesoło się przekomarzając. Do wieczora się uspokajali, robili ociężały, zmęczeni, w końcu ledwie ciągnęli nogami, a ich wesołe rozmowy, jakby przewijane na zwolnionej płycie, nabrały przedłużonego brzmienia. Obraz stopniowo zamarł, ale zaskakująco piękna, bezduszna droga powoli płynęła obok domu Charyty i pozostałych domów w pole i tam zamiast skrócić na most na rzece, prowadziła wzdłuż niej gdzieś w las i doliny, ciągnąc za sobą ten sam ciężki i ostry zapach gorącej smoły oraz powolny i groźny łoskot ogromnego walca.

Przez długi czas to przyzwyczajanie drogi, to wprowadzanie jej ceremonialnego stylu, to płoszenie dawnego tempa poruszania się po świecie, jego uleganie nowej gorączkowej rzeczywistości, która wyrwała ze zwykłego istnienia w narzucone, nie dawało spokoju i odbierało sen. Ale czekała ich jeszcze większa próba, ponieważ ta droga była po dwakroć przeklęta. Po pierwsze – bo zmiażdżyła ich małe terytoria, po drugie – bo była powodem nowej budowy. To właśnie przez taką, wspaniałą i szeroką, zaczęła się ona w pobliżu, to do niej będą jeździły ciężkie KAMAZY ze stacji, załadowane po brzegi kamieniami, cementem i wszelkiego rodzaju innymi rzeczami, bez których ta budowa (mówili, jedyna na stulecie, mieli tam ujarzmić atom) nie doszłaby do skutku. Śmieszni ludzie: myśleli, że tylko oni poprawiają świat, wciąż krzyczeli – nie potrzebujemy waszego asfaltu, bez niego jest nam dobrze.

Tak jakby jeszcze raz usłyszała huk i drżenie ziemi, i powolne, lecz nieuchronne nasuwanie się wielkich wywrotek: czasem z wałem, ciężkim i zakurzonym, to z pojedynczymi ryczącymi bestiami, które groźnie ostrzegały z daleka o swojej sile i niezłomności, parły naprzód – nigdy nie widziała tyle pyłu, wisiał wszędzie bardzo długo, powoli osiadając na liściach, trawie, domach, kwiatach, przykrywając ich prawdziwe kolory i zmieniając kolory świata. Deszcze wtedy nie padały, było upalnie i wszystko wydawało się wyblakłe, nierealne, szare i zamrożone, jak w jakimś odrętwieniu.

Jednak nie – widziała. I ten pył był nie gorszy, a nawet wyższy i bardziej nieprzenikniony. Wiele już lat minęło od budowy drogi, może nawet kilkanaście.

Akurat wtedy przyśnił się jej dziwny sen – ogromna budowla, złożona z jakichś błyszczących talerzy, które grały i mieniły się tysiącem słonecznych zajaczków, nagle zaczęła się kruszyć i kruszyć na jej oczach. Srebrne lustrzane odbicia leciały na wietrze jak jesienne liście, lekko i powoli obracając się na niebie i kreśląc floresy różnych konfiguracji, a potem opadły na ziemię i utworzyły srebrny kopczyk i Charyta jeszcze spytała siebie we śnie: „Co to za mogiła bez krzyża?”. Obudziła się i przez cały dzień przygniatał ją dziwny ciężar, i choć pogoda była słoneczna, a wiosna wymagała pracy i pracy, ciągnął się za nią sen i w dziwny sposób przerywał całe to wirowanie, zostawiając po sobie osad i niepewność. A po kilku dniach to się stało...

... Pasma snu, jak pasma mgły, ścieliły się przed jej wzrokiem, przebijały się przez nie kupy ludzi, którzy burzyli się wśród upału, załamywali ręce, płakali, krzyczeli, rzucali się gdzieś, ale zawracali w pół drogi, czegoś szukali w półmroku komórek, gdzieś nieśli, a potem zostawiali, chwytając coś innego: stał ludzki lament i hałas, który czasem przekrzykiwały głośnie komendy – wszystko tonęło w szczekaniu psów, ryczeniu krów, przestraszonym gdakaniu kur.

Jakaś dziewczynka trzymała lalkę, przyciskając ją do piersi, jej dziadek, jeszcze wcale nie wyglądający na dziadka, mocny i przysadzisty, już dobrze opalony i z ledwie widoczną siwizną na skroniach, ciągnął wielką skrzynię.

– Po co ciągniesz to stare drewno, przecież wrócimy! – krzyczała kobieta, być może jego żona. On milczał i ładował na przyczepę ciężki i nieporęczny ładunek, opasując sznurami stoczone przez korniki wieko do jemu tylko znanych haków, a kobieta wciąż mu dogryzała:

– No i po co to robisz?

– To skrzynia jeszcze mojej prababki, nie pojedę bez niej. Chowałem się w niej jako mały. Te kwiatki, co są na wieku, były dla mnie jak niebo, nie napatrzyłem się na nie...

– Przecież wrócimy! – Na co on popatrzył na nią zmęczony, wyprostował się przy swojej przyczepie i cicho, ale wyraźnie powiedział:

– My tu już nigdy nie wrócimy, Haniu, nigdy.

– Co ty wygadujesz, czorcie pomyłony?

Ale mężczyzna już milczał, teraz cierpliwie i pokornie, a kobieta patrzyła na niego, patrzyła, westchnęła i usiadła na podwórku, wprost na świeżej, zakurzonej trawie, bezradnie łapiąc powietrze. Coś usiłowała powiedzieć, poruszała jak ryba ustami, ale głos się nie wydobył, jakby je zatkali jakimś kaczanem od środka, aż mała z lalką podeszła i pociągnęła kobietę za rękaw: „Babciu, chce mi się pić”. Jednak kobieta nie słyszała i mała ciągnęła i ciągnęła ją za rękaw, a wówczas zaczęła głośno płakać. Kobieta przycisnęła ją do siebie, ale się nie podnosiła, i tak się trzymały jedna za drugą, póki mała się nie wyrwała, a gospodyni się podniosła i drewnianym krokiem poszła do wiadra po wodę.

Po drodze, która rozwijała się jak zwój, sunęły ciężarowe samochody z bydłem, które ryczało jak wielka jerychońska trąba, pełzły przepełnione autobusy, z ich okien jak z fantastycznych akwariów wyglądały zaciekawione dziecięce twarzyczki, trochę przyprószone gwałtownym smutkiem, który mijał lekko, jak czas, bo od jazdy oczekiwały niebywałych przygód; a nad całym traktem na bardzo wiele kilometrów wielką i szeroką smugą wisiał pył, wychwycony reflektorami autobusów, to wzbijający się w górę, to przyduszany do ziemi, jednak kolejne koła znowu go mieszały, więc ciągły wir czy kołowrót kurzu widoczny był aż samemu Bogu, który mógł się wychylić z któregoś z chmurek i kiwać z bólem głową – co tam wyrabiają w dole jego przerażeni podopieczni.

Ale wszędzie wzdłuż szlaku stali mundurowi, mieszały się z potokiem ludzi, jak drożdże z mąką, aby proces ruchu nie ustawał, aby ten kołowrót się nie zatrzymywał, aby wszystko

ruszało ze swoich zwykłych miejsc, żeby nie było czasu na łzy i lamenty, ale oni jednak wisieli nad całym tym piekłem i wrzaskiem, wyciem żelaznych silników, okrzykami naczelników i gospodarzy – nad całą tą nową i niespodziewaną Apokalipsą, która właśnie się zaczynała, a jej trwałości i nieuchronności nie mogły przewidzieć nawet najmądrzejsze księgi największych bibliotek, nawet nadmierna fantazja opowiadaczy i najbardziej przenikliwi wróżbici, którzy nigdy nie znikali na tych ziemiach, a teraz tracili głos w obliczu rzeczywistości, która zatriumfowała nad ludzkimi wymysłami, zmieszana z kurzem, który wzniósł się ku ciemnemu niebu i nie pozwolił Panu Bogu patrzeć na potok, który wyrwał się spod jego woli i mknął jak szalony w nieznaną dal.

BIBLIOTEKA stała się nieodkładalną potrzebą, która pojawiła się w jej myślach i przeskądzała w jakiegokolwiek pracy. Pierwsze dni po powrocie do pustej wsi były jak zaczadzone. Rozglądała się nieufnie dookoła, jakby nie wierzyła temu, co widzi. Wciąż się jej zdawało, że trwa dziki sen i nie ma nikogo, kto wszedłby do jej pokoju, stuknął czymś o podłogę, wiadrem czy polanem, i zawołał: „Ileż można spać, Charyto! Krowa niewydojona, pranie na słońcu wyschło, kury grządki rozdziobały – wstawaj!”

Jednak nikt nie wchodził, nikt nie budził, nikt nie miał do niej żadnej sprawy i nic od niej nie chciał. Bo dokoła tylko mdlały przywiędłe od suchego lata bujne chwasty, czasem jakiś wylękniony kot wrzaśnie z któregoś pnia czy płotu i przestraszony ucichnie, wytrzeszczywszy oczy – koniec świata przybrał jego postać i krzyczał cienko i niesamowicie, jakby dął w swą ostatnią trąbę. Boże, daj wytrwać przy zdrowych zmysłach, pozwól zrozumieć twoje bezlitosne plany i twoje kary.

Pilnowała zapalek, bo nie wiedziała, skąd je tu wziąć, stare gazety, które trzymała na rozpalce w kuchni na przypiecku, szybko się skończyły.

Dom kultury stał zamknięty, jakby obrażony na wszystkich, niemy i zimny. Przez okno dostrzegła na pół puste regały, trochę książek na podłodze i zszywki gazet na zwykłych dolnych półkach. Patrzyła na nie z taką siłą, jakby chciała przyciągnąć wzrokiem wszystkie te zakurzone stosy, ale nic nawet nie drgnęło na żaden jej ruch. A odważyć się, by wejść do środka, nijak nie mogła. Nie pomagały myśli, że to jest niczyje, skazane na zniszczenie i zagładę; a nuż zmienią rozkaz i wszyscy wrócą. Żadna ludzka dusza nie mogłaby tutaj wytrzymać, gdyby nie ta myśl – że wrócą. No przecież nie może być tak, żeby to trwało wiecznie. Nie trwa wiecznie bieda, nie trwa wiecznie smutek, nie trwa bogactwo, nie trwa życie. Dlaczego by właśnie dla niej wszystko nagle skamieniało raz i na zawsze?

Jak ci złodzieje otwierają takie zamki? Próbowala i gwoździem, i własnymi kluczami. Ale nic się nie zmieniało – drzwi nie ustępowały. Kiedy wracała, odetchnąwszy z ulgą, wydychała też strach, który w niej siedział: a nuż ktoś zobaczy ją przy cudzych drzwiach i pomyśli „Złodziejka”. Jednak wysokie chwasty powiewały za nią kpiąco swymi okiściami, aż Charyta znowu zapłakała, już lepiej, żeby ktoś ją zobaczył, ale żeby był. Był tutaj naprawdę żywy.

Przekładała w stodole wiadra, motyki, jakieś szmaty, stare worki, rzeszota. Zdawało się jej, że gdzieś tu powinien walać się pęk starych i zużytych kluczy, przynajmniej czemuś istniał w jej pamięci.

Zostawiała wszystkie nakrętki, gwoździe, połamane szpilki – niby śmiecie, a szkoda wyrzucić, może się przydadzą – w dziurawych miednicach, drewnianych skrzyneczkach, puszkach po sardynkach. I nagle nad głową między motkami sznurka i niepotrzebnych drutów, pomiędzy starymi patelniami, które wisiały na gwoździach i tworzyły dziwną i zapomnianą domową wystawę na obitej kolorową ceratą ścianie, w samym górnym rogu zobaczyła klucze. Tak jakby ktoś popchnął jej wzrok w górę i na nie skierował.

Z napięcia aż przysiadła na maleńkim ciosanym stołeczku. Teraz już bała się zdjąć je ze ściany, a nuż nie zadziałają i nadzieja stanie się kolejną marnością w walce ze światem, w którym przegrywała etap po etapie, ale chęć zdobycia starych gazet na podpałkę czy bodaj paru książek, żeby mieć możliwość odurzenia głowy życiem, którego już nigdy nie będzie, ale jednak nie zwariować od tego, co sobie wybrała, była silniejsza od wszystkich głosów trzeźwego rozsądku i stawiała się wartością na miarę chleba.

Uparcie nie chciała rozbijać okna, bo póki szyby są całe, to jest to jakaś zaporą dla złodziei, a wybite – uprzejme zaproszenie. Nie chodziła ulicami, nie szukała przygód, ale wybitych szyb w porzuconych domostwach było coraz więcej. Ktoś tu sam załatwiał sprawy – otwórz i wejdz. Chociaż bardzo brakowało jej ludzkiego głosu, nie daj Boże natknąć się na takich majstrów.

Drzwi klubu od drogi zasłaniały tuje. Przed tym, jak wszystko to miało się stać (wie dokładnie – właśnie minęły trzy lata), na październikowe święto otwierano dom kultury. Wszystko nowe – krzesła, regały, kurtyna, orkiestra z rejonu, czarne wołgi, a jakże, i taka wystawność w ich głośzy. Klomby obsadzili tujami. Mówili, ile tysięcy to kosztowało. A teraz tymi tysiącami wiatr się nie nacieszy.

Brała klucze, zginała jakieś przewody, cienkie i twarde, nawet narobiła pętelek z nici, które przyłączone do drucika mogły poruszyć języczek zamka w jego skutecznych zagłębieniach.

Uzbrojona w pokaźny arsenał właśnie odnalezionych narzędzi, szła przez pustą jak dzwonię między chatami jeszcze białymi i czystymi, ozdobionymi na Wielkanoc, a wkrótce już jesień, sady pełne jabłek i gruszek zaścieniały ziemię swymi owocami, a powietrze napelniały ostrym kwaśno-słodkim zapachem. Gdzieniegdzie na drzewach siedziały kury, tak jakby oduczyły się chodzić po ziemi i zmieniły się w ptaki, naprawdę lekkie i płochliwe. Chciała podejść do jednej, która kołysała się najbliżej, na gałęzi kaliny.

– Cip-cip-cip-cip ... – i cichutko wyciągnęła do niej rękę. Zdobycz frunęła w górę, tylko spadło w dół kilka piór. – Ot, głupia, szybko trafisz w lisie zęby.

Czuła się jak jakaś wielka pani – ile to ma sadów i domów, ziemi i rzeki, lasu i wody wokół. Bierz – nie chcę. Gdzieś trzasnęła jakaś gałązka. Drgnęła na ten dźwięk. Jeszcze nie przyzwyczaiła się do całkowitej ciszy. Od czego się zacznie powolna ruina? Pierwsze będą poddawać się stare domy. Gdzieś zawali się kawałek stropu od deszczu, glina spadnie na okapy, zakwitną ściany, kolejna burza oderwie kawałek blachy z dachu. W dole pomoże lebioda z perzem, a także dzikie konopie z blekotem, łopuchy z rzepami i pokrzywa. Nie wystarczy jej sił, żeby oczyścić wszystkie podwórza, bo i swoje gracować strach – jeszcze zaczną śledzić, a potem złapią jak zwierzyń, i nie pytając jej o jej wolę, wywiozą gdzieś do przytułku między pijaków i złodziei albo wypuszczą na polu za żołnierskimi kordonami i powiedzą „Idź sobie!”. A dokąd iść? Do kogo? Znowu więc trzeba będzie przekradać się do domu nocami, łykać strach i łzy.

Wkładała klucze w zamek. Prawie żaden nie wchodził. A któryś lekko się wśliznął i niemal poruszył metalowy język w środku. Cisnęła szaleńczo, aż się trochę zgiał przy podstawie. Wtedy wzięła drucik. Leciutko, żeby nie zeskoczył, pociągnęła raz i drugi, i poczuła, że zamek drgnął. Być może zardzewiał. Wlała trochę smaru, który przyniosła w olejarce z ostrym końcem, walała się w którejs z skrzynek. I wtedy pierwszy raz pomyślała – dobrze, że wszystko to zachowałam i jeszcze nie poszło do starych śmieci w dzień wyjazdu. Leciutko pociągnęła za drucik i przekręciła klucz. Coś zadziało – czy najprostszy zamek w nowym klubie, czy drucik, czy olej, ale metalowy stróż się poddał.

Otworzyła drzwi. W nos uderzył zatęchły utrwalony zapach nowego jeszcze pomieszczenia i zupełnie piwniczny chłód. Siadła na progu, jakby po wejściu na wysoką górę. Zgrzeszyła – za to by mogli ją kiedyś ukarać, gdyby zobaczyli. Strach przed możliwą karą poderwał ją na nogi i rzucił pędem do bibliotecznej sali. Jeśli tam będzie zamek, to próżny trud. Prawie bez

sił nacisnęła na klamkę. Drzwi ze skrzypnięciem się otworzyły i wpuściły Charytę do wyznaczonej przestrzeni.

Ślady pospiesznej ewakuacji widać było wszędzie. Niektóre książki leżały na podłodze, bezradnie otworzywszy swoje porzucone wnętrza, niektóre jakby z wielkiego wstydu przyciskały kartonowe twarze do pomalowanych desek, żeby nikt nie mógł odczytać ich tytułów, nieznanne i niepotrzebne, zbędne czytelnikom i ich potężnym panom, którzy mieli odwagę, by decydować, kto tu ma prawo do istnienia, a kto – nie. Charyta stała nad nimi jak Boża Opatrzność, jak ostatni ratunek, jak nagroda za przeżyty strach i wstyd, za nieoczekiwane cierpienia i zniewagę, więc w pośpiechu przez kogoś pozostawione tomy wreszcie dostały szansę na inne życie, życie rzeczy potrzebnej, najdroższej w tej nowej dzicy.

Wzięła dwie zszywki gazet i torbę książek. Małe radość, że ktoś nie zamknął przed nią drzwi niepotrzebnej już biblioteki, jak ogień rozjaśniła jej twarz.

Przypomniała sobie, jak kiedyś specjalnie przychodziła w niedzielę do starego klubu i siadała przy czasopiśmie i gazetach i czekała, kiedy w drzwiach pojawi się Albin w niezmiennej szarej marynarce i kraciastej, świeżo wypranej koszuli, i się pojawiał. Nie mogła oderwać oczu od jego cienkich, długich palców, które przewracały książki, takie były piękne, jak malowane. Wtedy udawała, że interesują ją gazety. On też coś przeglądał. W końcu wstawiała i wychodziła, a mężczyzna dalej siedział. Zawsze spodziewała się, że wyjdzie za nią. Ale nie wychodził...

Filia biblioteki wyrastała w jej składziku. Było tu ciepło i sucho, bo z drugiej strony stał piec, w którym codziennie płonęły drwa. Nie brała książek na podpałkę. Brała je dla towarzystwa. Gazety co prawda zabrała wszystkie. Drzwi klubu starannie zamykała, choć nie wiedziała, czy coś jeszcze nie będzie jej potrzebne. Ale mówiła sobie: „Jeśli nasi wrócą, to pierwszego dnia przyniosę te książki, musiałam przecież coś czytać wieczorami, żeby nie oszaleć. Co więcej, biblioteka istnieje przecież dla czytelników, a nie po to, żeby stała pod kluczem”.

Z ostatnią torbą trafiła jej do rąk niewielka książeczka – „Ukraińskie pieśni i romanse”. Co jak co, ale piosenek tutaj nie będzie śpiewała nigdy – żeby śpiewać, trzeba mieć inne życie. Ale machinalnie otworzyła na jakiejś stroniczce. A tam było napisane: „Dziewczyno-rybeńko, daj mi rączkę swoją, drugiej też nie chowaj, bym je pocałował...”. Trochę dziwne słowa delikatnie uderzyły ją w pierś.

Nagle przypomniała sobie, jak wyciągnęła rękę do chłopca, który leżał na poboczu drogi niedaleko jej podwórza, nienaturalnie zarzuciwszy głowę nad brzegiem rowu. Gdyby to był nawet ktoś obcy, to też skulby ją strach. A to leżał Hryszka Chołodjon, najwyższy i najsilniejszy parobek, który łapał ją za ręce, gdy tylko ją spotkał. Ona tylko szeptała oburzona:

- Ludzie patrzą, Hrysza.
- A co nam ludzie – odpowiadał Hryszka i świecił białymi zębami.
- A to, że wstyd.
- Komu wstyd?
- Mnie jeszcze za mąż wychodzić.
- A czy nie za mnie się wybierasz?
- Twoja matka nie pozwoli.
- A kto ją będzie pytał?
- Zje mnie, jak będziesz w polu.
- A ty zębów nie masz?
- Komu potrzebne takie życie?
- Nie denerwuj mnie, bo jak zrobię gdzieś w kukurydzy dziecko, to sama będziesz błagała.

Charyta bała się i już teraz wystrzegła się chodzić do ogrodu sama. A Hryszka znowu przepadł na nie wiadomo ile, jakby gdzieś wyjechał, nie mówiąc nikomu ani słowa.

No i leżał teraz ten Chołodjon jak nieżywy czy porządnie pobity, nieruchomo, z dziwnie odrzuconą do tyłu głową i z wygiętą długą szyją. Biegła na drżących nogach do studni, chwyciła garnuszek, który pływał w wiadrze z wodą i chlusiła na twarz chłopca. Ten gwizdnął i chwycił ją za rękę martwym ruchem:

– Głupia, nie może się schylić bez wody.

– Ach ty, draniu – Charyta tłukła ciężkimi pięściami za swój strach, za to, że jej serce na chwilę się zatrzymało, za uginające się nogi, za to wszystko, z czym właśnie się pożegnała. On jakoś w pierwszej chwili nie mógł się oprzeć, więc z początku tylko słuchał, jak sypią się na niego ciosy, a potem się rozzłościł:

– Zgłupiałaś, to przecież boli.

– Kto zgłupiał, to ty, batiarze niedobry, tak nastraszyć.

– Aha, widać trochę ci mnie szkoda. A skąd to, nie wiesz?

Charyta rozplakała się i pobiegła do domu, a Chołodjon wstał, otrzepał się i poszedł ulicą, pogwizdując. Stara Kałhanycha, pilnując gęsi, podniosła garnuszek i wrzuciła znowu do wiadra. Chwilowe naruszenie znikło i wzdłuż drogi znów zapanował porządek. I dopiero po kilku dniach, oglądając wierzby po tamtej stronie ogrodu, Charyta od czasu do czasu powtarzała jak zakłęcie przed ciągnącym poczuciem pustki w piersiach: „Nasza Kupała z wierzby, z wierzby. Niech ten, co ładny, przyjdzie, przyjdzie...”

Obraz pojawił się raptownie, wyraźnie, jak w filmie, przejechał cieniutkim ostrzem po świadomości, zapiekło, i wrzuciła książkę do torby. Tak jakby to był nie zbiór piosenek, a przewodnik po jej dawnym i nierealnym życiu i właśnie teraz otrzymała czas i warunki, żeby obejrzeć je starannie, nie przepuszczając najmniejszego zakamarka.

Ze ścian biblioteki patrzyli wodzowie, których portrety w jednakowych ramach wisiały ustawione w szeregu tak, jakby ich skazano na dłuższe wiszenie w tych zimnych pokojach, ażeby wiedzieli, do jakiej szczęśliwej przyszłości doprowadzili wszystkich, którzy jeszcze gdzieś chodzili, a ją – to już na pewno. W suchym spojrzeniu Charyty nie było nienawiści – to wisiały jakieś fantomy, które patrzyły w przestrzeń przed sobą, w świat, którego nigdy nie widziały, nie znały i nie wyobrażały sobie. Żyli w swoich rezerwach, odcięci od wszystkich strachem, strachem o własne życie, wiedzieli, że muszą się bać, przecież gardzili wszystkim, co żyje, traktując to jako czerń pod nogami, jako masę, którą można było tylko wykorzystywać, zatykając dziury pięciolatek, Bielomorkanałów, wojen, kopalni i ziem dziewiczych. Ale czerń też ich nie szanowała. Wzajemna pogarda od czasu do czasu. Każdy z nich miał w zapasie radykalne działania, ale każdy z nich się bał. Jednak ci, na górze, mniej.

Charyta chciała odwrócić ich obrzydłe fizjonomie do ściany, ale się bała – nie tak dawno za to rozstrzelowali, a teraz mogli spokojnie wlepić kilka lat więzienia i kilka zim syberyjskiego zesłania. Ale czym można było teraz ją przestraszyć? Czy ktoś znajdzie większe więzienie niż jej, zimę straszniejszą niż ta, która tu czeka. I pedantycznie, stanąwszy na krześle, przewiesiła wszystkie portrety twarzą do ściany. Zakurzone tyły ram odsłoniły pająki i kilka z nich od razu powędrowało w kierunku sufitu.

Charyta z przyzwyczajenia obejrzała się za miotłą – stała w kącie, cała opleciona pajęczynami, co bezlitośnie i chłodno świadczyło, że nikogo tutaj nie było, nie ma i nie będzie, oprócz niej. Komu jest tutaj potrzebna – tylko tym wiecznym tkaczom. Poomiałała cienki oplot z portretów, ale gdyby ktoś ją spytał po co, nie mogłaby nawet odpowiedzieć, po prostu z tego składa się życie – z omiatania pajaków, z czytania jakiejś książki, z mieszania cukru w szklance herbaty, z gracowania chwastów wzdłuż ulicy – po prostu, żeby złudzenie trwania się nie urywało, żeby pejzaż przed oczami zwodził bodaj w pierwszej chwili po śnie, szczególnie, kiedy nad ranem wołał ją jakiś na pół zapomniany męski głos.

Janusz Jano Mielczarek

KINO „LUNA”

Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej, która nie byłaby za bardzo poezją ani zanadto prozą i pozwoliłaby się porozumieć, nie narażając nikogo, autora ani czytelnika, na męki wyższego rzędu.

Czesław Miłosz

Kino w Alei Tadeusza Kościuszki nazywało się tak samo jak przed wojną – „Luna” i tak samo wąskimi schodami nad okienkami kasowymi po lewej i prawej wchodziło się na balkon. Wydobywam ten szczegół z pamięci na wstępie, bowiem stanowi on dla tego obrazka istotną ramkę historyczną. Właśnie na balkonie tej pojemnej, bo blisko tysiąc osobowej wówczas widowni, kino zaplatało mnie po raz pierwszy w życiu swoją magią. Może dlatego przestrzeń nad kinowym balkonem wydawała mi się mniej klaustrofobiczna i utwierdzała w przekonaniu, że dzięki balkonowi jest tam więcej miejsca dla rozwinięcia iluzyjnej akcji widowiska filmowego, przejmującego we władanie wyobraźnię. Ten pamiętny pierwszy raz miał miejsce, gdy miałem trzy lata i brały w tym udział loki małej gwiazdy o imieniu Shirleyka, mądrości jej dziadka i ich amerykańskie tresowane kozy.

Już wiele lat później, właśnie z balkonu tej sali oglądałem co ważniejsze dla mnie dzieła: „Cenę strachu” z Montandem, „Siódmą pieczęć” Bergmana, „Viridianę” Buñuela czy przepiękny śpiewany obraz Jacquesa Demy’ego „Panienki z Rochefort” z muzyką genialnego Michela Legranda.

Był luty 1945 roku, mogłem znowu – po wojennej przerwie – pójść do kina „Luna”, bo w czasie okupacji niemieckiej „tylko świny siedziały w kinie” i choć drżało ono teraz od bomb i wybuchów, bo na ekranie pokazywano głównie radzieckie kroniki wojenne, to jednak „działa się”, bo cały świat szedł przeciw na Berlin zakończyć wojnę.

Którego dnia, już w marcu, tato przyniósł bilety na prawdziwy film. Była to czeska komedia „Nikt nic nie wie”. Niewiele z niej zapamiętałem poza spadochroniarzem, którego w czasie lądowania na środku drogi przejął w biegu motocyklista, ale było to jako całość diabelnie śmieszne i jako takie przeszło do legendy oraz do powiedzenia: czeski film – nikt nic nie wie.

Jeszcze długo po zakończeniu seansu obolały ze śmiechu nie mogłem sobie wyperswadować, że jednak to co oglądałem na ekranie, to było o wojnie.

Podobna refleksja zagościła u mnie po obejrzeniu obrazu młodego Menzla „Panowie z korbką”, nakręconego w latach 60. XX w., w czasach najczarniejszego terroru komunistycznego panującego w Czechosłowacji, gdy czołowi naukowcy, artyści i pisarze, w tym m.in. Bohumil Hrabal, doktor praw na Uniwersytecie Karola w Pradze, za swój inteligencki status zsyłani byli na przymusowe roboty do huty w Kladnie. Jiří, przyszły laureat Oscara, kręcił film o marzeniach wyjętych z kart historii: o wędrownym magiku i fotografii, pochłoniętych do końca ideą powstania w Pradze pierwszego stałego kina, które będzie pokazywało czeskie filmy...

Taki był początek słynnej praskiej „Lucerny”, która w annałach jej twórców i współwłaścicieli wymienia także przyszłego prezydenta, Vaclava Havla.

3 KWIECIEŃ 2023 R.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 039, fotografia format 30x45, 2023 r.

Tomasz „Aztenty” Barański

GWIAZDOZBIORY – HISTORIE NIEZWYKŁE

Słowo „astronom” dosłownie oznacza tego, który nadaje imiona gwiazdom. Do naszych czasów niektóre z gwiazd noszą nazwy wymyślone jeszcze przez ludy Bliskiego Wschodu 3 000 lat p.n.e. Świadczy to o tym, że już u zarania dziejów rodzaj ludzki spoglądał na firmament, układając opowieści o tym, co tam ujrzał. Pozornie chaotycznie rozrzucone na niebie gwiazdy, o których mówi się, że jest ich bez liku (w rzeczywistości w pogodną noc można ich zobaczyć „zaledwie” ok. 6 000) – nasi przodkowie połączyli w grupy, które nazwali gwiazdozbiorami – chodziło oczywiście o to, żeby ułatwić sobie orientację na nieboskłonie. Czym zatem jest gwiazdozbiór, zwany też konstelacją? Jest to obszar nieba o umownie wyznaczonych granicach. Podziału nieba na gwiazdozbiory dokonano ok. IV wieku n. e. w Grecji, a nazwy gwiazdozbiorów zaczerpnięto przede wszystkim z mitologii. Wiele nowych gwiazdozbiorów, głównie na południowej półkuli, ustalono w czasie od XII do XVIII wieku (kilka z nich nazwał sam Jan Heweliusz), wypełniono także luki pomiędzy już istniejącymi. Sporządzono też pionierskie dokładne mapy nieznanego dotąd nieba południowego. Niektóre z nowych nazw upamiętniają ówczesne odkrycia i wynalazki i tak na przykład pompa pneumatyczna stała się patronką konstelacji „Pompa”, jeszcze inne nazwy odnoszą się do zwierząt, figur geometrycznych itp. Większość gwiazdozbiorów, czyli układów gwiazd, w niczym nie przypomina obiektów, od których wzięły się ich nazwy, jednakowoż są one nadal w użyciu, gdyż podzielenie nieba na różne obszary pozwala, jak już wspomniano, łatwiej orientować się wśród gwiazd. Własne imiona otrzymały także jaśniejsze gwiazdy – wiele z nich nadali arabscy astronomowie, i tak nazwa gwiazdy Rigel w gwiazdozbiorze Oriona oznacza mniej więcej tyle, co „noga olbrzyma”, i rzeczywiście jest to nawiązanie do całej reszty postaci, tworzącej ten gwiazdozbiór – mitologicznego Oriona.

Uchwała Międzynarodowej Unii Astronomicznej w roku 1922 ustaliła obecny podział nieba na 88 gwiazdozbiorów, a w obrębie danej konstelacji gwiazdy oznaczono, poczynając od najjaśniejszej, kolejnymi literami greckiego alfabetu lub kolejnymi liczbami. W tym porządku gwiazda o nazwie Bellatrix znana jest jako Gamma Orionis, gdzie Orionis to dopełniacz łacińskiego rzeczownika Orion (myśliwy). Zatem odczytać z tego można, iż jest to trzecia co do jasności gwiazda tego gwiazdozbioru, tak jak gamma jest trzecią literą alfabetu greckiego. Z poszczególnymi „niebieskimi” gwiazdozbiorami łączy się wiele mniej lub bardziej znanych mitów, odnoszących się do mitologii greckiej, jak i takich, które łączą się z tradycją kultury, legendami, a nawet różnymi przesądami. Naturalnie każdy z nas słyszał o takich gwiazdozbiorach jak Wielka Niedźwiedzica, a jeszcze bardziej o tak zwanym Wielkim Wozie, który akurat jest jedynie częścią gwiazdozbioru Niedźwiedzicy (mylnie określanym jako gwiazdozbiór samodzielny). Każdy też słyszał o Małej Niedźwiedzicy, zwanej Małym Wozem z dyszlem, na którego końcu znajduje się Gwiazda Polarna (oznaczająca prawie idealnie północ astronomiczno-geograficzną). Mniej znany jest Orion (szerzej o tym poniżej). Mitami i magią obrósł też gwiazdozbiór nieba południowego – Krzyż Południa, najbardziej charakterystyczny gwiazdozbiór na południe od równika.

Nasz szybki przegląd najważniejszych „rysunków na niebie” należy rozpocząć od Oriona, jest on bowiem jedną z największych gwiazdnych konstelacji i zawiera kilka najjaśniejszych gwiazd nieba. Rozciąga się na obszarze po obu stronach równika niebieskiego. Ten układ gwiazd znany

jest od czasów starożytnych i jest bezsprzecznie najpiękniejszym, najbardziej charakterystycznym i najefektowniejszym gwiazdozbiorem na obszarze całego nieba. Któż nie słyszał o trzech gwiazdach „pasa Oriona”?... Z astronomicznego punktu widzenia powiedzieć należy, iż góruje on o północy w grudniu, zawiera też jedną z najjaśniejszych mgławic nieregularnych, widoczną gołym okiem oraz ciemną (piękną) mgławicę o nazwie Koński Łeb. Szczególnie wyróżniają się w Orionie dwie gwiazdy stanowiące jego ramiona: Betelgeuse i Bellatrix, wspomniane już trzy gwiazdy pasa tej postaci i dwie gwiazdy będące jego stopami, z których prawa ma nazwę Rigel. Grecki mit o Orionie mówi, iż ten chlubił się tym, że może pokonać każde zwierzę. W ten sposób doszło do zażartej walki między nim a skorpionem. Orion został śmiertelnie ugodzony przez skorpiona, za co został wyniesiony przez bogów na niebiosa, skorpion zaś trafił na niebo w przeciwne miejsce sklepienia niebieskiego, tak że kiedy wschodzi gwiazdozbiór Skorpiona, Orion chowa się za horyzontem, chodziło bowiem o to, aby obydwaj nie mogli równocześnie ukazywać się na horyzoncie. W mitach Orion uchodził też za wielkiego podróżnika, a dzięki swej sile za dobroczyńcę ludzi. Dla zainteresowanych mogą też wspomnieć o takim fakcie, że gdy „odłożymy” pięciokrotną długość pasa Oriona ku dołowi, napotkamy najjaśniejszą gwiazdę całego nieba o nazwie Syriusz (zwaną też Psią Gwiazdą), która wchodzi w skład gwiazdozbioru Wielki Pies. Orionowi na niebie towarzyszą właśnie Wielki Pies oraz jego ofiary: Byk i Zając.

Najwyższa teraz pora, aby przyjrzeć się bliżej osławionemu gwiazdozbirowi nieba północnego – Wielkiej Niedźwiedzicy, najszerzej znanemu, który w dodatku służy do odnajdywania niektórych innych gwiazd – przede wszystkim Gwiazdy Polarnej. Część gwiazdozbioru określana jest jako Wielki Wóz. Nazwa ta obejmuje siedem jego gwiazd głównych. Grecki mit o niedźwiedzicy mówi o tym, że jest to księżniczka Kallisto, w którą bogini Hera, żona Zeusa ją przemieniła, gdy dowiedziała się o związku miłosnym tych dwojga. Obecne wyobrażenie tej konstelacji, mające swe źródła jeszcze w starożytności i w średniowieczu, prezentuje niedźwiedzicę na niebie, która ma niepoprawnie długi ogon, stanowiący trzy gwiazdy dyszla Wielkiego Wozu.

Ciekawe jest również to, jak określano ten gwiazdozbiór w różnych innych kulturach. Starożytni Rzymianie w siedmiu gwiazdach Wielkiego Wozu widzieli woły podczas młocki, które krążyły wokół Gwiazdy Polarnej, a znowuż północnoamerykańscy Indianie widzieli w tej figurze chochłę, zaś w Ameryce Środkowej był to jednonogi człowiek (Hunrakan). U Arabów z kolei skrzynia Wozu była wozem pogrzebowym, za którym podążają trzy płaczki. Siedem gwiazd głównych Wielkiego Wozu ma nazwy arabskie, których używa się do tej pory; Dubhe – to niedźwiedź, Merak – biodro, Phekda – udo, Megrez – nasada ogona, Alliot – ogon, Mizar – również biodro, a Benetnash – to pałka.

W krótkim tym przeglądzie gwiazdozbiorów firmamentu niebieskiego nie może zabraknąć też Małej Niedźwiedzicy oraz niezmiernie ważnego, owianego legendami, niewidocznego dla nas (na półkuli północnej) Krzyża Południa, o którym szerzej – jako o „rodzynku” na koniec. Tymczasem po kolei. Małą Niedźwiedzicę nazywa się również Małym Wozem i przedstawia się ją w różnych „stylizacjach”. Główna gwiazda tej konstelacji to oczywiście Polaris, czyli Gwiazda Polarna, która znajduje się na końcu dyszla Wozu. Gwiazda ta jest błogosławieństwem dla zbłąkanych podróżnych, jeśli bowiem odnajdą Polarną na niebie, wiedzą, gdzie jest północ. Nie jest to, jak wspomniano, trudne, ponieważ jeszcze dodatkowo dokładnie wskazują ją gwiazdy Wielkiego Wozu, Merak i Dubhe. Sama Gwiazda Polarna znajduje się o około 0,8 stopnia od dokładnego położenia bieguna niebieskiego. Jej arabska nazwa oznacza „kolano”. Jeśli chodzi o ścisłość, to odległość tej gwiazdy od Słońca wynosi około 470 lat świetlnych i jest określana mianem gwiazdy „żółtawej” o masie 8 razy większej niż nasze Słońce. Już przez małą lunetę widać obok Gwiazdy Polarnej słabszy składnik i jest to gwiazda (optycznie) podwójna.

Gwiazdy Małego Wozu świecą na ogół stosunkowo słabo, jedynie może jego obie tylne gwiazdy prezentują się nieco wyraźniej. Druga co do jasności gwiazda tegoż gwiazdozbioru nazywa się z arabskiego Kochab, co znaczy „koziół”, następnie Phekard – dawniej nazywana przez Arabów „dwoma cielętami”.

Żegnając się z północną częścią mapy nieba, należy wspomnieć też o innej godnej uwagi konstelacji, którą jest Kasjopeja. Gwiazdy jej układają się w wyraźny kształt litery W, co czyni ten gwiazdny zbiór jedną z najbardziej charakterystycznych formacji na północnym niebie. Poza tym niebo północne „zasobne” jest jeszcze w wyraźnie odcinający się kwadrat gwiazdozbioru o nazwie Pegaz. Jedną z jego gwiazd, Alpheratz, jest wspólna z leżącym bardziej na północ gwiazdozbiorem Andromedy. Jeśli zaś chodzi o Andromedę, to znajduje się tu leżąca najbliżej nas Wielka Mgławica Andromedy, galaktyka M31 – widoczna okiem nieuzbrojonym na czystym nocnym niebie jako mleczna plamka i jest to jedyna z galaktyk widoczna w ten sposób.

Na pewno najbardziej znanym gwiazdozbiorem nieba południowego jest Krzyż Południa, opisywany w powieściach jako bardzo efektowny. W rzeczywistości jest to figura niezbyt wielka (jeśli chodzi o powierzchnię, jaką zajmuje na mapach nieba) – ja oczywiście tego „cudu nocnego nieba” osobiście nie oglądałem, ale słyszałem o nim wiele relacji, z których każda określała ten obiekt, a raczej jego legendę, za mocno przesadzoną i przereklamowaną oraz że nie może tu nawet pomóc fakt, iż wizerunek Krzyża Południa znajduje się na fladze Australii. Znamienne jest to, że – dla porównania – tzw. Krzyż Północy (czyli inaczej gwiazdozbiór Łabędzia na niebie północnym) zajmuje znacznie więcej miejsca. Ale też bez przesady, kilka gwiazd głównych Krzyża jest stosunkowo jasnych, zwłaszcza najjaśniejsza Alfa Crucis. Jeżeli przedłużymy pionowe, dłuższe ramię Krzyża Południa mniej więcej 4–5 razy w dół, to odnajdziemy wtedy miejsce, w którym znajduje się astronomiczny biegun południowy i to właśnie jest powodem, dla którego gwiazdozbiór ten zyskał tak wielkie znaczenie. W tej sytuacji można stwierdzić, iż północna półkula nocnego nieba miała więcej szczęścia niż południowa, gdyż nie ma tam wyrazistej (większej) gwiazdy, która oznaczałaby dokładnie miejsce bieguna, tak jak ma to miejsce w przypadku Gwiazdy Polarnej na północy, która niemal idealnie oznacza biegun.

Baśniową wędrówkę po niebie musimy zakończyć ze względu na nieprzebrane morze różnych innych informacji. Nie na darmo nocne niebo uchodzi za symbol piękna, samo zaś słowo „kosmos” ma taki sam etymologiczny rdzeń, co „kosmetyk” i wyraża piękno. Rzeczą dość kuriozalną jest fakt, że na odległym od nas o siedem miesięcy podróży statkiem kosmicznym Marsie niebo będzie wyglądało (oczywiście!) dokładnie tak samo, gdyż odległość ta w skali Kosmosu jest zaledwie tylko mignięciem. Z drugiej strony nie bez powodu w poezji czy w piosenkach mówi się o liczeniu gwiazd, będąc szczęśliwym albo też aby w poszukiwaniu szczęścia oraz wrażeń wybrać się ku gwiazdom.



Wykorzystano:

Colin Ronan, *Wszechświat*, Świat Książki, Warszawa 1996.

Joachim Herrmann, *Gwiazdy*, Świat Książki, Warszawa 1998.

Kopernik – Astronomia – Astronautyka, red. Włodzimierz Zonn, PWN, Warszawa 1973.

Barbara Strzelbicka

CO WIE LICHO, CZYLI O WIERSZACH DLA DZIECI TADEUSZA WRONY

Smoki, ptaki i robaki to tytuł zbioru wierszy dla dzieci Tadeusza Wrony i rzeczywiście – te stwory są licznie obecne w książce, której nie można nazwać „książeczką” jedynie z powodu sporego formatu, przyjętego prawdopodobnie ze względu na ilustracje autorstwa Justyny Rybak. Zdrobienie jest natomiast całkowicie usprawiedliwione ze względu na silne nacechowanie emocjonalne zawartości. Książka została zadedykowana wnuczkom – Feluni i Domisiowi – oraz powstała przy znaczącym ich udziale, do wierszy bowiem zostały włączone słowa z dziecięcego języka, wyjaśnione w charakterystycznych przypisach: „Mały słowniczek języka feliciańskiego” i „Mały słowniczek języka domicjańskiego”. Taka nobilitacja nadaje im wartość środka stylistycznego, bliskiego onomatopei. Udział dzieci nie ogranicza się jedynie do warstwy słownej – wzbogaca także walor muzyczny tekstów, które są rytmiczne, niektóre mają refren, czasem opatrzone wskazówką (bis). Felicja natomiast zapisała na pięciolinii nucone przez Dziadka melodie, co nie dziwi – tu popełnił niedyskrecję zdradzając, iż rodzice dzieci są muzykami.

Dwa wiersze, połączone wspólnym tytułem *Złamane serce*, powstały z kolei przy udziale córek Autora, gdy były dziećmi. Warto dodać jako ciekawostkę, iż jest to dialog z piosenką, a może nawet dwiema, ponieważ tytuł nawiązuje do piosenki przedwojennej, zaś sam tekst: „Złamane serce / Na szpilce dynda” wraz z powracającym pytaniem „Czemu tak dynda” jest przypomnieniem podwórkowej piosenki o Rozalindzie, której refren zaczyna się od słów: „Skrwawnięte serce u piersiów dynda”. W rozwiązaniu zagadki zapewne pomoże odczytanie zapisu nutowego sporządzonego przez Felicję, dzięki któremu wiersze stały się rodzajem „rodzinnego przedsięwzięcia”, łączącego trzy pokolenia. Tego rodzaju zabiegi sprawiają, że książka zyskuje na autentyczności i bardziej czytelne staje się jej nacechowanie emocjonalne, wzmocnione wierszowanymi, sporządzonymi z czułością portretami dzieci.

Istoty tytułowe zostały przedstawione z humorem i dystansem, charakterystycznym dla całej książki, podkreślonym przez autorkę ilustracji. W krótkich autoprezentacjach umieszczonych na końcu książki pod artystycznymi portretami Tadeusz Wrona i Justyna Rybak zgodnie podkreślają znaczenie wyobraźni w życiu – dodajmy, że Autorzy nie ograniczają tego przesłania tylko do dzieci, jednakże podkreślić wypada i należy, że dzieci dysponują inną od naszej,



TADEUSZ WRONA

Nauczyciel akademicki, samorządowiec, autor tomików wierszy

Wchodzimy w dziwny świat, gdzie spotykają się smoki, ptaki i robaki.
Jesteśmy w środku. Catujemy bajeczne owoce róż i jarzębiny, kłaskamy
ich wyciągające się ręce. Kiedy bocian czuwa i broni nas przed smokiem,
śpijmy spokojnie, a wyobraźnia niech przynosi fruwające szczęście.

Serdecznie pozdrawiam!

dorosłych, wyobraźnią. Tadeusz Wrona wie o tym i nie stara się sterować dziecięcą wyobraźnią, a raczej nagina się do niej. Świat wykreowany w wierszach nie zawsze uwzględnia proporcje tzw. świata realnego, tu smoka może pokonać bocian, langusta może być w środku pusta. Dialog między sójką i puszczykiem przywołuje skojarzenie z purnonsensowymi dialogami z „Zielonych Gęsi” Gałczyńskiego, gdy jeden z uczestników pozostaje niemy, zaś zdrobnienie w tytule *Z lasów, pól i mórz głębin* – *horrorek* podkreśla, że poczucie humoru pozwala okiełznać lęk.

Brak w tych wierszach natrętnego dydaktyzmu, puenty są czasem zaskakujące, jak ta w wierszu *Czerwony księżyc*, którego drugim bohaterem jest lichy: „Wiesz ty może / Bo ja nie / Ja wiem kto wie / Licho wie”. Morał jest też niekoniecznie serio, jak u Stanisława Jachowicza, bo nie chodzi o to, by dzieci były grzeczne, ale by były mądre i uważne. Wiele tu zabawy słowem, która uwrażliwia na słowny przekaz i kształci umiejętności werbalne, ale też pozwala przemycić wiedzę, czego przykładem jest wiersz *Kuchenna przygoda – martwa natura?*, zawierający de facto wyjaśnienie istoty obrazu, co pokazuje sporządzona w ścisłym związku z wierszem ilustracja. Nazwy stworzeń pojawiających się w wierszach także nie zawsze należą do codziennego słownika dzieci i wymagając wyjaśnienia, wzbogacają w ten sposób werbalne zasoby. Kolejny przykład zalet edukacyjnych to wiersz *Osiemnaście grzywaczy*, pomagający uporać się z przekroczeniem progu dziesiętkowego w liczeniu, dodatkowo podkreślony ilustracją osiemnastu ptaków, z pewnością zachęcającą do ćwiczeń w liczeniu. Wśród opisanych i zilustrowanych stworzeń nie zabrakło wrony, bohaterki wiersza *Szara wrona*, oraz jej portretu na okładce. Wiersz *Na górce*, którego incipit jest tytułem wiersza zamieszczonego w trzecim tomie poetyckim T. Wrony *Na progu szczęśliwego snu (Na górce Kazurce)* jest dowodem na to, że obydwie sfery poetyckiej aktywności pozostają nierozdzielne.

Ilustracje Justyny Rybak są niezwykle atrakcyjne. Doskonale korespondują z wierszami, ale też mają swój własny charakter, nie tylko kształty i barwy. Stworzenia są bardzo wyraziste, charakterne – chciałoby się powiedzieć, co na pewno podoba się dzieciom oraz dorosłym, choć inaczej. Świetny jest także spis treści, do złudzenia przypominający grę planszową i aż się prosi o dołączenie kostki do gry i pionków.

Wiersze bardzo dobrze sprawdzają się w głośnym czytaniu, czego próbkę dał sam Autor na spotkaniu promującym wspomniany wyżej trzeci tom poetycki 23 kwietnia 2023 r. Warto przypominać o zaletach wspólnego czytania dla budowania więzi, warto też pamiętać, jak wielkie znaczenie dla dzieci i dorosłych ma Herbertowskie *Pudełko zwane wyobraźnią*.



JUSTYNA RYBAK

Grafik, nauczyciel akademicki, autorka wielu nagradzanych plakatów

Jak wygląda lichy... A ancymonek? Czy bocian może być większy od smoka? Czy czarne osmiornice istnieją naprawdę? Czy żaby potrafią klekotać? TAK TAK TAK... Ta niezwykła przygoda przypomina o tym, co najważniejsze - o wyobraźni bez granic, dzięki której możemy wszystko.

Do zobaczenia!

Tadeusz Wrona, *Smoki, ptaki i robaki*,
ilustracje Justyna Rybak,
Wydawnictwo i drukarnia POLIGRAM,
Częstochowa 2023.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 023, fotografia format 30x45, 2021 r.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 024, fotografia format 30x45, 2020 r.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

POSZUKIWANIA

Nasze życie jest takim, jakim uczyniły je
nasze myśli.
(Marek Aureliusz)

Florepas – która wedle rozmaitych legend miała czarodziejski pas, chroniący przed starością i innymi bolączkami trapiącymi niedoskonałe ludzkie ciała – nikt jeszcze, niestety, nie spotkał. Ludzie przeto ciągle musieli szukać – błądząc często – innych sposobów, by nie tylko poznać przyczyny swoich cierpień – bólu zębów choćby – ale i próbować je leczyć. Długo uważano, że owe katusze zębowe powoduje jakiś robak lub okrutne demony, których usiłowano się pozbyć, stosując różne zaklęcia, amulety czy mikstury, często niebezpieczne dla zdrowia. Bogaci Egipcjanie mieli wśród służby także „opiekuna zębów”, któremu powierzali troskę o swe szczęki. Mniemano też, że psujące się zęby to kara, jaką bogowie wymierzali kłamcom. Echo owych wierzeń odnajdujemy w odzie *Do Baryny* Horacego:

O, gdyby zdrady twoje, Baryno,
Raz zasłużoną poniosły karę
I w buzi ząbek poczerniał.

Obietnice różnych żądnych zysków szarlatanów, hałaśliwie reklamujących – co zdarza się i dziś – rzekomo cudowne proszki czy płyny, przekonywały wielu naiwnych. Zdrowe zęby uważano zawsze za atut kobiecej zwłaszcza urody, gdy ich brakło, niełatwo już było jak dawniej czarować uśmiechem. Wachlarz czy jedwabna chusteczka, którą mające „zębowe” kłopoty damy próbowały osłaniać usta, niewiele pomagały. Bystre oko innych pań – zawsze nieomylnie dostrzegające mankamenty urody rywalek – i tak w lot odkryło, że: „jej drobne usta – to o cesarzowej Józefinie – potrafiły kunsztownie ukryć popsute zęby”.

Na wrywanie takowych decydowano się jedynie w ostateczności, nikt nie chciał się narażać na podobne męczarnie, jakie nadęci medycy zgotowali Ludwikowi XIV. Sztuczne zęby, stosowane od wieków, zwykle niedoskonałe, dla niektórych były przejawem próżności. Marcjalis – jak zwykle złośliwy – drwił z jakiejś modnej damy: „Bezwstydnie obnosisz się z zębami i włosami, za które zapłaciłaś”. Uszczypliwości podobne miłe pewnie nie były, na szczęście nigdy nie brak kobiet, które podobają się sobie takie, jakimi są.

Człowiek nadal skazany jest na poszukiwania, wszelkich prawd nie zgłębił nikt, nie udało się to nawet mistrzowi Twardowskiemu, który – jak wieść niesie – gotów był zaprzedać duszę diabłu. W poemacie Lucjana Rydla widzimy go, gdy samotnie, o północy, tajemnymi zaklęciami przywołuje moce piekielne:

(...) chcę mieć władzę (...)
Chcę osiąść wszystkie rozумы,
Bym znał świata bieg zawiły.

Powaby ciała mijają bezpowrotnie, niedomagania wieku trapią, rzekomo i na miłość już nie czas, co starzejącej się Lyce przypominał Horacy:

Miłość jest Nielitosna, (...)
 Omija dęby suche (...).
 I ciebie minie. Ząb twój bez polewy,
 Siwizna śniegiem bieli twoją skroń.

Niektórzy jednak potrafią – może udało się to i Lyce – miast oddawać się tak gorzkim refleksjom, pomyśleć podobnie jak Filodemos:

Kochałem. Któż nie kochał? (...) Szalałem.
 Teraz już dosyć tego. Ciemne włosy na mojej głowie już ustępują
 miejsca siwym zwiastunom pory rozsądku.

2

Wierzymy cierpień swoich pewni
 Że miłość w drodze napotkamy
 (Guillaume Apollinaire)

Człowiek ma mnóstwo pragnień, nadziei, a te, na szczęście, nie więdną tak szybko jak ciało. Znalezienie miłości byłoby spełnieniem jednego z owych oczekiwań. Tęskni się za miłością idealną, przemożną, ale zazwyczaj ma ona znacznie więcej odcieni.

Nagłe wzajemne uczucie – „poglądali na się jakby obłądzeni i zachwyceni razem” – połączyło za sprawą przypadkowo wypitego czarodziejskiego eliksiru Tristana i Izoldę. Owa zakazana miłość dramatycznie wpłynęła nie tylko na ich losy, przyniosła wiele niedoli, zmuszała do kłamstw. A wrogowie czyhali: „złośliwe podszepty zmąciły (...) serce króla” Marka, męża Izoldy. Ucieczki przed uczuciem nie było, nawet czarodziejska moc dzwoneczka pieska Milusia nie pozwoliła kochankom zapomnieć o sobie. Śmierć obojga położyła kres wszelkim cierpieniom.

Grzeszna miłość – wedle Dantego – wynika ze słabości woli. Francesca da Rimini i Paolo, brat jej męża, nie oparli się pokusom zmysłów. Wspólnie czytali opowieść o dziejach Lancelota zakochanego w Ginewrze i niewiele było trzeba, by:

Czasem nad księgą zbiegło się spojrzenie (...)
 Kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane
 Rycerz całował w nieodwładnej chęci,
 On, z którym nigdy się już nie rozstanę,
 Drżący do ust mych przywarł bez pamięci.

Zdrada rychło wyszła na jaw, zazdrosny mąż zamordował oboje, przyłapawszy ich na gorącym uczynku. Opowieść tę spotykamy w *Boskiej komedii*, Francesca i jej ukochany znaleźli się w drugim kręgu Pieła. Mimo tragicznych następstw: „Miłość nas śmiercią położyła w grobie” – był to dla niej czas pełni szczęścia.

Bohater powiastki Woltera, młodzieńcy Kandyd – owoc grzechu siostry barona de Thunder-ten-tronckh – zakochał się bez opamiętania w swej kuzynce baronównie Kunegundzie. Baron

nie takiego zięcia oczekiwał – domniemany tatko Kandyda ledwie 71 pokoleń swego rodu mógł wywieść – zatem natychmiast wygnał młodzieńca ze swego wspaniałego zamku. Dla Kandyda poniewierka, na którą został skazany, okazała się doskonałą szkołą życia. Po licznych, czasem bardzo dramatycznych wypadkach, ożenił się z panną Kunegundą, której los także nie oszczędzał. Zbrzydła, postarzała się, ale szlachetność Kandyda nie pozwoliła mu podjąć innej decyzji.

W miłości trudno liczyć na wierność czy stałość uczuć. Przekonuje nas o tym choćby *Skarga zakochanej* Szekspira. Dziewczyna pochopnie uległa – jakże często spotykamy w życiu podobne historie – czułym słowom uroczego młodzieńca. Przystojny, pięknie prezentował się na koniu, potrafił oczarować. Dla niego była to tylko kolejna przygoda, przed czym dziewczę ostrzegano, ale przecież:

Gdy pragnie smaku podniebienie,
Na nic rozsądku smętne zawodzenie.

Brak zaufania, zazdrość, sprawiają, że człowiek sam niszczy swe szczęście. Król Leontes, bohater *Zimowej opowieści* Szekspira wzburzony obserwował swą żonę i przyjaciela: „Oj, czuję tremor cordis... serce skacze” – niewinne słowa czy spojrzenia gotów był uznać za dowód podłej zdrady. Wściekłość, zaślepienie, przekonanie, że jedynie on ma rację – wszak każda grzesznica bezwstydnie przeczy swym niecnym postępkom – prowadzą do wielu nieszczęść. Wreszcie musiał przyznać:

(...) ciągle rozmyślam
O wielkiej krzywdzie, jaką wyrządziłem
Samemu sobie.

W miłości nie wszystko układa się pomyślnie, zdarzają się pomyłki, wkrada się złość, trwa swoista gra, niektórzy nawet skłonni byliby przyznać, że każda miłość skazana jest na klęskę. „Oto ja (...) / Który poznałem cierpienia i radość miłości” – prezentował się w jednym ze swych wierszy Apollinaire. Pragnął, potrzebował miłości, a jednak – z różnych przyczyn – kolejne związki kończyły się niepowodzeniem. Przyznawał: „gdybym tak zmiennych uczuć nie był pełny” – że nie był łatwym partnerem. Gwałtownym, pierwszym uczuciem pokochał młodą nauczycielkę Annę Playden. Różniło ich wszystko: temperament, poglądy i rychłe rozstanie było nieuniknione. Długo nie mógł zapomnieć swej udręki, długo jeszcze miał nadzieję, że ukochana wróci. Przejmujący ślad tamtych przeżyć znajdujemy w *Piosence niekochanego*:

(...) wspomnienie
Tej której kochać nie przestałem (...)
I znów się w bólu pogrążałem
O piekło żalu niech me głody
W niebie zapomnień zginą skrycie.

Kłęski miłosne bolały, pogłębiały kompleksy. Niektórzy uważali, że nie tylko skomplikowana psychika poety, ale i jego powierzchowność nie sprzyjała powodzeniu u kobiet. Smakosz, lubiący życie towarzyskie, wcześniej zaczął tyć. A kiedy pojawiła się w jego życiu Jacqueline Kolb – „prześliczna rudowłosa” – i była szansa na spokojne szczęście, przedwczesna śmierć skończyła wszystko.

Wielu poznało wszelkie odcienie miłości, przeżyło rozczarowania, cierpiało, może jednak bardziej gorzko tym, którzy – podobnie jak Witold Kowalski w jednym z osobistych wierszy – wyznać muszą:

daleko odbiegłem od młodości (...)
nie znalazłem miłości
choć chcę.

3

Niczemu się nie dziwić, w tym życiu ostoja,
spokój ducha i szczęście.
(Horacy)

Młody człowiek, ufny w siłę swych marzeń wierzy, że odnajdzie w życiu pełnię szczęścia. Z czasem przybywa doświadczeń, przepadają kolejne złudzenia, coraz trudniej wypłoszyć napastliwe myśli, niepokoje, które mącą spokój. Wielu – podobnie jak Antoni Lange – przyznaje wówczas:

Żem niósł zbyt nieostrożnie moje serce w świat (...)
Żem je wystawiał na ludzkie oszczypty,
Rozbiło mi je życie jak pszenicę grad.

Antoni, ów „najmilszy dziwak” – zdaniem Słonimskiego – wynalazł pono niezawodny, jak mu się zdawało, system gry w ruletkę. Skończyło się na marzeniach o wielkiej fortunie. Poeta, coraz bardziej samotny, mieszkał nadal w wynajętych pokojach, oddając się zgłębianiu tajemnic duszy.

Dzieje Kandyda doskonale wyobrażają koleje ludzkiego życia. Poznajemy go jako kilkunoletniego młodziana, który pod wpływem nauk Panglossa, swego preceptora, skłonny był wierzyć, że przyszło mu żyć w doskonałym świecie. Wgnany z zamku rychło musiał pytać: „Jeżeli to jest najlepszy z możliwych światów, jakież są inne?”. W czasie tułaczki zbierał gorzkie doświadczenia. On i Kakambo, sługa i towarzysz wędrowni, który mawiał: „Kiedy człowiekowi nie wiedzie się w jednym świecie, może mu się powieść w drugim” – przekonali się, jak rzadkie jest szczęście na ziemi. Wszędzie – poza Eldorado – widzieli okrucieństwo, próżność, zawiść, wiele razy z trudem ocalili życie. Losy ludzi, których poznali, były równie tragiczne. Miłość do panny Kunegundy, nadzieja, że ją odzyska, pozwoliła Kandydowi wytrwać. Zmienił się, z młodzieńczej naiwności niewiele zostało, przekonał się, że na świecie nie ma nic trwałego, życie, majątek, władzę można w każdej chwili stracić. Pozostało poczucie obowiązku i przekonanie, że sensem życia może stać się praca. Z Kunegundą i kilkoma osobami, które poznał w czasie swej podróży, zaczął gospodarować w niewielkim tureckim mająteczku.

Życie to trudna i bolesna droga, nietrudno pobłądzić w owej wędrowni. Nie wszystkim udaje się odnaleźć szlachetne cele, wielu kusi blichtr. Z pyszałków, którym wystarcza jedynie takie szczęście, kipiał ostro niezawodny Marcjalis, mistrz epigramatu:

Że się do możnych w teatrze przysiadasz,
Przechadzasz z nimi, pijesz na biesiadach, (...)

Nie pusz się zbyttnio i to miej na względzie,
 (...) druhem ich nie będziesz.

Dla innych z kolei pokusą nie do odparcia zawsze była władza, stąd rozmaite intrygi i szukanie sposobów, by pozbyć się przeciwników politycznych. Ongi wystarczyło oskarżenie o czary, nekromancję, a odeprzeć podobne zarzuty nie było łatwo. Przypomina się choćby proces, jaki Filip IV wytoczył templariuszom. Agatokles posłużył się zatrutą wykałaczką, a cara Piotra powaliła rzekomo kolka hemoroidalana. Kandyd w swej wędrówce spotkał także zdetronizowanych monarchów, władza jest równie ulotna, jak inne doczesne sprawy.

Z młodzieńczych marzeń o szczęściu czasami nic nie przetrwa, to skłania, by – podobnie jak Broniewski – przyznać:

Moje życie podobne lustru,
 W którym zły przegląda się los.

Bolesne rozczarowania także i Apollinaire otrzymał od losu. Trudne dzieciństwo, różne niejasności w genealogii rodziły poczucie krzywdy. Urodzony bez ojczyzny, szukał swego miejsca. Szukał niepowtarzalnej drogi twórczej, chciał zadziwiać, szokować nawet, pragnął sławy. Krytycy nie zawsze byli życzliwi, „handlarzem tandetą” nazwany został po ukazaniu się *Alkoholi*. Dręczyły go rozmaite obsesje, próbował zgłębiać mroczne zakamarki duszy, odwołując się także do astrologii, okultyzmu, numerologii. Znalazł grono przyjaciół, potrafił cieszyć się chwilą, szukać przygód. Ale los miał inne plany. „Osiągnąłem wiek dojrzały, kiedy przyszła wojna” – zapisał w jednym z wierszy. Służba wojskowa rychło przestała być fascynującą przygodą. Tragiczną codzienność w okopach, świszczące kule, śmierć przyjaciół utrwalił w wielu frontowych wierszach. A skoro często – „przypadku wiodą nas demony” – i on trafiony został w głowę jakimś odłamkiem. Trepanacja czaszki na krótko uratowała mu życie, stał się potem ponury, wybuchowy, przyplątało się zapalenie płuc. Zdawało się, że jest szansa na szczęście, ożenił się z ową „prześliczną rudowłosą”, która tak troskliwie opiekowała się nim w szpitalu. Los dał jeszcze tylko kilka miesięcy, osłabiony organizm nie mógł uporać się z panującą wówczas hiszpanką.

Życie pełne jest rozterek, wątpliń, pytań o sens istnienia, jedno pozostaje pewne, każdemu – jak pisał Horacy – los wyznaczy „wyrok na wieczne wygnanie”. Może więc warto zadumać się nad słowami Maniliusza:

Czemu mroczymy życie zamętem pragnień dręczenia?
 Lękami i pożądaniem ślepym, wśród trosk postarzali
 Tracimy, czego szukamy, nie znajdujemy szczęścia.
 Ciągłe żyć zamierzamy i nie żyjemy nigdy.
 Tym uboższy człowiek, im więcej pragnie.





Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 007, fotografia format 30x45, 2020 r.

RZEMIEŚLNICZA SOLIDNOŚĆ VERSUS ARTYSTYCZNY POLOT

- z Jarosławem Kapsą rozmawia Barbara Strzelbicka



foto: Janusz Mielczarek

☑ Niebawem wyjdzie Twoja najnowsza książka *Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne w czasach PRL (1970–1989)*. Opowiedz, jak długo nad nią pracowałeś, co sprawiło Ci najwięcej trudności, a co przysporzyło radości. Czy jesteś zadowolony z rezultatu, czy coś byś poprawił?

Kończąc pisanie książki *Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne 1905-1956* wiedziałem, że musi być dalszy ciąg. Najbardziej pracochłonne jest zbieranie informacji. Trudno to wyjaśnić, ale jestem szperaczem-zbieraczem, przeglądam stare gazety, stare książki, wertuję zakurzone akta; robię notki, kompletuję, nie myśląc czasem o ich finalnej przydatności. Potem z tego chaosu wyłania się pewien pomysł, co z kolei wymaga selekcji zebranych danych. Rzecz trudna, bo jak każdy maniakalny zbieracz przywiązany jestem do każdego znalezionej okruszki. Radość przynieść może tylko ostateczny efekt, czyli reakcja odbiorców. Wtedy też ujawniają się wszelkie słabości; dowiem się, co należało poprawić, co wyrzucić, a co dodać. Nie obawiam się krytyki, boję się obojętności. Książka nieczytana nie istnieje, autor nieczytanej książki ma słuszne przeswiadczenie o zmarnowanym fragmencie swojego życia.

☒ Książka jest niezwykle bogata w materiał faktograficzny, w źródła oraz w bohaterów, o czym świadczy indeks osób. Czego się po nim spodziewasz, jakie reakcje przewidujesz?

Opis codzienności jest jednym z trudniejszych wyzwań, zwłaszcza jeśli dotyczy wydarzeń niedawnych, gdzie mamy tysiące żywych świadków i uczestników. Każdy z nich nosi w sercu i umyśle inny obraz, każdy widział niby to samo, ale z innego punktu. Opis prowokuje do różnorodnych sporów, na przykład o jakość piwa podawanego w „Gościńskiej”. Pamięć ludzka jest egoistyczna, wypieramy ze świadomości rzeczy złe lub wstydliwe, bronimy swoich wyborów. Ostra krytyka czasów PRL wywołuje reakcje obronne: „jak było, tak było, ale jakoś było”, „w trudnych warunkach przynajmniej starano się uczciwie pracować dla dobra ogółu”. Jest to zrozumiałe, staram się więc zachować szacunek dla tych, którzy uczciwie pracowali, staram się zrozumieć radość z wyraźnej poprawy jakości życia codziennego, jaka nastąpiła w pierwszej połowie lat 70. Jednocześnie nie mogę godzić się na podtrzymywanie mitu. Ta „uczciwa praca” była marnotrawiona, poprawa jakości życia stawała się ułudą na kredyt. PRL można potraktować jako poligon doświadczalny: co dzieje się ze społeczeństwem, co dzieje się z ludźmi, gdy ograniczymy ich wolność i odbierzemy gwarancję nienaruszalności ich własności prywatnej. Mit zabija użyteczność wynikającą z historycznego doświadczenia, staje się zachętą po powielaniu błędów. Spodziewam się jednak ostrych reakcji w obronie mitu, bo jest on wygodny dla politycznych przedsiębiorców, bez względu na to, czy nazywają siebie lewicą, czy prawicą.

☒ Które ze źródeł najbardziej Cię poruszyły, zaskoczyły i dlaczego?

Bardzo ważne, choć lekceważone, są zbiory informacji w aktach KM i KW PZPR, przechowywane w częstochowskim archiwum. Rolą aparatu partyjnego było przekazywanie do centrali możliwie najbardziej obiektywnych, najbliższych prawdy informacji o sytuacji gospodarczej i społecznej. Na tej podstawie „góra” podejmowała decyzje, więc nawet dla dobra rządzącej monopartii szkodliwe było propagandowe „lukrowanie” tych informacji. Zaskoczeniem dla mnie jest znikoma liczba osób korzystających z tych zbiorów. Świadczy to o tym, że częstochowscy historycy omijają badania nad okresami bliższymi współczesności. Nie lekceważąc ich pracy, wskazać muszę konsekwencje wynikające z dewizy „historia jest nauczycielką życia”. Częstochowa w czasie „potopu szwedzkiego” była zupełnie innym miastem, zamieszkałym przez ludzi obcych nam mentalnościowo, kulturowo, świadomościowo. Ich doświadczenie nie podpowie, jak rozwiązać współczesne konflikty. Współczesne pokolenie, to które rządzi i podejmuje decyzje o przyszłości, zostało ukształtowane w PRL; ta świadomość „peerelowska” jest przekazywana kolejnym pokoleniom w drodze socjalizacji w rodzinie, w środowisku sąsiedzkim, w szkołach. Chcemy wiedzieć, jacy jesteśmy, to szukajmy odpowiedzi w warunkach, jakie nas kształtowały. Jeśli nie chcemy zadawać pytań i szukać odpowiedzi, to historia przestaje być „nauczycielką życia”, staje się, mniej lub bardziej atrakcyjnym hobby.

☒ Akta SB to specyficzne dokumenty. Jakie uczucia towarzyszyły Ci podczas ich czytania? Do jakich przemyśleń w związku z nimi doszedłeś?

Specyficzne? W jakim sensie? Kronika Galla Anonima też jest specyficznym źródłem. I też za życia prof. T. Wojciechowskiego obudziła burzliwe spory, czy zawiera prawdę, czy tylko jej odpryski. O ile dziwiłem się brakowi zainteresowania historyków zbiorami w archiwum państwowym, to archiwum IPN mogło mnie wpędzić w depresję. W większości przeglądanych materiałów okazywało się, że byłem ich jedynym „zewnątrznym” czytelnikiem. A były to materiały istotne dla każdego badacza współczesności, na przykład analizy nastrojów społecznych, przygotowania Pielgrzymki Papieskiej, analiza gospodarki w rolniczych spółdzielniach.

Podobnie jak w przypadku informacji przesyłanych przez aparat partyjny do centrali, tak i tu „góra” oczekiwała wiarygodnych informacji. Specyficzność niektórych materiałów z akt byłej SB polega na zawartości w nich „brudów”, służących do niszczenia przeciwników rządzącej partii. Brud jest częścią natury, nie można udawać, że nie istnieje. Bez sensu jest zaprzeczanie, że tak, owszem, u sąsiada to się zdarza, ale w naszym domu – nigdy. Mit dotyczący archiwum IPN polega na tym, że jedni rzucili się na poszukiwanie brudów, dowodząc, że to „święta prawda”, a drudzy chcą spalić akta, ratując własne ideologiczne wyobrażenia. A źródła historyczne są tylko źródłami, w żadnym z nich nie ma gwarantowanej „świętej prawdy” ani „nieświętego kłamstwa”.

☒ Czym się kierowałeś podczas selekcji materiału? Czy pominąłeś jakieś wątki? Jeśli tak, to dlaczego?

Jako szperacz-zbieracz mam zawsze poczucie niedosytu i świadomość zubożenia selekcji opisu rzeczywistości. Opis codzienności to zbiór dotyczący doświadczeń życia tysięcy ludzi. Każdy ma nie tylko swoje wyobrażenie, ale i poczucie sensu i ważności swojego życia. Ma prawo czuć się urażony, że autor książki tego nie zauważył. Ktoś może mi zarzucić, że nie jestem kibicem Rakowa, więc piłka nożna jest marginalnie potraktowana. Bliscy znajomi wygarną, że pominąłem ogromny dorobek Speleoklubu i Klubu Wysokogórskiego, a przecież nie zabrakło mi informacji „z pierwszej ręki”. Rozżalonych odsyłam do wstępu, zaznaczam w nim, że próbuję iść „szlakiem nieprzetartym”, skupiając się głównie na tym, o czym się nie mówiło i nie mówi. Chcecie historii czy mitu? Jeśli historii, to czas przywrócić to, co ze świadomości jest wypierane....

☒ Jesteś człowiekiem wielu pasji, można też powiedzieć, że do wszystkiego, co robisz, podchodzisz z pasją. Myślę, że najważniejsza jest Twoja pasja społecznikowska. Jakie jest jej źródło?

Ogólnie staram się uchodzić za człowieka spokojnego, takiego nadzwyczaj spokojnego, ale czasem i mnie trafia szewska pasja. Źle się czuję w tłumie, nie lubię się angażować w różne formy życia społecznego. Jest jednak pewna różnica między tym, co człowiek lubi lub nie lubi, a tym, co mu odpowiedzialność nakazuje robić. Gdy tak jak każdy na starość robię sobie obrachunek z życia, to wyszło, że jestem szczęśliwym człowiekiem. Mieszkałem nad „Empikiem”, siłą rzeczy poznałem bywalców kawiarenki, zarówno zacnego mecenasa Kołakowskiego, jak i pierwociny lokalnych hipisów. Jako nastolatek trafiłem do PTTK, gdzie pod swoją opiekę przygarnął mnie Zygmunt Łęski. Gdy trwała rewolta pierwszej „Solidarności”, znalazłem się w samym regionalnym jądrze „buntu”, poznając przy okazji osoby z bliskiego otoczenia Wałęsy. Dokonywałem też złych wyborów, ale szczęśliwym zrządzeniem losu wytarabaniałem się z tarapatów, zyskując „dziwne” znajomości i niecodzienne doświadczenia. W sumie miałem szczęście, by znajdować się w ważnych miejscach po dobrej stronie. Zyskałem przez to pewną wiedzę, a poczucie obowiązku i długu wobec różnych wychowawców wymusza na mnie konieczność dzielenia się nią z innymi. Mając jednak wybór między „kołataniem do ciemnych głów” a samotną podróżą rowerem w kierunku zachodzącego słońca, wygrywa we mnie instynkt egoisty. Na polityka się nie nadaję.

☒ Występujesz przeciwko oficjalnej narracji, prowadzącej do „heroizacji dziejów najnowszych” jak to określasz. Chodzi Ci o samą prawdę czy także o względy praktyczne?

Nie jestem historykiem, bo faktu tego nie potwierdza stosowny dyplom. Ale staram się trzymać podstawowej zasady, że celem badań jest poszukiwanie prawdy. Prawdy rozumianej jako zgodność opisu z rzeczywistością. Heroizacja to zaprzeczenie zasady poszukiwania prawdy, bo nie chodzi w niej, by pisać jak było, ale jak być powinno. Tworzymy „wyobrażony” Naród Polski, nadajemy mu cechy cnót wszelakich, a następnie dobieramy fakty, by tę teorię potwierdzić.

Historyk ma mnóstwo argumentów, by uzasadniać taki rodzaj dziejopisarstwa, czuje się odpowiedzialny za wychowanie Narodu, za utrwalenie w nim wartości, które uważa za słuszne. Nie neguję, że jest to potrzebne i użyteczne. Człowiek jest istotą społeczną, nie przetrwa bez solidarności z innymi. Solidarność i współdziałanie jest możliwie na fundamencie wspólnie akceptowanych wartości, przynajmniej w stopniu podstawowym: rozróżniania między dobrem a złem. Tworzenie narodu, cementowanie go przez wspólnotę językową, kulturową, a także przez wspólną pamięć historyczną, umacnia międzyludzką solidarność, jest zatem rzeczą użyteczną. Jeśli jednak tej wartości podporządkujemy inne, w tym poszukiwanie prawdy, wchodzimy na bardzo niebezpieczną ścieżkę. Skoro prawda ma służyć Polsce i Polakom, to czy inne wartości też mają mieć służebny charakter? Dobro jest wtedy, gdy służy Polsce, zło – gdy nie służy? Piękne jest tylko to co polskie?... Szanując dorobek zawodowych historyków, zwrócę najdelikatniej uwagę, że prekursorami hitlerowskich zbrodni byli gimnazjalni profesorowie historii. Tak to przynajmniej widział Remarque.

☒ Swoją książką potwierdzasz tezę o śmierci wielkich narracji i pojawieniu się mikronarracji, mających wymiar lokalny i pozbawionych ambicji uniwersalistycznych. Jaka wadę mają wielkie narracje, a jakie zalety narracje „małe” według Ciebie?

Nie lubię słowa „narracje”, widzę w nich kolonialny kompleks wobec centrum światłej wiedzy. Są opowieści. Homer opowiadał o wojnie trojańskiej, Gall Anonim o rodzie spadkobierców Bolesława Chrobrego, moim zajęciem jest snucie opowieści o rzeczach lokalnych. Homer nikomu nie chciał narzucić swojej wersji wydarzeń, Piastowie nikomu nie obcinali uszu za słuchanie innych niż gallowo-anonimowe wersji przeszłości. Tak to trwało przez tysiąclecia, bo widać zgodne to było z ciekawską naturą człowieka. To, co nazwano, „wielkimi narracjami”, to obłęd XIX i XX w. Pan Marks wydumał, że ludzkość składa się z klas, których zajęciem jest walka ze sobą. Pan Gobineau odkrył, że rysy twarzy ukazują charakter człowieka, a w ślad za tym kolejni „narracjotwórcy” zajęli się kwestiami rasowymi. I, jak to w mojej wsi powiadają, od tej nauki podurnieli... Najdziwniejsze jest dla mnie wciąż pokutujące przekonanie, że zmienianie świata należy zaczynać od narzucenia swojej narracji. Dajcie już ludziom spokój, częstujcie ich dobrymi opowieściami, trzymajcie się zasady „żyj i pozwól żyć innym”!...

☒ Zakres czasowy książki to lata 1970–1989. O czym będzie następna książka?

Nie mogę mówić o swoich planach, bo Pan Bóg dostanie czkawki ze śmiechu. Nawet planując najbliższy wyjazd rowerowy, operuję ogólnikami: być może pojedę w kierunku Torunia, z zamiarem dotarcia do Gdańska; akcentując mocno „być może”. Zbieram, szperam, kompletuję różne informacje. Co z tego wyjdzie, to się okaże... Oczywiście obowiązkowo wydaje się kontynuacja częstochowskiego opisu życia codziennego. Zadanie bardzo trudne, bo dotyczy współczesności, tych naszych 30 lat III Rzeczypospolitej. Ale kiedy to powstanie, jak będzie wyglądać, wolę nie mówić.

☒ Jakie miejsce w Twoim życiu zajmuje pisanie? Kiedy zacząłeś pisać? Dowiedziałam się, że w 1986 r. zająłeś II miejsce w konkursie Radia Wolna Europa na słuchowisko – o czym było? Wierszy pisać nie będziesz, to wiem, ale dlaczego?

Fakt, zająłem II miejsce, Janusz Anderman I, a nagrodę wypłacono mi w dolarach, więc byłem dumny i szczęśliwy. I zaskoczony, bo słuchowisko było odreagowaniem mojego pobytu w celi aresztu. Był w słuchowisku grypsujący recydywista, był idealistyczny opozycjonista i taki przeciwniak, co ukradł worek cementu. I utworzył się alians grypsery z idealistą, by gnębić frajera... Przykre do wspomniania, może lepiej takie fakty wyrzucać ze świadomości. Pisać „zawodowo”

zacząłem w sierpniu 1981 r. Mój tekst o bitwie warszawskiej został opublikowany w gazecie Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Częstochowie, trafiłem do składu redakcyjnego, a potem wypływałem z siebie kolejne teksty z szybkością kulomiotu. Przede wszystkim czułem się rzemieślnikiem. Choćby się paliło i waliło, tekst o wymiarze takim a takim, na temat tego lub owego, ma powstać do tej, a nie innej godziny. Tekst nie musiał budzić zachwytu polonistów, ale być zrozumiały dla czytelnika, wpływać na jego emocje. Dziennikarstwo to często pogoń za uciekającym czasem. Byłem w maju 1988 r. na strajku w Hucie im. Lenina w Krakowie, w nocy był atak ZOMO, musiałem się pospiesznie ewakuować do Częstochowy, a zaraz po przyjeździe przekazać przez telefon dłuższy reportaż do gazety wydawanej w Kanadzie. Gdzie w takich okolicznościach czas, by zadbać o estetykę? Trzeba się odznaczać rzemieślniczą solidnością, a nie artystycznym polotem. Ta rzemieślniczość ukształtowała moją pisaninę. Nie potrafię wymyślać fikcji, bo życie realne wydaje mi się ciekawsze niż moje fantazje. Dlaczego nie będę pisał wierszy? Z tego samego powodu, dla którego nie wystartuję w konkursie skoków o tycze. Bo nie potrafię.

 **Bardzo dziękuję za ciekawy wywiad i życzę, by Twoja książka miała wielu czytelników!**

Jarosław Kapsa (ur. 11 maja 1958 r. w Krakowie) – pisarz, dziennikarz, polityk i urzędnik samorządowy, poseł na Sejm RP X kadencji, działacz opozycji demokratycznej.

Ukończył LO im. Mikołaja Kopernika w Częstochowie, jest absolwentem kierunku historia Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (2010).

W stanie wojennym internowany od 31 grudnia 1981 r. do 13 grudnia 1982 r., po zwolnieniu nadal działał w podziemnych strukturach i współpracował z niezależnymi pismami, za co w grudniu 1985 r. został ponownie aresztowany na trzy miesiące. W 1989 r. uzyskał mandat posła na Sejm X kadencji, jako poseł pracował w centralnej komisji weryfikującej funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, zajmował się także wojskowymi służbami specjalnymi.

Po wycofaniu się z życia politycznego w 1992 r. zajął się dziennikarstwem, pracując w „Życiu Warszawy”, „Życiu Częstochowy” (zastępca redaktora naczelnego), „Dzienniku Częstochowskim 24 godziny”, „Gazecie Częstochowskiej”, od 2004 r. jest stałym felietonistą Tygodnika Regionalnego „7 Dni”, od 2010 r. portalu cz.info.pl (dział „cz.kontra”), współpracuje z Częstochowskim Magazynem Literackim „Galeria”. Od 2002 r. jest zatrudniony w Urzędzie Miasta Częstochowy.

Laureat II nagrody w konkursie Radia Wolna Europa na słuchowisko (1986), nagrody Polcul Foundation za działalność publicystyczną (1989), wyróżniony odznaką Zasłużony Działacz Kultury (2000). W 2011 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, w 2015 r. Krzyżem Wolności i Solidarności.

Jest autorem książek i artykułów o historii najnowszej, w tym zwłaszcza o historii Częstochowy. Książka *Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne w czasach PRL (1970–1989)*, wydana przez Towarzystwo Galeria Literacka w serii „Biblioteka Galerii” stanowi kontynuację cyklu *Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne w XX wieku*, t. 1–2.

Jarosław Kapsa

POGRANICZE PAMIĘCI

PRAWDA JEST PIERWSZĄ OFIARĄ WOJNY. A skoro toczy się wojnę o pamięć narodową, prawda przestaje być zgodnością opisu z rzeczywistością; musi służyć celom wyższym. Wartością samą w sobie uznać można obowiązek przekształcenia amorficznego społeczeństwa w świadomy, idealny w swych cnotach, Naród. I temu podporządkować prawdę.

I

Poszukujemy prawdy w pamięci ludzkiej. Zbieramy okruchy, bez gwarancji sukcesu. Każdy świadek subiektywnie postrzeżę rzeczywistość, prawie każdy z pamięci wypiera wspomnienia nieprzyjemne, idealizując to, co sercu miłe. Jest pamięć indywidualna, domowa, jest pamięć zbiorowa, w tym „narodowa”. Pamięć indywidualna jest ułomna, biegnie swoimi ścieżkami, korzysta z przyrodzonej wolności. Pamięć narodowa odrzuca wolność poszukiwania prawdy, stawia na cel wychowawczy. Ukazywać ma zbiorowość, Naród – nie takim, jak był, lecz takim, jakim być powinien.

Piotr Witkowski, pisząc słowo wstępne do książki o Stanisławie Lisieckim „Jaguarze”, zdefiniował wyraźnie swój zamiar. Czytamy zatem:

Umęczony straszliwą okupacją niemiecką naród, który wykrwawił się w ciągu czterech lat w walce o przeżycie, zdobył się jeszcze na walkę z drugim, nowym, a jednocześnie starym okupantem. Był nim Związek Sowiecki. (...) Osłabiony tak bardzo czterema latami okupacji polski naród stanął do walki o całość swojego organizmu państwowego, o własną religię, o własny byt. (...) w kraju wybuchło powstanie antykomunistyczne, najdłuższy w historii opór zbrojny narodu polskiego przeciwko Rosji, odwiecznemu i najgorszemu naszemu wrogowi. (...) Chciałbym, aby ta publikacja stanowiła pierwszy krok dla tych, których zadaniem jest propagować wiedzę i prawdę wśród ludzi młodych – nauczycieli. Nic bowiem tak nie przemawia do młodej wyobraźni jak własna historia, związana z losami przodków. Odkrywanie tego skarbu stanowić może cel sam w sobie albo choćby atut w umacnianiu naszej tożsamości.

Być może różni mnie od autora tych słów bagaż noszonych w pamięci doświadczeń. Wydana przez IPN broszurka utrzymana jest w stylu znanym mi z lat 60. XX w., będących u nas nie tyle erą Beatlesów, ile epoką Moczara i Gomułki. Idealizacja „żołnierza wyklętego” przypomina podobne książeczki z serii „Biblioteka Żółtego Tygrysa” o bohaterkich partyzantach AL, ofiarnych utrwalaczach władzy ludowej, o „człowieku, który się kulom nie kłaniał” (o Karolu Świerczewskim) lub skąpanych w „barwach walki” (według Mieczysława Moczara). Forma, o czym przypomniał Pan Cogito, zniszczyć może cel. „Edukacja Moczarowska” budowała w moim pokoleniu złogi cynizmu. Dramat wojenny zmieniał się w komediową farsę. Żartowano z „leśnych dziadków”, którzy tak głośno strzelali do Niemca, aż gajowy musiał ich z lasu wygonić. O tragedii wojny można pisać stylem Zofii Kossak lub piórem Przymanowskiego. Ale jeśli w imię kształtowania zbiorowej świadomości preferować będziemy Przymanowskiego, to nie dziwny się efektowi.

Jest pamięć domowa i pamięć narodowa. Pierwsza budowana jest w rodzinie, bazuje na wspomnieniach bliskich. Drugą wpajają w szkołach i na akademiach. W zasadzie obie pamięci są zbieżne. Edukacja nie może być formą katechezy oderwanej od realnych faktów. Naturalna ułomność ludzka, w tym konformizm, powoduje, że pamięć domowa dostraja się do oficjalnej narodowej. Tak to wygląda w szerszej ogólności. Cóż jednak wtedy, gdy w konkretnej sprawie pamięć domowa zderza się z wpajaną odgórnie pamięcią narodową?...

II

Do tragedii doszło 26 sierpnia 1946 r. we wsi Bór Zapilski w gospodarstwie Płazów. Andrzej Gała, historyk-amator, który jako pierwszy opisał w początkach lat 90. losy naszych „żołnierzy wyklętych”, przedstawił relację syna gospodarza, Jacentego Płazy:

Przyszli przed świtem, ktoś zapukał w okno. (...) Było ich ośmiu z „Jaguarem”, por. Stanisławem Lisieckim. (...) Koło południa na rowerze przyjechała żona Grucy z wiadomością, że od kościoła idzie wojsko. (...) Szli jak po sznurku – otoczyli obejście ze wszystkich stron, ktoś musiał zdradzić. Siostra kopała ziemniaki zaraz za stodołą i zobaczyła, jak szli tyralierą przez pole. Zostawiła koszyk i z krzykiem biegła do stodoły. Seria z automatu dosięgła ją od tyłu; z rozłożonymi rękami padła przed wrotami. (...) Wtem na czele z „Jaguarem” wypadli ze stodoły w stronę pól. Myśleli, że się przebiją. „Jaguar” miał „empika”. Zagradzający drogę ubowiec z Częstochowy, Zygmunt Trzepizur, przecięty serią został na płocie. Schyleni do ziemi biegli strzelając. Ostatni bieg po życie. Byli coraz bliżej lasu. Odezwały się CKM-y rozstawione po rogach gospodarstwa, zarygłowały uciekającym drogę. Krzyżowy ogień skosił wszystkich. Padli twarzą na ściernisko. Ucichły serie, słychać było tylko ludzi dobijanych.

Tak wyglądała tragedia, o której przez blisko pół wieku nie można było głośno mówić. Zginął Stanisław Lisiecki, urodzony w sąsiadującej z Borem Zapilskim wsi Długi Kąt. Żołnierz kampanii wrześniowej, żołnierz AK (zaprzysiężony w 1941 r.), legendarna dla miejscowych postać uosabiająca partyzancką walkę z niemieckim okupantem. Walczył w oddziale dowodzonym przez Józefa Janika „Anioła”, wślawił się brawurowymi atakami na niemieckie posterunki. Mitem stała się opowieść o bitwie pod Lebkami stoczony w październiku 1944 r., gdy oddział „Anioła” uratował sowieckich spadochroniarzy broniących się przed atakiem żołnierzy SS „Galizien”. Po wojnie, po zajęciu terenów podczęstochowskich przez Armię Sowiecką, część żołnierzy „Anioła” zdecydowała się wstąpić do podległej władzy komunistycznej Milicji Obywatelskiej. „Jaguar” służył w milicji do czerwca 1946 r. Zagrożony aresztowaniem wrócił „do lasu”. Walczył w szeregach utworzonego przez Stanisława Sojczyńskiego „Warszycy” Konspiracyjnego Wojska Polskiego (KWP), w oddziale Henryka Glapińskiego „Klingi”.

Tragedię w Borze Zapilskim wydobyl z niepamięci Gała. Społeczeństwo wystawiło pomnik, organizowane przy nim są uroczystości upamiętniające „wyklętych”. Przebieg dramatu z 26 sierpnia 1946 r., w oparciu o relacje świadków i materiały z archiwum byłego Urzędu Bezpieczeństwa, przedstawił w swojej książce o KWP Ksawery Jasiak, historyk z IPN. W ślad za nim powtórzył to w popularyzatorskiej broszurze Piotr Witkowski. Jasiak dowodził, że wykrycie żołnierzy „Jaguara” było wynikiem donosu złożonego przez „członka PPR” Krauzego z Klepaczki. Cytuje napisany 26 sierpnia donos: „we wsi Bór Zapilski gm. Węglowice, droga od Klepaczki na Bór Zapilski, od rogu drogi koło młyna w górkę wsi u gospodarza Płazy w stodole jest około 10 bandytów, a z nimi «Jaguar», którzy mają nocować”.

Publikacje Jasiaka świadczą o jego rzetelności badawczej. Jednocześnie budzą się pewne wątpliwości. Obława na „Jaguara” i „Klingę” trwała od 11 sierpnia. Utworzono specjalny sztab, zmobilizowano 250 żołnierzy KBW, wykorzystano miejscowe i częstochowskie siły UB, MO, Straży Ochrony Kolei; zaktywizowano 19 zamieszkałych na obszarze obławy tajnych współpracowników. W połowie sierpnia „Jaguar” cudem wymknął się z obławy otaczającej go w gospodarstwie w Bieżeńcu. Kilka dni wraz z „Klingą” ukrywał się w kościele w Truskolasach. „Klinga” rozpaczliwie poszukiwał możliwości wyrwania się z matni, ostatecznie ze swym oddziałem przeniósł się pod Radomsko. „Jaguar” nie chciał opuścić rodzinnych stron. 26 sierpnia przybył do Boru Zapilskiego, schronił się w gospodarstwie Płazów, znanym wszystkim miejscowym jako kryjówka partyzantów. Czuł się tak bezpiecznie, że zaniedbał nawet wystawienia warty.

Czy o przybyciu „Jaguara” mógł dowiedzieć się mieszkaniec sąsiedniej wsi Klepaczka? Pewnie tak, jak i wszyscy mieszkańcy Boru, Długiego Kąta, a nawet Węglowic... Dziwić mogą dwie rzeczy. Dlaczego UB nie ukryło, zgodnie ze standardami służb specjalnych, nazwiska informatora? Wszak ujawniając skazywało go na odwet ze strony bliskich „żołnierzy wyklętych”. Nazwisko Krauze nie pojawia się przy innych okazjach, w tym jako świadka w procesach wytaczanych żołnierzom KWP. I druga wątpliwość. Żołnierze „Jaguara” przybywają do Płazów przed świtem 26 sierpnia. Mieszkaniec Klepaczki musiał o tym od razu się dowiedzieć, skoro zdążył napisać donos i dostarczyć go dowództwu obławy. Sztab KBW otrzymawszy meldunek przygotował plan akcji, wyznaczył do jej przeprowadzenia 16 żołnierzy KBW, 8 z UB i kilku z MO. Wszystko to w ciągu kilku godzin, między świtem a południem 26 sierpnia, w okresie, gdy komunikacja odbywała się pieszo...

III

W życiu każdego człowieka największą wartością jest dobre imię. Pieniądze można zarobić, stracić i ponownie zarobić. Dom może spłonąć, a jak się ma siły i chęć do pracy, da się go odbudować. Za to utrata dobrego imienia jest szkodą nieodwracalną. Kto da pracę, kto da kredyt, kto powierzy odpowiedzialność osobie, o której źle mówią? Traci się możliwość normalnego życia, traci się przyjaciół, a nawet zaufanie osób najbliższych. Infamia była od pradawnych czasów jedną z najcięższych kar. Tak jak sędziemu powinna drżeć ręka, gdy podpisuje wyrok śmierci, tak i każdy powinien z wyjątkową ostrożnością wypowiadać oskarżenia wobec innych...

Krauzowie byli rodziną znaną na tym podczęstochowskim pograniczu, we wsiach otoczonych borami i bagniskami dzielącymi Polskę od niemieckiego Śląska. Był to teren trudny i żyli tu trudni ludzie. Żyli z lasu i z przemytu, karczowali bory, wyrывая przyrodzie miejsca pod pola uprawne. Cywilizacja wkroczyła tu w latach 30. XX w., gdy niepodległe państwo wybudowało kolej Herby-Porty. Dzięki komunikacji możliwa była eksploatacja tutejszych bogactw: drewna i rudy żelaza. Zarobione pracą przy budowie kolei i przy wydobyciu rudy pieniądze inwestowano w gospodarstwa. Wsie zaczęły się rozwijać. W Borze Zapilskim ofiarnością społeczną wybudowano drewniany kościół wg projektu warszawskiego architekta Stefana Szyllera. W Węglowicach, też dzięki ofiarności miejscowych, powstała szkoła.

Gdy Krauzowie z Klepaczki jechali bryczką do kościoła w Borze, ludzie grzecznie ustępowali z drogi, kłaniali się zdejmując kapelusze z głów. Krauzowie byli najbogatszą rodziną w Klepaczce, bogactwo ich nie kłuło w oczy, bo wszyscy wiedzieli, że to owoc ciężkiej pracy. Na 30 hektarach w przysiółku Żabia Kolonia rozwinęli wzorcowe gospodarstwo rolne. Siłą rzeki Pankówki wykorzystali, by napędzała młyn i urządzenia tartaku. Staw przy młynie zarybili. Dom mieszkalny mieli drewniany, lecz wygodny i obszerny; stodołę, oborę i chlew – murowane. Bogactwo gospodarstwa stworzyła praca seniora – Jana, szanowanego za ofiarność na rzecz

miejscowej społeczności. Współczucie tejże społeczności towarzyszyło Krauzom, gdy rodzina przeżywała dramat. Młodszego syna, kosztem wyrzeczeń, wykształcono na inżyniera; gdy wracał z Warszawy z dyplomem absolwenta Politechniki, zginął w wypadku. Gospodarstwo na Żabiej Kolonii z rąk seniora Jana przejął najstarszy syn – Roch. Był, podobnie jak ojciec, osobą lubianą i szanowaną, wybrano go sołtysiem.

Wojna zniszczyła marzenia nie tylko Krauzów... Niemcy nie skonfiskowali gospodarstwa, lecz obłożyli kontyngentami w stopniu odbierającym większość owoców ciężkiej pracy. Rocha, jako sołtysa, uznano za przedstawiciela „wrogich Niemcom” polskich elit. Aresztowany trafił do obozu Auschwitz, tam zginął zamęczony w 1942 r. Pozostawił piątkę dzieci, najmłodsza córka urodziła się już po jego aresztowaniu. Represje niemieckie doprowadziły żonę Rocha do choroby psychicznej, o gospodarstwo musiały się zatroszczyć dzieci, zwłaszcza najstarsza córka Zenobia i dwudziestolatek Jan. Przejęli na siebie nie tylko troskę o rodzinę, lecz i obywatelski obowiązek, którego trudno było w warunkach okupacji unikać, dokarmiania działających w herbskich lasach partyzantów. Z oddziałem „Anioła” związał się Jan. Po zakończeniu okupacji niemieckiej dalej utrzymywał kontakty z kolegami z lasu. Nie poszedł jednak w ich ślady, nie wstąpił do MO. Z nieufnością traktował nową władzę ludową, obawiał się, że komuniści odbiorą mu młyn i tartak.

W pamięci rodzinnej Krauzów jest opowieść o próbie ucieczki Jana wraz z oddziałem „Klingi”. Była to przeprowadzona przez UB w sierpniu prowokacja: agent, udając przedstawiciela ambasady brytyjskiej namówił „Klingę” na wyjazd do Warszawy, stamtąd mieli zostać przetrzuceni na Zachód. Szczęściem nieufny „Klinga” dostrzegł przygotowania KBW do oblawy i wymknął się z sidła UB. Wraz z nim aresztowania uniknął Jan Krauze. Nie na długo. W 1950 r. UB przeprowadziło akcję „K”, aresztując wszelkie osoby podejrzewane o współpracę z podziemiem częstochowskim. Wśród zatrzymanych był Jan Krauze z Klepaczki, który z więzienia wyszedł dopiero w 1956 r.

IV

Tak wyglądała pamięć domowa Krauzów. Zbieżna i rozbieżna z pamięcią narodową zadekretowaną przez IPN. Ta rozbieżność w dużym stopniu dzieliła mieszkańców gminy Węglowice. Dotyczyła także moralnej oceny działań antykomunistycznej partyzantki.

Gdy w początkach lat 90. odsłaniano pomnik w Borze Zapilskim, usłyszeć można było gorzki głos: kogo honorujecie, to złodzieje byli... Wypomniano, że ludzie „Jaguara” ukradli miejscowej rodzinie materiał na garnitur kupiony na ślub. Tak było, nie da się zaprzeczyć.

Mit tworzący pamięć narodową wymaga uproszczonego podziału między dobrem a złem. Rzeczywistość życia w warunkach wojny i terroru ucieka od takiej jednoznaczności. Wojna jest zaprzeczeniem moralności, usprawiedliwia zło popełniane w imię większej idei. Dla krzewicieli pamięci narodowej wygodne jest pominięcie zła, skupienie uwagi na heroizmie w walce o słuszny cel. Nie da się jednak tego zła usunąć z pamięci ludzi.

W wersji oficjalnej, w cytowanych słowach Witkowskiego, naród niezłomnie walczył najpierw z jednym, potem z drugim okupantem. Z okupantem sowieckim współpracowali jedynie zaprzańcy, prawdziwi patrioci uczestniczyli w antyrosyjskim powstaniu narodowym. Teza ta jest dość trudna do udowodnienia. Dowódca Józef Janik „Anioł”, a w ślad za nim także „Jaguar” i inni „leśni” wstąpili w 1945 r. do Milicji Obywatelskiej, służyli ochotniczo w obronie władzy ludowej. Gdyby dożyli naszych czasów, byłiby z tego powodu pozbawieni praw emerytalnych. Historycy IPN tłumaczą to względami ideowymi, wstąpili do MO, by infiltrować komunistyczne organa bezpieczeństwa. Dość naciągana teza, taka świadomość mogła dotyczyć jednostek, a nie ogółu. Ludzie „Anioła” nie byli wyjątkiem, podobnie do formacji

komunistycznej bezpieki wstąpił słynny podhalański „Ogień”. Było to powszechne zjawisko, milicja była niezbędna, by zapewnić minimum bezpieczeństwa mieszkańcom kraju, w którym wojenna demoralizacja upowszechniła bandytyzm. Zrozumieć też trzeba było mechanizm psychologiczny. Obecność wojsk sowieckich traktowano jako zjawisko przejściowe, wierzone, że rządzić będzie polska władza, może nawet bardziej demokratyczna niż przedwojenna sanacja. „Chłopcy z lasu” szli do partyzantki mając kilkanaście lat, a po wojnie umieli jedynie strzelać do wroga. Powrót do normalności oznaczał dla nich degradację, mieli stać się niskoopłacanymi parobkami lub niewykwalifikowanymi robotnikami. Wstąpienie do MO było dla nich zatem formą awansu społecznego. Ta szansa normalnej służby dla Polski skończyła się po referendum w 1946 r. Odgórnie władza komunistyczna pozbywała się ze swych organów bezpieczeństwa wszystkich podejrzewanych o rodowód z AK i BCh. Zdecydowano się siłowo utrwalac władzę ludową, a to wymagało ideowej lojalności funkcjonariuszy MO, UB, a także wojska.

Wybór siłowych rozwiązań zdecydował o powstaniu antykomunistycznej partyzantki. We wspomnieniach „wyklętych” przewija się jeden wątek motywacji: szli do lasu, by uniknąć aresztowania. Walczyli, bo nie mieli wyjścia. Nie liczyli na cud III wojny światowej, nie porwało ich do powstania hasło walki z odwiecznym wrogiem. Chcieli przeżyć, przetrwać, mając do wyboru zgniecie w więzieniu lub ryzyko walki z bronią w rękę – wybrali to drugie... Na tym polegał prawdziwy dramat lat powojennych.

Zmęczeni okupacją i wojną ludzie także marzyli o przetrwaniu. Partyzantka nie cieszyła się już takim poparciem społecznym, jak w czasie niemieckiej okupacji. Nie wierzone w skuteczność walki, chciano do granic możliwości wykorzystaac normalność, możliwość zdobycia pracy, odbudowania domów, odrodzenia własnego gospodarstwa. Komuniści nie byli tak represyjni wobec ludności wiejskiej, jak okupant niemiecki. Jeśli nie walczyłeś z nimi, miałeś prawo żyć, a to też w tamtych czasach dużo znaczyło. Młodszych kuszone przyspieszonym awansem społecznym, starsi zachowywali bierność, bo tak było bezpieczniej.

W opisach działań partyzanckich pomija się nieheroiczne fakty, ale ludzie z lasu musieli z czegoś żyć, musieli zdobywać żywność i ubranie. W czasie okupacji niemieckiej żołnierze AK otrzymywali żoład i płacili za kupowaną od chłopów żywność – sumy na ten cel przekazywał rząd londyński. Inne formacje radziły sobie w mniej moralny sposób, rabując i nakładając haracze „za ochronę”. Po wojnie środków na utrzymanie „leśnych” nie było, musieli sami sobie radzić.

W treści aktów oskarżenia z procesów wytaczanych żołnierzom KWP znajdziemy przykłady, jak sobie radzono. W maju 1946 r. działający w lasach herbskich oddział KWP dokonał 4 napadów rabunkowych na nadleśnictwa państwowe, 2 napadów na tartaki, 1 na cegielnię, 8 na transporty kolejowe. Zrabowano 410 000 zł, 9 500 kg cukru, 16 sztuk trzody chlewnej, 360 butelek wina, 48 worków z darami od UNRRA. Od listopada 1945 r. do grudnia 1946 r. dokonano 59 napadów rabunkowych na osoby cywilne, rabując 295 130 zł gotówki, 24 konie, 21 krów, 12 sztuk trzody chlewnej, 1 motocykl, 6 rowerów, 300 kg mąki oraz większe ilości garderoby, odzieży, obuwia. W kwietniu 1946 r. grupa KWP dowodzona przez Adama Łebka „Małego” zrabowała gospodarzowi ze wsi Zborowskie świnie ważącą 100 kg, kilka tygodni później napadła na rzeźnika z Gnaszyna, zabierając 30 kg wędlin. Dokonano także napadu na Spółdzielnię Spożywców w Walenczowie, zabierając 20 kg cukru, gajowemu w Wilkowicku zrabowano trzy garnitury męskie, futro, pięć obrusów, dwie firanki, płaszcz letni. Łupem napadu na Spółdzielnię Spożywców w Długim Kącie (rodzinnej wsi „Jaguara”) były papierosy, nici, słonina oraz 2 tys. zł. Zrozumieć można, że ukrywający się w lasach „wyklęci” musieli rabować, by przeżyć, ale też zrozumieć trzeba gniew okradanych chłopów.

Zrozumieć też można stosowanie przemocy w samoobronie, jednak niektóre zdarzenia świadczyły o przekraczaniu granic moralnych. 3 maja 1946 r. we wsi Kijas żołnierze KWP dokonali mordu na 35-letnim Leonie Urbańskim i jego żonie 30-letniej Stanisławie; dziecku ich, Alfredzie, przestrzelono nogi, by nie mogło powiadomić o zbrodni milicji. 29 maja 1946 r. obrabowano domy i uprowadzono do lasu mieszkającego w Kulejach komendanta Straży Ogniowej Józefa Blukacza oraz mieszkańca Nowin Władysława Parkitnego. Obu zastrzelono w lesie herbskim. Bezpośrednim powodem rozpoczęcia obławy na „Jaguara” było zamordowanie przez niego funkcjonariusza UB Józefa Skoczylasa. Przyszli po niego do jego domu. Skoczylas ukrywał się na strychu. By go wywabić z ukrycia, bito jego żonę. Potem wywleczono go do lasu i zastrzelono.

To nie byli obcy, Sowietci, okupanci... To byli mieszkańcy tych samych wsi, z których pochodzili żołnierze KWP. Mieli w tych wsiach rodziny, znajomych, sąsiadów... Wy tłumaczcie Alfredzie Urbańskiej, że ci, którzy na jej oczach zabili rodziców, którzy postrzelili ją w nogi, powodując kalectwo, to byli bohaterowie walki o niepodległość. Dla niej „wyklęci” byli przeklęci...

Nie da się stworzyć wychowawczego mitu, odrzucając fakty zapisane w pamięci domowej. I nie warto takowego tworzyć, bo będzie miał on antywychowawcze przesłanie. Odgórnie narzucana „pamięć narodowa” będzie równie skuteczna, jak ta zadekretowana przez Moczara i Gomułkę. Wyhoduje cyników i konformistów.

Szukać trzeba prawdy, a nie wydumanych wzorców postawy patriotycznej. Nie nakarmimy naszej dumy narodowej fałszywą historią. Nie było w 1946 r. wielkiego powstania narodowego, walki w imię wolności. Były tysiące indywidualnych dramatów ludzi, takich jak „Jaguar”, ludzi nie mających alternatywy, którym odmówiono prawa do normalnego życia, którzy walczyli o przetrwanie, czasami byli zmuszeni czynić zło. Zmusiła ich do tego przemoc ludzi spragnionych władzy nad Polską.

Nie odpowiem na pytanie, kto był winny śmierci „Jaguara”... Nie sądzę też, by ktoś znalazł odpowiedź. Wolałbym jednak odgryźć sobie język, niż niszczyć dobre imię konkretnego człowieka, nie mając ku temu przekonujących dowodów.



Na podstawie:

P. Witkowski, *Stanisław Lisiecki. „Jaguar” – żołnierz Konspiracyjnego Wojska Polskiego*, IPN Warszawa 2022.

K. Jasiak, *Z dziejów Konspiracyjnego Wojska Polskiego*, Fundacja PAMIĘTAMY, Radomsko 2010.

K. Jasiak, „Jaguar” z *Konspiracyjnego Wojska Polskiego*, „Biuletyn IPN” 2020, nr 3, s. 124–128.

A. Gała, *50 lat niepodległościowych działań zbrojnych na ziemi częstochowskiej. 1906-1956*, t. 2, Częstochowa 1999.

Relacja Janusza Mielczarka o rodzinie Krauzów, w zbiorach autora.



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 010, fotografia format 30x45, 2021 r.

„GALERIA” 66 W ALTANIE

„GALERIA” NR 66 swoją premierę miała 2 sierpnia w altanie ogrodu przy Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej. Skorzystaliśmy z gościnności Zbigniewa Mygi, opiekuna pamiątek po Siostrze Poetce i właściciela ogrodu, i zaprosiliśmy wszystkich autorów, członków Towarzystwa i przyjaciół, jednak ze względu na wakacje nie wszyscy przybyli (i niech żałują!). Gościem specjalnym spotkania stała się Sylwia Oksiuta-Warmus, aktorka i autorka reportażu teatralnego, a także bohaterka zamieszczonego w „Galerii” 66 tekstu Jacka Szcherbaka *Poeta i aktorka – dramat kompleksowy*, która została poproszona o jego odczytanie – bez uprzedzenia, była to niespodzianka. Mogliśmy zatem wrócić pamięcią do dnia promocji „Galerii”



65, kiedy to działy się wydarzenia opisane w *Dramacie kompleksowym*, co stało się pretekstem do wspomnień, do rozmów o poezji, o teatrze i o szeroko rozumianej kulturze.

BARBARA STRZELBICKA

MUZYKA I PAMIĘĆ

32 EDYCJA MIĘDZYNARODOWEGO Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” została zadeklowana pamięci Krzysztofa Pośpiecha, inicjatora Festiwalu oraz pierwszego dyrektora Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, powołanego w celu organizacji tego ważnego wydarzenia muzycznego – co zostało na zaproszeniu zaznaczone podtytułem „Sukcesja” i wizerunkiem pustego krzesła. Krzysztofowi Pośpiechowi Częstochowa zawdzięcza wiele cennych inicjatyw muzycznych i aż trudno uwierzyć, że pochodzą one od jednego człowieka. Oprócz tego, że był nauczycielem muzyki w szkołach średnich, prowadził chóry i zespoły muzyczne, był wykładowcą w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, prowadził chór w Filharmonii Częstochowskiej, był dyrygentem chóru „Pochodnia”. Powołał do życia cykliczny projekt „Święto muzyki”,

32. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej
Gaude Mater
SUKCESJA

CZĘSTOCHOWA

14.09 | 18.00
 Wokalna orkiestra
 U.S. Bach - Wokale Miasta i Olsztyn BWW 102

15.09 | 18.00
 Wokalna orkiestra
 Wagner - Twilight

18.09 | 12.00
 Muzyka i PWA sakralnych klasztorów
 Klasztor św. Marii Magdaleny

17.09 | 17.00
 Kameralny zespół
 Kameralny zespół

18.09 | 18.00
 Chór i PWA sakralnych klasztorów
 Klasztor św. Marii Magdaleny

19.09 | 18.00
 Chór i PWA sakralnych klasztorów
 Klasztor św. Marii Magdaleny

20.09 | 18.00
 Chór i PWA sakralnych klasztorów
 Klasztor św. Marii Magdaleny

PEŁNY PROGRAM FESTIWALU

WSTĘP WOLNY
 w niektórych wystąpieniach

Ogólnopolski Festiwal Muzyki Chóralnej „Ars-Chori” oraz Ogólnopolski Festiwal Pieśni Pielgrzymkowej i Liturgicznej „Gaudium et Gloria”. Przywrócił pamięć o rodzinie znanych śpiewaków operowych – Jana, Edwarda i Józefiny Reszków, co doprowadziło do powstania konkursu wokalnego ich imienia.

Pierwszy Festiwal Muzyki Sakralnej miał miejsce w 1991 r. i przez wiele lat zajmował pierwsze dni maja koncertami, których czasem było tak dużo, że nie dało się uczestniczyć we wszystkich nawet przy bardzo dobrych chęciach. Zawsze też wydarzenia muzyczne były uzupełnione o plastyczne – wystawę albo nawet spektakl teatralny. Niezwykle ważny był plakat, którego autorem, również zaangażowanym w wydarzenia wizualne, bywał Leszek Mądzik. Zgodnie z założeniami Festiwal miał być imprezą dostępną dla wszystkich, a większość koncertów miała się odbywać w kościołach. Festiwal zmieniał swoją formułę, wzbogacając repertuar, poszerzając działania o międzynarodowe konkursy kompozytorskie. Gośćmi Festiwalu bywali muzycy światowego formatu, dzięki czemu częstochowska publiczność mogła się poczuć dowartościowana.

Zmieniła się także funkcja Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”, który służy nie tylko Festiwalowi, ale szeroko pojmowanej kulturze. Termin festiwalu ostatecznie uległ zmianie – na wrześniowy, co w tym roku wpisało go w powakacyjny wypływ imprez i jeśli ktoś wybrał się na wczasy po sezonie, to wiele wydarzeń przeszło mu koło nosa. Szkoda, bo aż tak wielu propozycji z gatunku tzw. kultury wysokiej nie ma...

Tegoroczna odsłona zainaugurowana została mocnym akcentem – Mszą h-moll Johanna Sebastiana Bacha, zwaną Wielką, wykonaną w bazylice jasnogórskiej przez Orkiestrę Barokową „Accademia dell’Arcadia” i Chór „Collegium Cantorum” pod dyrekcją Janusza Siadlaka, twórcę i dyrygenta chóru. W międzynarodowej obsadzie solistów znalazła się także częstochowianka – Agata Widera, członkini chóru.

Uznana za dzieło najdoskonalsze w dorobku kompozytora katolicka Msza h-moll, napisana przez protestanckiego kantora, wykonywana jest rzadko. Historia jej powstania związana jest ze staraniami Bacha o posadę nadwornego kompozytora na katolickim dworze elektora Saksonii i króla Polski Augusta III, któremu w 1733 roku przesłał dwie pierwsze części mszy. Według muzykologów dzieło to posiada cechy zarówno katolickie, jak i protestanckie i nie mając praktycznego zastosowania, za życia Bacha nigdy nie było wykonane. Tymczasem na Festiwalu „Gaude Mater” wykonane zostało po raz drugi, poprzednio wybrzmiało w 2008 r. podczas 18. Festiwalu, wówczas Orkiestrę Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej poprowadził Jerzy Salwarowski. Miło było usłyszeć i ujrzeć „konferansjerkę wszech czasów” Beatę Młynarczyk, niezwykle kompetentną i potrafiącą skupić uwagę odbiorców.

Drugi dzień należał do sztuk plastycznych – w galerii OPK „Gaude Mater” otwarto wystawę malarstwa Beaty Bigaj „Wejrzenie – Insight” (ang. wgląd). Malarka przedstawiła cykl obrazów połączonych zinterpretowanym przejmującym motywem piety.

Tradycyjna inauguracja liturgiczna to dzień trzeci, gdy mszę św. celebrował o. Nikodem Kilnar OSPPE, Krajowy Duszpasterz Muzyków Kościelnych, opiekun, patron i dobry duch Festiwalu. Oprawę muzyczną stanowiła „Msza o Matce Bożej Częstochowskiej” w wykonaniu Scholi Gregoriańskiej Jasnogórskiej Szkoły Muzycznej pod dyrekcją s. Marii Bujalskiej PDDM. Chorał gregoriański, uprzywilejowany w tej odsłonie Festiwalu, zabrzmiał jeszcze dwukrotnie: w Wieluniu, gdzie w Kościele Sióstr Bernardynek chorał z XVII-wiecznych zbiorów klasztoru Bernardynek wykonała Schola Flores Rosarum, prowadzona przez Włoszkę mieszkającą w Polsce s. Susi Ferfoglię, oraz prawykonanie paulińskiego chorału ze zbiorów jasnogórskich przez przez męską Scholę Gregorianą Sancti Joannis Pauli II, także pod dyrekcją s. Susany, zabrzmiał po raz pierwszy od pięciu wieków. Jak wyjaśnia o. Nikodem, opiekun i kustosz jasnogórskich

muzykaliów, kompozycje, pierwotnie przeznaczone na potrzeby Kapeli Jasnogórskiej, zostały zrekonstruowane na podstawie ksiąg z imponująco bogatego i pracowicie rekonstruowanego archiwum jasnogórskiego. Jeden z koncertów odbył się tradycyjnie w kościele ewangelicko-augsburskim, gdzie w różnorodnym repertuarze wystąpił organista Władysław Szymański, między innymi z premierowym wykonaniem kompozycji Jacka Glenca „Tenebrae factae sunt”. 19 września Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” zaprezentował pieśni maryjne – od „Bogurodzicy” począwszy. Na zakończenie Festiwalu, trwającego w tym roku 7 dni, znów mocny akcent – Orkiestra i Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej pod dyrekcją Mirosława Jacka Błaszczyka wykonały dwie kompozycje: mające swoją premierę zaledwie w maju 2023 r. „Nieszpory o Matce Bożej Jasnogórskiej Królowej Polski” Pawła Łukaszewskiego, pochodzącego z Częstochowy wybitnego kompozytora, dyrygenta i pedagoga, oraz „Ave verum corpus” W.A. Mozarta.

Festiwal zakończył się 20 września, w przeddzień 12 rocznicy śmierci jego Twórcy, Krzysztofa Pośpiecha, zmarłego 21 września 2011 r. Krzesło na plakacie nie będzie puste, jeśli będziemy pamiętać.

BARBARA STRZELBICKA

LITERACKO W KAMIENICY

29 WRZEŚNIA 2023 ROKU w Gminnej Bibliotece Publicznej w Kamienicy Polskiej odbył się kolejny wieczór autorski członkini Grupy Poetyckiej WENA w Kaletach.

Nasza koleżanka, Paulina Wysocka-Morawiec, zaprezentowała swoje cztery najważniejsze publikacje. Były to trzy powieści pt. „Bez zobowiązań”, „Bez opamiętania” i „Proste rozwiązania” oraz antologia „W kręgu Galerii” autorów związanych z Towarzystwem Galeria Literacka.

Na spotkanie przybyło wielu czytelników. Atmosfera była wspaniała. Nasza „grupowa” pisarka ze spokojem i dużą dozą humoru prezentowała swoje książki. Wyczerpująco odpowiadała na wszystkie pytania uczestników, nie skąpiąc wielu ciekawych anegdot związanych z procesem twórczym. Zdradziła również swoje plany na przyszłość.

Gratulujemy Paulinie Wysockiej-Morawiec i życzymy wielu dalszych ciekawych publikacji.



MAŁGORZATA ORZECZOWSKA-BROL
GRUPA POETYCKA WENA W KALETACH

AKSAMITNIE



Z PRZYJEMNOŚCIĄ I SATYSFAKCJĄ ODNOTOWALIŚMY wydanie trzeciej płyty z balladami Macieja Rudlickiego, zatytułowanej „Rubikon”. Płyta zawiera 20 w pełni autorskich utworów, co oznacza, że słowa i muzykę napisała ta sama osoba, która ballady zaśpiewała, akompaniując sobie na gitarze. Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem – chciałoby się powiedzieć, podziwiając jednocześnie wszechstronność Twórcy. Płyty powstały w krótkim czasie – pierwsza została nagrana w 2015 r. W autoprezentacji czytamy: „Śpiewam o zawłóściach dróg, jakimi idziemy przez życie, doświadczając problemów ważnych, egzystencjalnych, jak i banalnych, codziennych”. Takie właśnie są pieśni Macieja – o życiu i wszelkich jego przejawach. Często towarzyszy im humor i dystans, czasem przymrużenie oka, niekiedy nostalgia i filozoficzne zamyślenie nad upływem czasu. Płytę Maciej zadedykował swoim najbliższym kobietom – żonie i córce, złożył też podziękowania wspierającym go przyjaciołom.

Wiele do myślenia daje tytuł – przekroczyć Rubikon oznacza tyle, co zrobić decydujący krok, przekroczyć granicę, za którą decyzja jest nieodwołalna. Kto dłużej żyje, ten wie, że czasem jesteśmy zmuszeni do zrobienia takiego kroku, choć nie wiemy, gdzie staną nasze stopy – na twardym czy na grząskim gruncie i czy nie spadniemy w przepaść. Na szczęście Maciej Rudlicki jest z nami i w dodatku możemy słuchać z płyty jego ballad, śpiewanych aksamitnym barytonem.

BARBARA STRZELBICKA



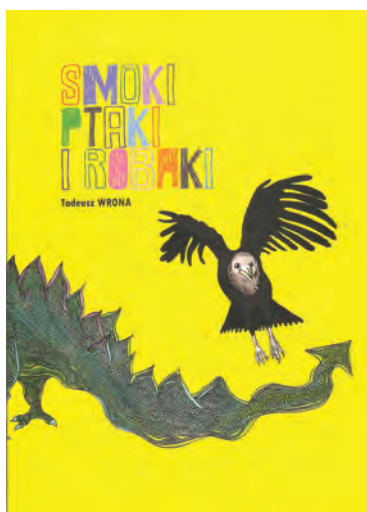
JAROSŁAW KAPSA, *Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne w czasach PRL (1970–1989)*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2023, wydano w serii „Biblioteka Galerii”

Książka stanowi kontynuację cyklu: *Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne w XX wieku*, t. 1–2. Imponuje bogactwem materiału, znajdującego oparcie w źródłach, którymi są akta byłej Służby Bezpieczeństwa, Komitetu Miejskiego i Wojewódzkiego PZPR, dane statystyczne GUS i WUS, regionalna prasa i wydawnictwa książkowe, bogate są zbiory fotograficzne. Opowieść nie jest czarno-biała, lecz przedstawiona w wielu odcieniach szarości. Autor proponuje czytelnikom nie tylko nostalgiczną podróż w przeszłość, lecz przede wszystkim zachęca do krytycznego na nią spojrzenia. [BS]



TADEUSZ WRONA, *Smoki, ptaki i robaki*, ilustracje Justyna Rybak, Wydawnictwo i drukarnia POLIGRAM, Częstochowa 2023.

Czwarta książka po trzech tomach poetyckich, tym razem przeznaczona dla dziecięcego odbiorcy, zadedykowana wnuczętom oraz stworzona przy ich udziale. Tytułowe istoty zostały przedstawione z humorem i dystansem, charakterystycznym dla całej książki. Ilustracje Justyny Rybak są niezwykle atrakcyjne, doskonale korespondują z wierszami, ale też mają własny charakter. Świetny jest zwłaszcza spis treści, do złudzenia przypominający grę planszową. [BS]



Wybitni Ukraińcy. Międzynarodowy Konkurs Historyczno-Literacki. Видатні Українці. Міжнародний Історико-Літературний Конкурс, red. Ryszard Stefański, Mariana Tarchanyn, Częstochowa 2023.

Publikacja zawiera wybrane prace nadesłane na Międzynarodowy Konkurs Historyczno-Literacki „Wybitni Ukraińcy”, zorganizowany w Częstochowie i skierowany do uczniów szkół polskich i ukraińskich. Celem konkursu było przedstawienie sylwetek twórców ukraińskiej państwowości, ludzi kultury i nauki. Teksty zamieszczono w dwóch wersjach językowych, książka jest bogato ilustrowana, a jej wydanie zostało sfinansowane ze środków Urzędu Miasta Częstochowy. [BS]



ANDRZEJ ZEMBIK

... o sobie...

Niedawno urodzony – rocznik '60 – i jeszcze żyjący, magister, częstochowianin. Stawiający pytania i niezadowolony z treści udzielanych sobie odpowiedzi. Ciekawy świata i tego, co człowiek z nim i z samym sobą czyni. Osobnik człowieczego kształtu, lecz ciągle jeszcze pozostający w nieustalanej formie istnienia.

Fotografia – fotografuję od dawna, w latach 1976–1990 byłem członkiem Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie. Obecnie jestem członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików oraz Stowarzyszenia Marynistów Polskich. Kilka wystaw indywidualnych: „Plażowe posągi” (Częstochowa 2012; Gdańsk 2013); „Zabawy z kamieniami” (Słupsk 2017); „Dwa spojrzenia na morze” – wspólnie z Anną Klinkosz (Rzeszów 2017); „Biało – Czerwona” – wspólnie z Romanem Timofiejukiem (Gdynia, Bydgoszcz 2018; Częstochowa 2019; Kielce 2021); „... portowe obrazki...” (Zamość 2022; Solec Kujawski 2023); „... piaskowe opowieści...” (Przemysł 2023). Brałem i biorę udział w wystawach fotograficznych i interdyscyplinarnych, ogólnopolskich i międzynarodowych. W moich fotografiach zwracam uwagę na te fragmenty świata, które trwają obok nas niezauważone. Próbuję obserwować świat bez kulturowych znaczeń, którymi go obdarzamy. Szukam rzeczywistości, która jest poza słowem. Fotografuję zapisując ślady zdarzeń, często ulotnych, jak gra światła na szkle, ale też trwania, jak kamienie, czy przemian istnienia w porządku czasu...



foto: Andrzej Zembik

... piaskowe opowieści...

Takie opowieści podczas nadmorskich wędrówek pokazał mi piasek...

Jest to świat jak najbardziej realny, pełny piękna w swojej ulotności, daleki od kulturowych znaczeń. Zatrzymany w danej chwili światła i zatrzymany w krótkim czasie swoich kształtów, które za chwilę już są zupełnie inne. Świat, na który chcę zwrócić uwagę fotograficznym medium, zamykającym w kadrze wybrane jego fragmenty. Zaobserwowanym, ulotnym zjawiskom poprzez fotografię nadajemy trwałość i możemy przedłużyć ich istnienie. Obraz staje się odzwierciedleniem istnienia tej chwili, której już nie ma i drugiej takiej już nie będzie. Patrząc, dopatrujemy się przypuszczalnych kształtów, zdarzeń, śladów z naszej pamięci, snujemy i układamy o nich opowieści, nadając znaczenia. Każdemu te kształty będą opowiadały inne historie, inne wobrażenia.

Patrząc na fotografie, obcujemy już jednak tylko z płaską kartką papieru i w niej zawieramy kolejne znaczenia z naszej konotacji. Świat rzeczywisty powoli zaczyna być dla nas niewidoczny, zakrywamy go naszymi opowieściami. Można też oderwać się od świata znaczeń i pozostać tylko w komforcie kontemplacji istniejącej formy bez żadnej opowieści. Jeżeli nie będziemy traktowali fotografii jako odtwarzania świata, zobaczymy w nich obrazy same w sobie, zapożyczające co prawda ze świata pewną materię, ale przekształcające ją na swój własny użytek.

Barbara Major

OBRAZY PIASKOWE ANDRZEJA ZEMBIKA



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 028, fotografia format 30x45, 2020 r.

A my? – Jesteśmy wiecznymi widzami.
Zawsze na zewnątrz. Chłonąc wszystko wokół.
Ach, ponad miarę! Tak że trzeba ciągle
składać to w sobie. Niestety, daremnie. (...)

Rainer Maria Rilke: *Elegia ósma*, przeł. Antoni Libera

CYKL FOTOGRAFII ANDRZEJA ZEMBIKA ...*piaskowe opowieści*... składa się z wielu zdjęć nadmorskiego piasku. Patrzącemu na te przedstawienia, przyzwyczajonemu do widoku piaszczystych plaż, wydm wraz z morzem, niebem, czyli do widzenia piasku w horyzoncie jego współbycia z innymi elementami krajobrazu, nasuwają się pytania o motywy autora takiego właśnie „piaskowego” kadrowania. Kadrowanie jest rodzajem obramowania, zawsze eksponuje, jest działaniem wystawiającym, umiejscawiającym „coś” na widoku. Pewną wskazówką jest tutaj etymologia słowa ekspozycja: „pozycja” pochodzi od łacińskiego *ponere* – ustawić, położyć, „eks” zaś w tym przypadku oznacza: od-, wy-, z (czego) i jest swoistym wzmocnieniem położenia. Obramowanie wydobywa jedno, równocześnie skrywając inne, skupia uwagę na pewnych elementach, z innych tworząc tło, wytwarza przestrzeń dla wizji – obrazu. Co więc chciał nam zaprezentować Andrzej Zembik? Jakie zdarzenie wykreował jego

gest artystyczny, którym unieruchamia to, co w swojej zmienności jest niezmiernie ulotne? Fotograf utrwalił bowiem kształty „jednej chwili”, formę przybraną przez piasek „w tym właśnie momencie”. Wiemy przecież, że ów kształt zaraz się zmieni, na przykład zawieje wiatr, przesuną się wewnętrzne warstwy, te i inne uwarunkowania spowodują przekształcenia konfiguracji ziarenek piasku. Nadmorski piasek nieco przypomina w swoich poruszeniach wodę w leniwie płynącej rzece.

Sfotografowany fragment przestrzeni zamienia się w obraz, również obraz „tego właśnie momentu”, tym samym prezentuje nam, patrzącym, pewną kompozycję. Ta kompozycja, wykreowana poprzez kadrowanie, operowanie narzędziami fotograficznymi, zbliżenia, oddalenia, ustawienia soczewek oraz działania w odpowiednich programach, zaczyna się upodabniać do monochromatycznych abstrakcji malarskich. Tym samym dzieła fotografa można uznać za pewien rodzaj nowego piktoralizmu, charakteryzującego się dążeniem do przekształcenia fotografii w wytwór plastyczny. Te kreacje możemy podziwiać według modernistycznych zaleceń, wywodzących się z Kantowskiej analityki, jako dzieła same w sobie, bez odniesienia do świata, w którym powstały. Jednak, jak wiemy to z doświadczenia, rzadko postępujemy według wskazań modernistów, i nie przestajemy na bezinteresownej kontemplacji samej kompozycji, włącza się natomiast mechanizm nadawania sensu, konstruowania znaczeń, który jest „widzeniem jako”, jest dostrzeganiem podobieństw, ...*piaskowymi opowieściami*..., jak słusznie zauważa autor. Z kolei podobieństwo jest rezultatem powiązania mimetycznego. Podkreślenie poznawczego aspektu mimesis jako rozpoznania podobieństw w świecie przeżywanym, odnajdujemy w rozważaniach Waltera Benjamina. Mimesis w jego ujęciu jest zdolnością percepcyjną do dostrzegania zgodności i podobieństw strukturalnych. Wplątamy więc piaskowe konfiguracje ze zdjęć Andrzeja Zembika w rozmaite sieci znaczeniowe, łącząc je tym samym ze światem, w którym żyjemy, a owo wplatanie odbywa się na drodze świadomej symbolizacji opartej na znajomości konwencji i/lub podświadomego ucieleśniania znaczeń.

Jedno z szeroko znanych w różnych kręgach kulturowych, „piaskowych” znaczeń odnosi się do ulotności kształtów piaskowych form. Owa świadomość chwilowości uchwyconej formy przełamuje jej statykę i wprowadza do kompozycji aurę niepewności, która przenika całość przedstawienia i odsłania jego ugruntowanie w strukturze czasowej. W ten sposób czasowość samego obrazu nakłada się na czasowość medium fotograficznego; więcej, to medium miesza ze sobą przedstawienie i czasowość, ujawniając swoją niejednoznaczność, by powtórzyć za Rolandem Barthesem – skandaliczność medium, jakim jest fotografia: „Fotografia dokonuje jednocześnie niezwykłego pomieszania rzeczywistości (»to-co-było«) i prawdy (»to jest właśnie to!«)”.

Andrzej Zembik w swoich fotografiach w pełni świadomie łączy ze sobą różne mechanizmy wytwarzania znaczeń, kreując w ten sposób obrazy pełne dynamizmu, jednocześnie w sobie trwałość (utrwalenie) i chwilowość (zmienność).



Jan Ciesielski

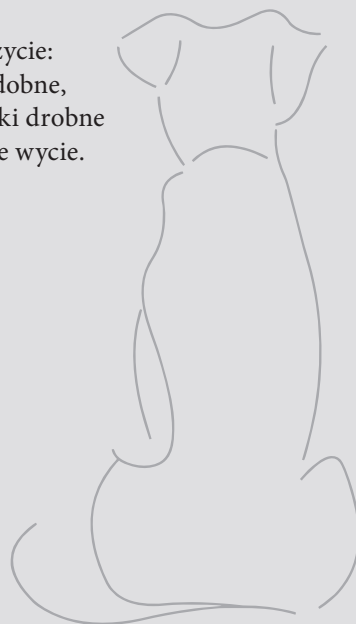
LIMERYCZKI

Kiedyś podróżnemu do Tłuszcza
Współpasażerka uwagi nie uszła.
– Jesteś dość ładna – rzekł w przejściu dziewczynie,
A rzecz się miała na stacji w Wołominie.
Bez echa! Słowna pustynia to czy puszcza?

Wiem, nie trzeba mi wierzyć na słowo,
W kraju jest znane miasto Legionowo,
A przyznają to nawet niedowiarki:
Miasto to rozśławiły siatkarki –
I to nie tylko pracując głową.

Nigdy tak nie było, ażeby w Małkini,
W mieście i okolicy panowali skini.
Dopiero się zaczęły wśród ludu niesnaski,
Kiedy opanowali Sokołów Podlaski
Ci przyjezdni z Gdyni.

Pies, jak się zapewne zgodzicie,
Dziś ma nie pieskie, ale ludzkie życie:
Place zabaw, ubranka i szelki ozdobne,
Kości sztuczne, w puszkach kostki drobne
I suplementy diety na zbyt głośnie wycie.



GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

REDAKCJA:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Małgorzata Franc, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak,
Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa,
Anna Jędryka, Maciej Rudlicki.

LAYOUT: Andrzej Chmielewski

SKŁAD: J.M. Krasucki

REDAKTOR TECHNICZNY: Jarosław Leszczuk

DRUK:

Drukarnia Usługowa „Gryf”



ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

PRINTED IN POLAND.

WYDAWCA:

Towarzystwo Galeria Literacka



ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa
www.galerialiteracka.pl

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 019, fotografia format 30x45, 2021 r.

mała **GALERIA**



Andrzej Zembik, cykl „... piaskowe opowieści...”, 002, fotografia format 30x45, 2020 r.